

De. II 1.

Tom CLXXXVII.

Zeszyt 560.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

ROK CZTERDZIESTY SZÓSTY.

SIERPIEŃ.

1887.

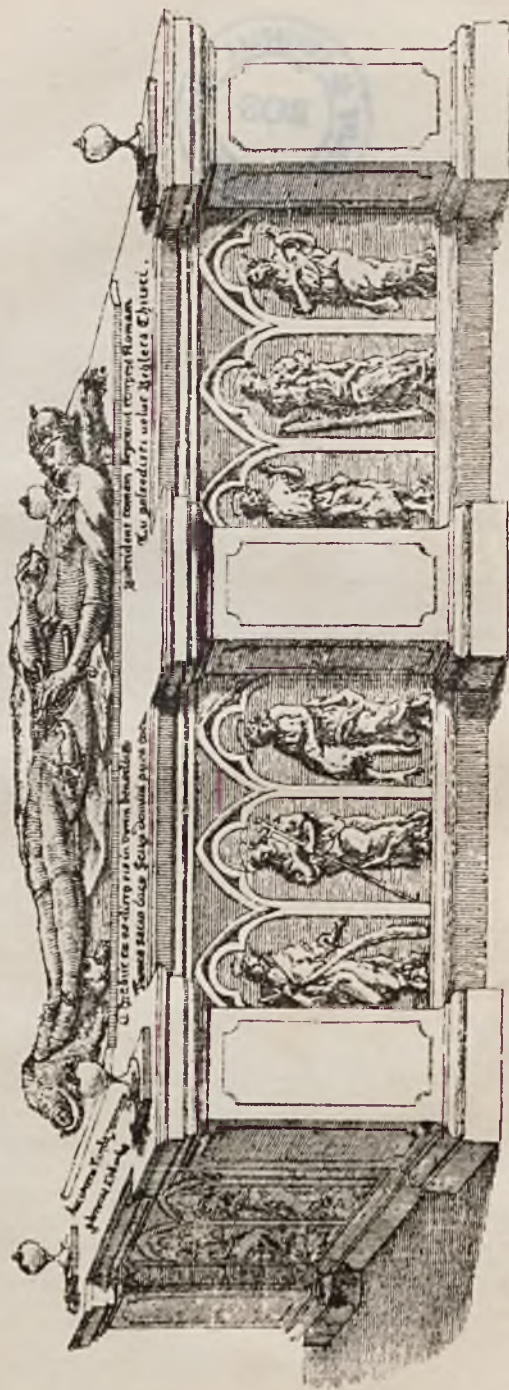
W A R S Z A W A .

Adres Redakcyi: NOWY-ŚWIAT Nr. 41.

1887.

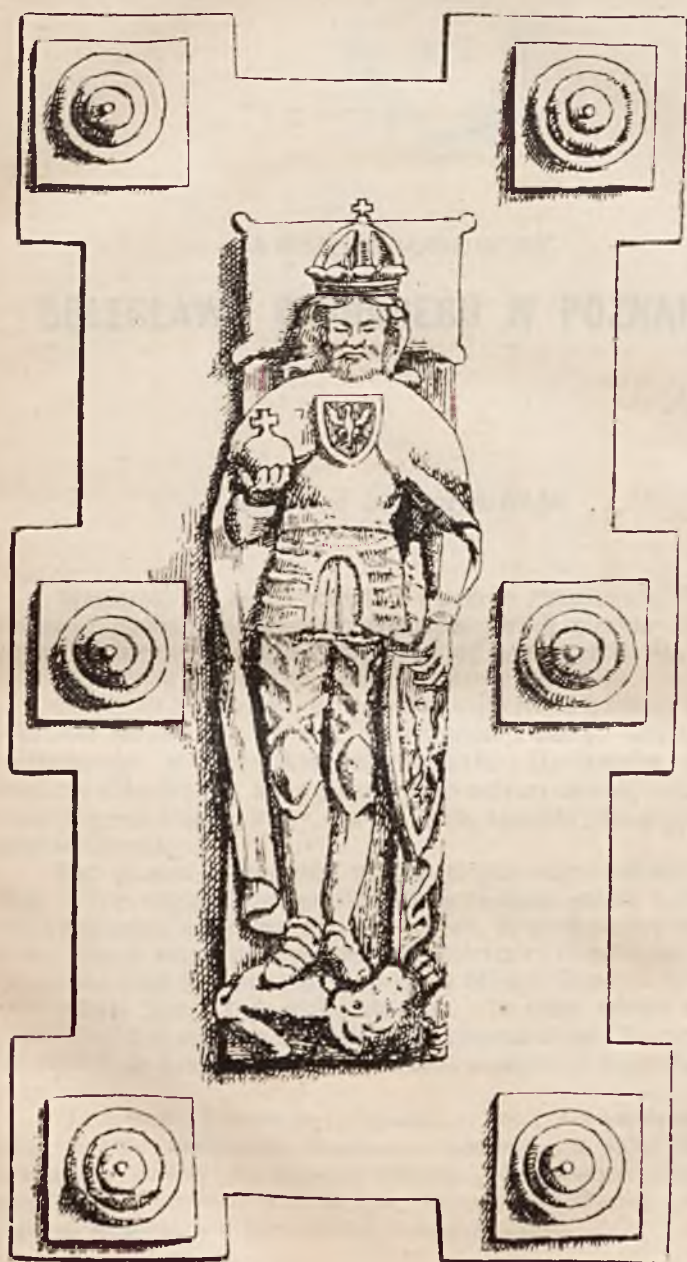
TREŚĆ.

	stron.
I. Dawny grobowiec Bolesława Chrobrego w Poznaniu. Przez Kazimierza Stronczyńskiego	165
II. Z młodych lat Bohdana Zaleskiego. Przez Władysława Nehringa.	178
III. Z dziejów dobroczynności publicznej Warszawy 1870—1885 r. (Szpital Ewangelicki, Przytułek starców i sierot gminy Ewangelicko-Augsburskiej, oraz Ochrona dla dzieci tejże gminy, szpital Wolski, szpital zapasowy). Skreślił W. A. Sułkowski. (C. d.).	201
IV. Na szerokim świecie. Powieść. Napisał Sewer. (Dok.).	224
V. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna.—Wystawa rzeźb i obrazów na polach Elizejskich. — Obrazy patologiczne.—Sztuka rodzajowa.—Juliusz Breton: „Koniec dziennój pracy.” —Pani Daimont-Breton: „Rodzina piekarza.” — L’Hermitte: „Sianołęczcie.” —Pelez: „Gniazdko nędzy.” —Dagnan-Bouveret: „Pielgrzymka Bretonów.” —Puviss de Chavannes: „Nauka i literatura” do amfiteatru Sorbony.—Flameng: „Historja literatury,” tryptyk do sieni sorbońskiej. — Matejko: „Wizja Joanny d’Arc.” — Cormon: „Powrót zwycięzki z Salaminy.” —Roche-grosse: „Śmierć Cezara.” —Cabanel: „Kleopatra.” — Uhde: „Wieczera Pańska.” — Clairin: „Apoteoza Wiktora Hugo.” — Obrazy wojenne. — Portrety: Bonat: „Portret Dumasa.” —Panna Bilińska: własny portret artystki. — Pan Aksentowicz: dwa portrety. — P. Merwart: „Bachantka.” — P. Jan Styka: „Prorokini Hulda.” —P. Gąsowski: „Krajobraz Landów.” —P. Karbowski: „Scena XVIII-go wieku.” —P. Feliks Jasiński: „Aquaforta.” —Rzeźby Chopu: „Pomnik grobowy biskupa Orleanu.” —Delaplanche: „N. Panna, patronka pasterzy.” — P. Fremiet: „Goryl.” — P. Cypryan Godobski: „Popiersie Kraszewskiego.” — P. Bogdański: „Popiersie księżny Radziwiłłowej. — P. Rygier: „Statuetka Kopernika. — Poemat Tennysona „Locksley-Hall.” —Rozprawa Gladstona. — „Pamiętniki księcia Adama Czartoryskiego“ w dwóch tomach.—Rossini. — „Król mimowoli,” opera. — „Klaudia,” dramat Georges Sand.—Wielec pisarzy francuzcy. — „Wiktor Cousin“ przez Juliusza Simon i t. d.	239
VI. Listy polityczne z Austro-Węgier. I. Elekeya Ferdynanda	



hic iacet in Tumba princeps
glorioſa Columba

Chradie tu es dictus sis in eum benedictus procedens comam Exterum tempore Romam
Dante ſacro loty Servo domini puta totus Tu poſſediti uelut Aſteta Chriſti



DAWNY GROBOWIEC
BOLESŁAWA CHROBREGO W POZNANIU.

PRZEZ

Kazimierza Stronczyńskiego.

Wiadomo, że zanim stanął w katedrze Poznańskiej wspniany brązowy pomnik, poświęcony pamiętce dwóch pierwszych naszych chrześcijańskich monarchów, znajdował się tamże od dawna i przez czas długi osobny grobowiec króla Bolesława Chrobrego.

Znany on był naszym dziejopisom najprzód z krótkiej wzmianki w kronice Sarnickiego (1586), a następnie z całego tekstu napisu, przytoczonego w Łubieńskim, Starowolskim i Hartknochu ¹⁾. Naruszewicz i Albertrandy nie wątpili o jego autentyczności, a nawet tak o nim trzymał Czacki, który, jak się zdaje, szczątki jego przynajmniej oglądał naocznie.

Już przecie Bentkowski w historii literatury polskiej objawił swoje w tym względzie powątpiewanie, a niedługo potem Lelewel wystąpił z obszerniejszą rozprawą, dowodząc, że przytoczony w Łubieńskim i innych autorach napis grobowy Bolesława Chrobrego, w żaden sposób nie mógł być położonym w epoce bliższej jego śmierci i że co najwcześnieńj jest XV-go wieku dziełem. To samo zdanie wynurzył o nim Józef Łukaszewicz w opisie historycznym miasta Poznania, sam zaś pomnik do końca XIV-go albo nawet początku XV-go stulecia od-

¹⁾ Sarnicki, *Annales regni Poloniae*, p. 226. Łubieński, *opera Post-huma*, p. 315. Starowolski, *Monumenta Sarmatarum*, p. 447, Hartknoch, *de republica Polona*. 2. Tygodnik Wileński.—Łukaszewicz, „*Obraz historyczny miasta Poznania*,” t. 2, s. 104; Karol Bor. Hoffmann, „*O najdawniejszych grobowcach królów polskich*,” Poznań, 1872.

ności. Za Łukaszewiczem przynajmniej co do dawności napisu nagrobkowego poszedł p. Karol Hoffmann.

Znaleźli się przeciw obrońcy nierównie większej onego starożytności, a mianowicie Michał Wiszniewski i Dominik Szulc. Pierwszy w swojej historii literatury polskiej zbijał zarzuty Lelewela; uwagami jednak Łukaszewicza zachwiany, lubo skłonnym był poczytać ten pomnik za dzieło z czasów Kazimierza I-go, stanowczo się jednak w tym względzie nie oświadczył i kwestyą nierozstrzygniętą pozostawił. Śmieliej wystąpił ze zdaniem swoim Dominik Szulc w „Pamiętniku religijnym“ z r. 1841-go, gdzie rozebrawszy w szczegółach cały napis grobowca Chrobrego, wedle tekstu Żubieńskiego, uznał go bezwarunkowo za położony wkrótce po śmierci tego króla.

Tym sposobem kwestya dawności tego pomnika, wywoławszy dwa przeciwne sobie zdania, weszła znów na pole historycznych rozbiórów. Przedsiębrali je raz jeszcze i Lelewel i Łukaszewicz, każdy w poparciu pierwotnych swoich mniemań. Obok tego obudziła się chęć docieczenia prawdy i w innych jeszcze uczonych, a gdy każda ze stron spornych starała się potrzebne ku temu materiały gromadzić, przybyło na tej drodze wiele nieznanych przedtém wiadomości. Jakoż Łukaszewicz, przejrawszy w miejscu akta kapituły poznańskiej, znalazł i opis pomnika i ślady zmian, jakim w różnych czasach ulegał; August Bielowski w aktach klasztoru Tynieckiego odszukał tekst zamieszczonego na nim napisu przeszło o 100 lat od Sarnickiego dawniejszy, a Wincenty Kielisiński dostrzegł w zbiorach ówczesnego prałata katedry gnieźnieńskiej, ks. Leona Przyłuskiego, późniejszego arcybiskupa, rycinę starożytną, przedstawiającą cały grobowiec Chrobrego wraz z częścią napisu, której wierny przerys sporządzić i upowszechnić przyobiecał, czemu przeszkodziła zawczesna śmierć tego zasłużonego starożytnika.

Rycinę tę atoli kazał przekopiować do swoich „Wspomnień Wielkopolski“ hrabia Edward Raczyński, a niezrozumienie samego oryginału przez kopistę, i ztąd śmieszne przedstawienie leżącej figury królewskiej i uteraźniejszenie liter zamieszczonego około niej napisu, wytworzyło prawdziwy zamęt tak w pojmowaniu kolei, przez jakie mógł przechodzić sam pomnik, jak i w ocenieniu znaczenia ryciny przez hr. Raczyńskiego ogłoszonej, której oryginału ani Lelewel, ani Łukaszewicz, w rękę nie mieli.

I tak Kielisiński, zawiadamiając w swoim czasie Lelewela o wynalezionęj u ks. prałata Przyłuskiego rycinie, wyraził się, że litery napisane na niej mają postać liter XIII-go i XIV-go wieku, a jednocześnie nadmienił, że z dawnego Bolesławowskiego nagrobku znalezione zostały dwie figurki, i że te Edward hr. Raczyński użył do nowego sarkofagu, który swoim pomysłem na pomieszczenie kości Bolesławowskich zbudował. Lelewel zatem, widząc rycinę zamieszczoną w atlasie do „Wspomnień Wielkopolski“ z opisem Kielisińskiego w kształcie liter niezgodną, przyszedł do wniosku, że ona przedsta-

wiać musi ten nowo przez hr. Raczyńskiego zbudowany sarkofag, o którym z tego powodu gorzko-żartobliwe przywiódł wyrazy.

Łukaszewicz znowu, wyczytawszy wzmiankę w aktach kapituły Poznańskiej, że też w r. 1744 całkiem nowy pomnik Chrobremu wystawić miała, znajdując, że rycina hr. Raczyńskiego zgodna jest zupełnie z opisem pomnika przez ks. Patelskiego w r. 1762 ogłoszonym, a napis złożony z samych tegoczesnych liter, objawił przekonanie, że tak wspomniany opis, jak i rycina, nie odnoszą się do pomnika pierwotnego, ale do tego, który wedle jego mniemania staraniem i kosztem kapituły w r. 1744 miał stanąć.

Jeden i drugi niewątpliwie co innego byłby powiedział, gdyby oryginalną rycinę ks. Przyłuskiego miał przed oczami.

Z swojej znowu strony Bielowski, biorąc dosłownie zeznanie niejakiego Merhila w procesie z zakonem krzyżackim w r. 1422 przywiedzione, w którym tenże powołuje się na nagrobek Chrobrego, wystawiony z kamienia marmurowego *ex lapide marmoreo*, wynioskował, że przed czasem Sarnickiego i dalszych, którzy pomnik tego monarchy jako z kamienia białego opisywali, znany nagrobkowy napis zamieszczony był w katedrze poznańskiej na innym z marmuru wystawionym grobowcu.

Tym sposobem we względzie zapatrywania się na sam przedmiot sporny, a mianowicie: jakiej to natury był ów dawny pomnik Bolesława Chrobrego i jakie przechodził koleje, wielkie dotąd panuje zamieszanie. Aby więc o jego dawności choć w przybliżeniu zdać sobie sprawę, wypada przedewszystkiēm rozjaśnić prawdziwy stan rzeczy i usunąć z pod rozbioru te zarzuty, które się na prostém nieporozumieniu opierają. Punktem wyjścia w tēj mierze musi być owa rycina ze zbiorów ks. arcybiskupa Przyłuskiego pochodząca, która się po jego śmierci przypadkiem w moje ręce dostała i której wierny, choć za pomocą światłodruku zmniejszony, przerys miłośnikom starożytności krajowych w tēm miejscu do oceny przedstawiam (Nr. I).

Wyobraża ona prostokątny sarkofag, którego boki otoczone są figurami w niszach pozamieszczanemi, oraz sześcioma jakby pod rodzaj baldachimu przyczepionemi wyskokami. Wierzch sarkofagu zamyka płyta z wyrzeźbioną figurą królewską w koronie i płaszczu monarchycznym — w prawej ręce jabłko królewskie, przy lewym boku herbowa tarcza, w nogach lew, a wiersze napisu do koła figury dwoma rzędami rozmieszczone.

Przyglądając się szczegółom tēj zagadkowej starożytności, wiadać oczywiście, że ona jest zlepkiem niejednoczesnych kawałków. Same rzeźby boków sarkofagu pod względem ogólnego wejrzenia dosyć są zgodne z rzeźbami na grobowcu Łokietka, ale ubiór figury królewskiej więcej się do pomników XIII-go aniżeli XIV-go wieku przybliża, a nawet z niektórych względów ubiory XII-go wieku przypomina, a z drugiej strony kształt korony, orzeł na tarczy, oraz wyskoki na rogach sarkofagu i w pośrodku ścian bocznych pozamieszczone, pra-

wie o cztery wieki późniejszymi się być zdają. Co do liter napisowych w tych rytownik oczywiście dawne pismo chciał naśladować, ale w rysach onego po za wiek XVI-ty nie sięgnął.

Rycina nie ma na sobie ani daty, ani wymienionego rytownika. Nie patrzy wcale na dzieło XVI-go wieku, jak się to Kielisińskiemu zdawało, — raczej pod względem technicznego wykonania przypomina ryciny Kroniki Lignickiej Thebeciusa, wydanej w Jaworze w r. 1733. Jest wykonaną za pomocą kwasu, który nawet w okolicach liter nad zamiar artysty blachę poprzęrał, zdaje się być albo zdestruktowaną, albo przynajmniej niezupełnie wykończoną; w każdym razie zdjęta z pomnika o rysach zatartych i nie dosyć dla tego zrozumiałych, a miarkując po kształcie owych dodatkowych słupków, zamieszczonych przy sarkofagu może być najwcześniej dziełem drugiej połowy XVII-o wieku.

Jest ona atoli zgodną z opisami samego grobowca, tak z tym, który odszukał Łukaszewicz w wizycie biskupa Tolibowskiego z 1660 roku jak z drugim, który w dziełku ks. Patelskiego z r. 1762 znajdujemy, i widać, że ten sam pomnik przedstawia, który i tamci mieli przed oczyma. Tolibowski bowiem pisze:

„Tumba Boleslai Chobri Regis Poloniae et fundatoris ecclesiae cathedralis poznaniensis stat in medio chori majoris olim (cum minus chorus nondum fuerat exstructus) in medio ecclesiae cathedralis. Super eam lapidea figura regis Boleslai jacentis... In extremitalibus tumbae circumcirca duplici ordine sunt exarati stilo veteri et vix intelligibili versus infrascripti.” To znaczy po polsku:

„Grób Bolesława Chrobrego Króla Polskiego i założyciela katedry poznańskiej, stoi w pośrodku chóru wyższego dawniej (nim jeszcze niższy chór był zbudowany) w samym środku katedralnego kościoła. Na nim leży z kamienia wykuta postać króla Bolesława... Na brzegach grobowca dookoła podwójnym rzędem starym i zaledwie odgadnąć się dającym rylcem wryte są następujące wiersze.”

Tu biskup przytacza znany nadgrobowy napis, o którym będzie niżej.

Ks. Patelski zdejmując napisy nagrobkowe w katedrze poznańskiej przed jej odnowieniem w r. 1755 rozpiął się nieco obszerniej o grobowcu Bolesława Chrobrego, mówiąc:

„Ejus pervetustum mausoleum ex lapide albo secto in choro majori Ecclesiae Cathedralis Poznaniensis positum in quadro cernitur; a latere meridionali circa idem sepulcrum 6 personae de lapide SS. Apostolorum, et a septentrione parites sex; ab oriente annuciatio B. V. ab occidente coronatio B. M. V. In summitate effigies Boleslai regis in armis cum paludamento jacentis et in una suam aquilam albam tenentis, in altera gladium cum pomo regali. In capite coronam de lapide albo. Obiit anno salutis humanae 1025 die 3 Aprilis habet epithium hujusmodi.” To znaczy po polsku:

„Daje się widzieć w chórze wyższym kościoła katedralnego poznańskiego jego nader starożytny grobowiec z białego ciosanego kamienia w czworogran zbudowany. Od strony południowej tego grobowca znajduje się 6 kamiennych figur ŚŚ. Apostołów. Od północy podobnie 6, od wschodu Zwiastowanie a od zachodu Koronacya (Wniebowzięcie) N. M. Panny. Na wierzchu leży figura króla Bolesława w zbroi i płaszczu monarszym, w jednej ręce białego orła, w drugiej jabłko królewskie i miecz trzymająca. Na głowie korona z białego kamienia. Umarł roku zbawienia człowieka 1025 dnia 3 kwietnia. Ma następujący pogrobowy napis:”

W tém miejscu Patelski zamieszcza wiersze nagrobkowe, znane z Żubieńskiego, a powołane i u biskupa Tolibowskiego wizycie.

Dwa te opisy, jedyne, jakie z czasów bytu pomnika posiadamy, wzajemnie się uzupełniają. Biskup Tolibowski kształt grobowca pobieżnie opisując, wskazuje dokładnie rozmieszczenie na nim wierszy napisowych, Patelski znowu, mówiąc o napisie w ogólnych tylko wyrazach, określa obszerniej rzeźbowane na samym sarkofagu i wokoło niego szczegóły. Jednemu i drugiemu opisowi nasza rycina przedziwnie odpowiada.

Ale Łukaszewicz, znalazłszy (jak się wyżej rzekło) w aktach kapituły ślad, że też kapituła w r. 1744 nowy pomnik Chrobremu wystawiła i do niego zwłoki królewskie wśród uroczystego nabożeństwa przeniósła, twierdzi, że opis ks. Patelskiego, ogłoszony w r. 1762, dotyczy właśnie tego nowego pomnika i że ten a nie żaden inny przedstawiony jest na rycinie Raczyńskiego, z dawniejszej ryciny ks. Przytuńskiego przekopiowanej.

Co do tego punktu w żaden sposób nie można się pogodzić ze zdaniem autora opisu historycznego kościołów diecezji poznańskiej. Patelski bowiem, opisując pomnik Chrobrego, wyraża się: „per vetustum ejus mausoleum,“ a skoro, jak powiada, opisy jego obejmują stan katedry z przed r. 1755, nie można tych słów odnosić do pomnika w r. 1744, który jeśli się istotnie znajdował to przed 11 dopiero laty stanął.

Przytoczona przez Łukaszewicza na poparcie jego zdania okoliczność, że na grobowcu przez ks. Patelskiego opisanym miała być między innymi wyobrażoną Koronacya Najświętszej Panny, polega na zupełnym niezrozumieniu rzeczy. Nie należy bowiem łączyć koronacyi cudownych obrazów, za szczególnem upoważnieniem Stolicy apostołskiej z wielką ceremonią odbywaną, której pierwszy przykład w naszym kraju dopiero w r. 1717 co do obrazu Częstochowskiego spotykamy, z samą Koronacją Najśw. Panny w niebie, pod którą to formą aż do wieku XVI Wniebowzięcia wystawiano. Przykład takiej koronacyi czyli Wniebowzięcia mamy między innymi w sławnym ołtarzu krakowskim dla kościoła Panny Maryi przez Wita Stwosza rzeźbionym. Taką też koronacją widział na grobowcu Chrobrego ks. Patel-

ski, a to właśnie nie za zdaniem Łukaszewicza; ale wprost przeciw niemu przemawia.

Co do zbudowania Chrobremu nowego nagrobka przez kapitułę poznańską, to rzecz ta osobnego rozbioru potrzebuje. Nie mógł on w żadnej mierze stanąć w r. 1744, jak to utrzymuje Łukaszewicz, kiedy on sam w innem miejscu przytacza list kapituły do ks. biskupa Czartoryskiego w r. 1766 pisany w słowach:

„Zdawna Bolesława Chrobrego zostający nagrobek przy repara-cyi kościoła dla niekształtnej staroświecczyzny zniesiony, należałoby za powinność wdzięczności pierwszemu fundatorowi w innem miejscu ozdobniejszy wystawić.”

Restauracyi z gruntu katedry poznańskiej dokonano, wedle świadectwa ks. Patelskiego w r. 1755, wtedy zatem dawny grobowiec Chrobrego zniesiono, nowego w r. 1766 jeszcze nie było, skoro kapituła o wystawienie onego czyniła dopiero do biskupa wniosek. Wzmianka zatem, napotkana przez Łukaszewicza w Aktach kapituły poznańskiej pod r. 1744, dotyczy zapewne zbudowania trumny tymczasowej, do której szczątki królewskie, po wyjęciu z dawnego, znieść się mającego grobowca, uroczyste przeniesione zostały. W inny sposób niepodobna sobie wytłómaczyć tak dotykalmnej niezgodności dwóch z jednego źródła pochodzących świadectw.

Cóżkolwiek-bądź po r. 1766 musiało przyjść do odbudowania pomnika Chrobremu. Ten bowiem, który ostatecznie za biskupstwa Raczyńskiego skutkiem piorunu prawie bez śladu zginął, nie stał już na środku chóru wyższego, jak dawniej, ale w osobnej kaplicy przy wejściu do kościoła po prawej stronie nawy pod wieżą zbudowanej i tam ostatecznie niszczącej katastrofie uległ, kiedy strzaskana od pioruna wieża całą kaplicę gruzami przywaliła. Po uprzątnieniu gruzów nikt się już o grobowiec Bolesława nie troszczył, nikt szczątków onego nie odszukał i nie przechował. Ważniejsze sprawy bytu politycznego wkrótce zaprzątneły wszystkich umysły i stało się zatem, że pozostałe grobowca kawałki użyte zostały po największej części jako prosty materiał budowlany do wystawienia murowanego mostu na rzece Cybinie w bliskości katedralnego kościoła do Warty wpadającej, i mały tylko ułamek jednej ze ścian bocznych pozostał. Ułamek ten, przedstawiający jedną figurę całą i połowę drugiej, hrabia Raczyński kilkoma dorobionemi figurami uzupełnił ¹⁾, tworząc tym sposobem mały sarkofag, przeznaczony na pomieszczenie kości monarszych, który stoi obecnie w kaplicy Bolesławowskiej naprzeciw brązowego pomnika. O tym nowym sarkofagu pisał do Lelewela Kielisiński i ta właśnie wiadomość wprowadziła w błąd zasłużonego naszego badacza co do znaczenia ryciny przez hrabiego Raczyńskiego we „Wspomnieniach Wielkopolski” ogłoszonej.

¹⁾ Wedle p. Kar. Hoffmana dodane te figury mają być wykonane dłutem O. Sosnowskiego.

Podług téj to ostatniej formy grobowca Chrobrego, zbudowanego po r. 1766 i ostatecznie upadkiem wieży katedralnej zgruchotanego, zrobiony być musiał mały relikwiarzyk na pomieszczenie kości z wielkiego palca tego monarchy, przechowywany w Pałacu biskupów w Krakowie. W ogólnym planie zgadza się on z ryciną ks. Przyłuskiego, ale się różni wykresem bocznych węgłów w sarkofagu a więcej jeszcze ubiorem figury królewskiej, która ob minus decentem formam dawniej (jak się wyraziła kapituła poznańska w liście do swego biskupa Czartoryskiego), ma tutaj kształtniejsze proporcey i bardziej wyraziste uzbrojenie.

Aby zresztą wyczerpać dane, mające posłużyć do historii Bolesławowskiego pomnika, to jest do zdania sobie sprawy z kolej, jakie tenże przechodził, a tém samém do ocenienia: co w nim może być przedmiotem historycznej krytyki, potrzeba mi jeszcze zwrócić uwagę na mniemanie Bielowskiego, który utrzymuje, że znajdujący się w Poznaniu w początkach XV stulecia pomnik grobowy Bolesława Chrobrego był inny od tego, jaki w półtora wieku później widział Sarnicki, a po nim wielu innych aż do ks. Patelskiego; był bowiem marmurowy, kiedy wszystkie późniejsze świadectwa już tylko o kamiennym mówią.

Opiera Bielowski swoje mniemanie na ubocznej wzmiance, jaką Jerzy Merkiel, notaryusz czy burmistrz poznański, przywołany na świadectwo w sprawie z Krzyżakami w r. 1422 w swém zeznaniu uczynił, wspominając o grobowcu Chobrego w tych słowach:

„et ita videntur sonare cronicae et epitaphium, scriptum in sepulcro predicti regis sculptum in lapide marmoreo.”

Sprawiedliwie uważa Łukaszewicz, że tego wyrażenia dosłownie brać nie można. Kwestya bowiem materyału, z jakiego był zbudowany grobowiec Bolesława, obojętną była zarówno dla świadka jak i dla tego, który zeznanie jego na papier prznosił. A kiedy pozostałe resztki tego pomnika są z kamienia białego, a dawnością swoją w każdym razie zeznanie Merkiela uprzedzają, widać z tego, że Merkiel materyału grobowego albo nie uważał, albo na razie nie pamiętał, albo (co najpodobniejsza) w słowach swoich chciał po prostu dla dobitności twardość kamienia wyrazić. Jakoż niezaprzeczoną przesadę w jego zeznaniach wykazał na oczy Łukaszewicz. Cóżkolwiek bądź, jest to z kąd inąd ważne dawności pomnika Bolesławowskiego świadectwo, które Bielowski sprawiedliwie pod bliższą rozważę poddał.

Uzupełnia wreszcie historją tego pomnika wzmianka o nim, jaką znajdujemy w przedmowie Długosza do życiorysów Biskupów Poznańskich, gdzie, mówiąc o Kazimierzu Wielkim, tak się wyraża:

„sarcophagos regum humiles et sole aequatos petrosa mole super imposita erexit etc.;" (grobowce królów niskie i w ziemię zapadłe przez położenie kamiennych głazów podniósł).

Łukaszewicz, wyrobiwszy w sobie przekonanie, że pierwotny grobowiec Bolesława Chrobrego jest dziełem kapituły katedralnej po-

znańskiej, zaprzecza powyższemu świadectwu Długosza, a jako dowód przytacza, że w aktach kapituły nie znalazł śladu, aby kiedykolwiek królowie przyczyniali się do ozdoby kościoła katedralnego w Poznaniu. Ale okoliczność ta jak z jednej strony byłaby słabym dowodem wtedy nawet, gdyby można być pewnym, że przejrane przez Łukaszewicza archiwa czasów Kazimierza Wielkiego sięgają, tak przy braku tej pewności żadnego nie ma znaczenia. A Długosz sam, kapłan i o honor każdej kapituły bezwątpienia dbały, nie byłby pewnie zamieścił nic takiego, co by z Aktami katedry poznańskiej nie było zgodne, zwłaszcza w piśmie, w którym życiorysy przewodników tejże katedry skreślić zamierzał. Świadectwa jego zatem w żaden sposób z pod uwagi usunąć nie można, tem więcej, że jest bardzo ważnem, dowodzi bowiem dawnego istnienia sarkofagów królewskich w katedrze poznańskiej, które król Kazimierz z zapadłego położenia wydzwignął.

Zbierając teraz w jedno wszystkie dowody, wyjaśniające i rodzaj pierwotnego Bolesławowskiego pomnika i koleje, jakie on przechodził, okazuje się następujący stan rzeczy:

Co do ogólnej postaci grobowca:

Że pierwotnie aż do panowania Kazimierza Wielkiego był to kamień bezpośrednio na murowanym grobie leżący, i że dopiero staraniem tegoż króla *superimposita petrosa mole* został wywyższonym i na prawdziwy sarkofag zamienionym.

Że na wierzchu sarkofagu spoczywał płyt kamienny, przedstawiający wyrzeźbioną postać królewską w koronie, płaszczu, z mieczem, jabłkiem królewskim i tarczą herbową w rękach.

Że z 14-u leoninów złożony napis, rozmieszczony był na tym wierzchnim płycie dwoma rzędami w około figury królewskiej.

Że ściany boczne sarkofagu ozdobione były rzeźbionymi figurami, przedstawiającymi 12-u apostołów, z końcowych zaś jedna od strony nóg miała wyobrażenie Zwiastowania, a druga od strony głowy monarszej obraz koronacji czyli Wniebowzięcia Najświętszej Panny.

Że całe to dzieło wykonane było z białego wapiennego czy też piaskowego kamienia.

Co do jego dawności.

Że boczne płyty grobowca z rzeźbionymi figurami apostołów i Najśw. Panny, pochodziły z wieku XIV z czasu panowania Kazimierza Wielkiego, co się także okazuje z pozostałych dwóch figur, przypominających bardzo robotę figur na grobowcu Władysława Łokietka.

Że wierzchni płyt z napisem niekoniecznie był samemu sarkofagowi współczesnym; ale mógł z dawniejszego grobowca pochodzić, chociaż w niektórych szczegółach był później poprawionym.

Co do kolei, przez jakie przeszedł grobowiec Chrobrego.

Że cały pomnik przez króla Kazimierza Wielkiego, podniesiony i ustawiony w środku wyższego chóru, przetrwał z pewnemi w szczegó-

łach zmianami od tego czasu aż do przekształcenia spalonej katedry poznańskiej pomiędzy rokiem 1744 a 1755, w którym to czasie ob minus decentem structuram został rozebrany.

Ze po roku 1766 na nowo go odbudowano, przy czém, zachowując pierwotną sarkofagową formę, nadano mu kształtniejsze wymiary, ozdobiono nową figurą monarszą i już nie na środku części kapłańskiej jak dawniej; ale w kaplicy pod wieżą po prawej stronie nawy ustawiono.

Ze ten drugi pomnik za biskupstwa Ignacego Raczyńskiego (1792—1805) przez strzaskaną od pioruna wieżę gruzami przywalony prawie bez śladu zaginął i pozostała tylko z niego mała kopia w pałacu biskupów krakowskich.

W ten sposób wyjaśnia się prawie zupełnie kwestya, dotycząca ogólnej postaci Bolesławowskiego grobowca oraz przekształceń, jakim tenże w różnych czasach ulegał, a nawet epoki, w której dolna przynajmniej część jego była zbudowaną. Pozostaje druga nierównie trudniejsza ta właśnie, która już tylu naszych badaczy zajmowała i onych, że tak powiem na dwa obozy rozdzieliła, to jest kwestya dawności wierzchniego płyty i zamieszczonej na nim równie figury królewskiej, jak i pod wieloma względami dziwacznej i oryginalnej napisu.

Tutaj przedewszystkiém należy rozebrać zarzuty przeciw zbyt odległej dawności tej głównej części Bolesławowskiego pomnika, stawiane przez Łukaszewicza, Lelewel bowiem w ostatnim swoim o wspomnianym grobowcu artykule prawie od wszystkich poprzednich zdań odstąpił.

Łukaszewicz utrzymuje stanowczo, że cały grobowiec Bolesława łącznie z owym napisowym płytą był dziełem z czasów Kazimierza Wielkiego albo nawet Władysława Jagiełły, a w poparciu zdania swego przywodzi liczne dowody, które na cztery kategorye podzielić się dadzą.

1) że o wspomnianym nagrobku milczą kronikarze nasi z XII, XIII i XIV wieku, a mianowicie Gallus, Kadłubek, Bogułał i Janko, archidyakon gnieźnieński.

2) że aż do wieku XIV-o nie było u nas w zwyczaju stawiania nagrobków nawet monarchom.

3) że grobowiec Bolesława nosił na sobie rzeźby znacznie późniejszą jego epokę wykazujące.

4) że nareszcie zamieszczony na nim napis żywcem z Galla i Bogułała jest wzięty ¹⁾.

Ponieważ zaś powyższe zdanie zasłużonego; ale namiętnym sceptycyzmem przejętego historyografa miasta i diecezji poznańskiej, jak dotąd, o ile wiem, ostatniém słowem co do dawności pierwotnego Bole-

¹⁾ W tym właśnie punkcie p. Karol Hoffman zdanie Łukaszewicza w zupełności podziela. Rozebraną zaś część nagrobka za nierównie dawniejszą od napisu uważa.

sławowskiego pomnika, nad każdą przeto z powyższych kategorii jego zarzutów oddzielnie uwagę czytelnika zastanowić muszę. I tak:

Co do pierwszej kategorii, że kroniki Galla i Kadłubka czyli Wincentego nie nam o grobowcu Bolesława Chrobrego nie namieniają to jest rzeczywistą prawdą. Ale z tego nie wynika jeszcze konieczny wniosek, aby wspomnianego grobowca w owęj epoce nie było. Ktokolwiek się nad całością każdej z tych kronik zastanowił, i wniknął w ducha, w jakim jedna i druga była pisana, ten brakowi podobnej wzmianki wcale się dziwić nie będzie, ten owszem przyznać musi, że ona obok całego w nich panującego toku byłaby nawet rażąca. I Gallus bowiem i Kadłubek nie byli to prości Annaliści, którzyby bez braku notowali każde wiadome im zdarzenie jedynie dla przekazania go ludzkiej pamięci. Zadanie ich było inne, i część też właściwie kronikarska stała u nich na drugim, że tak powiem planie. Jakoż Gallus panegerysta monarszy pisak, że tak powiem poeta na pochwałę Bolesława III-o i jego przodków. Własnymi słowy świetność ich czynów wynosi, wszędzie zamilczając to, coby ją przyćmić mogło.

W opisie czynów Bolesława Chrobrego homerycznym sposobem kładzie w usta Ottona cesarza słowa dla monarchy polskiego pochlebne, a w usta tego ostatniego przedśmiertne niby proroctwa o dalszych Korony Polskiej kolejach tak, jakby jedno i drugie na własne uszy słyszał. Kończy wreszcie ustęp oddzielną przez siebie ułożoną na śmierć tego monarchy elegią. W całym tym opisie Galla tak jak w wielu innych jego opisach widać uniesienie poetyckie, widać dozwolone w takim razie nawet historykowi od ścisłej prawdy zbrocenia. Wtrącona w tém miejscu prosta o jakimś nagrobku wzmianka mogłaby tylko zubożyć wrażenie, jakie poeta historyk wierszami swemi widocznie na słuchaczu zrobić usiłował. To też Gallus, wyrażając się o śmierci Chrobrego w słowach więcęj wyszukanych:

„Rege itaque Boleslauuo inter homines exeunte“ nie wymienia nawet gdzie ta śmierć króla zaskoczyła, a przecież o niewiadość w tym względzie posądzić go nie można. Widać tylko, że wzmianka o miejscu zgonu a tém bardziej o pogrzebie lub nagrobku monarchy zdawała mu się w jego poemacie niewłaściwą.

Kadłubek zuowu czyli właściwie magister Wincenty, kapłan i filozof, z każdego zdarzenia moralną wyprowadza naukę, nie jest on już panegerystą, ale jako historyograf stanu wybiera fakta głównejsze, a jako biskup korzysta z każdego, aby pożyteczną dla panującego prawdę przypomniał, i w tém swoim żądaniu często całych sentencji od starożytnych pisarzy pożyczka. Zamieszczone w jego kronice rozmowy Mateusza z Janem, w których właśnie historia Bolesława Chrobrego się znajduje, tym samym zupełnie tchną duchem. Z takim rodzajem przedstawienia rzeczy cóż może mieć spólnego wzmianka o pogrzebie albo o nagrobku któregokolwiek monarchy, kiedy najczęściej nie

wspomina nawet kronika o ich śmierci, i autor, nie troszcząc się o to, co w naturalnym biegu rzeczy nastąpić musiało, przystępuje wprost do opisania zdarzeń, jakie później miały miejsce. Zresztą ani Gallus, ani Kadłubek nigdzie nie wymieniają daty opisywanych przez siebie zdarzeń.

Co do Bogufała z tym rzecz ma się inaczej; jemu charakteru ściśle kronikarskiego odmówić nie można. Bogufał krótko i bez żadnych uwag opisuje zaszłe zdarzenia, ale przy każdym z nich daty skrupulatnie zaznacza. Jakoż i lata zgonu wszystkich królów i książąt polskich z wyjątkiem jednego Mieszka I-o są u niego zanotowane. W jego kronice wzmianka o grobowcu Chrobrego byłaby już na swoim miejscu, ale też nie można na pewno utrzymywać, aby jej wcale nie było.

Bogufał zwykł się jak najkrócej wyrażać. Dziesięć wierszy jego kroniki zawiera nieraz więcej zdarzeń niż całe stronicowe Kadłubkowych deklamacyi. Wspominając wszędzie datę śmierci każdego z panujących trzy razy tylko miejsce ich zejścia i pochowania wymienia, to jest pod Bolesławem Chrobrym, Mieszkiem Starym i Leszkiem Białym. Porównajmy użyte przez niego w każdym z tych miejsc wyrażenia.

O śmierci i pochowaniu Bolesława Chrobrego czytany w Bogu-fale te słowa:

Obiit autem A. D. millesimo XXV in castro Poznaniensi ibique in medio ecclesie tumulatus requiescit.

O zejściu Mieszka Starego wspomina Bogufał w ten sposób:

Obiit autem Kalis A. D. millesimo CCVI et sepultus in ecclesia S. Pauli per ipsum fundata in sepulcro filii sui Mesconis.

Nareszcie o pochowaniu ciała Leszka Białego zabitego w Gąsawie tak mówi:

Dux Lesco de loco necis in Cracoviam ducitur, ibique in majori ecclesia honorofice A. D. MCCXVII sepellitur.

Uderzają tu zaraz dwa odmienne wyrażenia, *tumulatus* i *sepultus*, których wedle mego zdania za jedno brać nie można. Wyróżnienie *tumulatus* znaczy coś więcej niż *sepulcrum*, coś więcej niż prosty w ziemi ukryty grób, każe on się domyślać czegoś nad powierzchnią wystającego np. kamienia, mogiły i t. p. Legenda o Ś-tęj Jadwidze, dzieło przed r. 1300 napisane, mówiąc o grobowcu tój świętej raz nazywa go *mausoleum*, a w inném miejscu *tumulatus*, co najlepiej przekonywa o właściwém znaczeniu tego ostatniego wyrazu. A kiedy Bogufał powiada, że Chrobry w Poznaniu *tumulatus* *requiescit*, łatwo już przypuścić, że miał na myśli grobowiec nad powierzchnią posadzki wystający.

Ale wyraźniejszy jeszcze dowód bytu Bolesławowskiego grobowca za czasów Bogufała z dalszych jego słów wyprowadzić się daje. Pisze on bowiem, że Bolesław spoczywa zamknięty w grobie w środku wyż-

szego kościoła (czyli chóru) in medio majoris ecclesiae katedry poznańskiej. W tém samym miejscu znalazł go biskup Tolibowski w swojej wizycie—i objaśnia dalej, że miejsce to—nim jeszcze chór niższy był wystawiony—w środku ówczesnego kościoła leżało.

Łukaszewicz przytacza, że katedrę poznańską dopiero za biskupstwa Lubrańskiego, to jest w początku XVI wieku przez przybudowanie chóru wyższego powiększono. Niewiem co przez wyraz „chóru wyższego albo większego” historyograf kościołów dyecezyi poznańskiej rozumiał i mniemam, że w tym względzie pewne nieporozumienie zachodzi. Chórem większym albo wyższym nazywa się właściwie część kapłańska (Praesbyterium), która jeśli z samą nawą, to jest z chórem niższym nie jest spóczesną (co tylko w najdawniejszych kościołach się przytrafia), to zawsze od niej jest wcześniejszą, i ona sama pierwotnie całą stanowiła świątynię. Tak było i w katedrze poznańskiej, jak się to okazuje ze słów biskupa Tolibowskiego. Ale już za biskupa Bogufała kościół ten miał dwa chóry, i już wtedy grób Bolesława nie stał w środku kościoła, ale w chórze wyższym.

Co do kroniki Janka, archidyakona Gnieźnieńskiego, milczenie tegoż możnaby zupełnie pominąć, skoro był grobowca Bolesławowskiego za jego czasów świadectwem Długosza jest stwierdzony. Ale gdyby nawet tak nie było, to w żadnym razie brak wzmianki o tym grobowcu w kronice Janka twierdzenia Łukaszewicza w niczémby nie poparł, kiedy wspomniana kronika opisowi panowania 4-ch pierwszych chrześcijańskich monarchów w Polsce 18 tylko wierszy poświęciła. Przy takim pobieżnym na dzieje owych czasów poglądzie trudno wymagać podobnych szczegółów, a jeśli Janko o śmierci Bolesława Chrobrego wcale nie wspominał, żadnego nie można budować wniosku na tej okoliczności, że o jego pomniku zamilczał.

Bije mocno Łukaszewicz w to, że Janko, archidyakon, mówiąc o Janie Suchym Wilku, arcybiskupie Gnieźnieńskim, w najdrobniejszych wdał się szczegóły, i opisał nawet kamień, który sobie tenże z Flandryi na grobowiec sprowadził, i że w inném miejscu namienił o straszkaniu posągów Przemysława i Ryxy przez piorun, a o pomniku Bolesława nic nie wspominał. Ale to jest rzecz bardzo naturalna. Janko bowiem pisał obszernie o tém, co się za jego czasów i pod jego oczami działo, dawniejsze zdarzenia wspominał jedynie pokrótce. Szczegóły o Janie Suchym Wilku zajmują u niego całą kartę w wydaniu Sommersberga, to téż nie pominął żadnego z tych, które mu wiadome być mogły, kiedy przeciwnie w opisie panowania pierwszych naszych monarchów pokrył milczeniem wiele szczegółów nierównie od grobowca Chrobrego ważniejszych.

Tak samo rzecz się ma z wiadomością o zniszczeniu posągu Przemysławowskiego. Wiadomość ta jest w kronice Janka zupełnie nawiasową, bo nie ten pomnik był przedmiotem opowiadania, ale szkody, jakie za jego pamięci zrządził piorun w królewskiej kaplicy poznań-

skiego kościoła. Grobowiec Chrobrego nie stał w téj kaplicy, piorun go nie dotknął, kronikarz zatem do wspomniania o nim żadnego nie miał powodu.

Widać, że tak zwana kronika Anonima a właściwie Janka z Czarnkowa, archidyakona Gnieźnieńskiego, z dwóch części się składa, z których pierwsza, zdarzeń wieku X, XI i XII dotycząca nadzwyczaj krótka i pobieżna, jest prostą jakiegoś wcześniejszego annalisty kopią, druga, obejmująca zdarzenia pisarzowi spółczesne, pod względem obszerności świadectw wszystkie dawniejsz kroniki przechodzi.

Ograniczyłem się tutaj na przedstawieniu układu i ducha tych tylko kronik, które Łukaszewicz na poparcie swoich twierdzeń przytoczył, ale to samo możnaby powiedzieć i o innych tamtoczesnych annałach, z których żaden nie ma takich rozmiarów, aby w nim brak wzmianki o grobowcu Chrobrego nie był zupełnie naturalny i mógł służyć za dowód, że pomnik ten za życia annalisty nie istniał.

(dok. nast.).

Z młodych lat
BOHDANA ZALESKIEGO.

PRZEZ

Władysława Tęczyńskiego.

Bohdan Zaleski w jednym z „pyłków” pisze:

Bohdan, Seweryn, Michał, między nami trzema
Ogrywa się osobna niejako poema:
Wszyscy trzej bo rówieśni, z jednego my gniazda
Porwali się do lotu i jedna nam gwiazda
Mrugnęła w drogę z góry ku ziemskiej zamieci.

Nie wiadomo nam, kiedy ten wierszyk był pisany, niewątpliwie jednak wtedy już nie tylko Zaleski i Seweryn Goszczyński, ale i Michał Grabowski, wystąpili byli jako pisarze jedną związani dążnością i wtedy już wszyscy stynęli, kiedy poeta dalej pisze, że zaden z nich—, „ani nie ciekawy, kto ma być z nich lepszy? kto duźszy?” Następnące wspomnienie z młodych lat Bohdana Zaleskiego nie ma być komentarzem do wypisanego górą wierszyka, ale da nam poznać stosunek trzech, ściśle biorąc, dwóch „rówieśników“ w tych latach, kiedy się „zrywali do lotu.“ — Szczeńliwy przypadek zdarzył, że zachowało się przeszło dwadzieścia listów Michała Grabowskiego z lat 1823 do 1828, pięć Jana Krechowieckiego i jeden Seweryna Goszczyńskiego do Bohdana Zaleskiego. Listy te, stanowiące dość nieprzerwany ciąg w korespondencyi, zebrane starannie przez hr. Szembeka, syna generała Szembeka, a ucznia Bohdana Zaleskiego, dostały się przed wielu laty w darze piszącemu, i ponieważ w biografii ukraińskiego śpiewaka, pomimo pięknego wspomnienia p. Duchinińskiej („Bibl. Warsz.“ 1886, II, 240) i anonima *N.* w „Przeglądzie Pol.“ (1887, zesz. stycz.), zapełnia-

ją choć w drobnej części szczerbę, zasługują więc na uwzględnienie. Choć listy te nie odsłaniają żadnych nowych wielkich widoków, to zawierają jednakże dużo ciekawych i pewnych dat i szczegółów, ukazują przędzę poetycznych myśli, wysnutą z serc kochających i będą miały wartość netylko dla historyków literatury, ale i dla niezliczonych wielbicieli Bohdana Zaleskiego. Porządek chronologiczny będzie i dla nas nicią przewodnią: tym sposobem wspomnienia z przeszłości, wspólne przyjaciółom i obecne różne ich życia warunki najlepiej staną przed oczami czytelników; osobiste sprawy tylko o tyle będą dotknięte, o ile rzecz tego wymaga.

W latach korespondencji z M. Grabowskim, Bohdan Zaleski nie przebywał w Warszawie, ale na prowincyi jako domowy nauczyciel w domu generała hr. Szembeka, w Płocku, w Rawie i może gdzieindziej, co mu jednakże nie przeszkadzało bywać w Warszawie, szczególnież kiedy generał z pułkiem ścigał do stolicy „na letni kampaent.“ Tak się ta rzecz przedstawia z listów, które téż z tego powodu zostały się w posiadaniu rodziny hr. Szembeków. Ponieważ zaś jest wiadomość pewna, że Bohdan Zaleski był także domowym nauczycielem państwa Górskich, więc epoka ta w jego życiu może wyprzedziła pobyt w domu generała Szembeka. Nie ma jednak w tém zupełnej pewności. Pani Duchńska pisze, że około r. 1825 przebywał pod Kutnem w Leszczynku, w domu pułkownika Górskiego, zajmując się wychowaniem jego syna, i rzeczywiście list Jana Krechowickiego z Warszawy 1 czerwca 1824 r. do Zaleskiego pisany, zaczyna się od tych słów: „Smutne nowiny o zachorowaniu Bohdana odebraliśmy z Leszczynka, w odpowiedzi na listy, które pisaliśmy do Ciebie,“ ponieważ jednak w listach z r. 1824 do 1825 zwykle Płock jest miejscem pobytu Zaleskiego, a w październiku 1824-go roku Grabowski ekspeduje „Ukraińskie pieśni,“ oddane mu przez Kundzieza dla Bohdana przez okazyją z Komisji wojny do hr. Szembeka, więc chyba mogło być, że Zaleski w maju 1824 r. czasowo tylko bawił w Leszczynku.

Zostawiając ten szczegół chronologiczny w zawieszeniu, weźmy listy do ręki.

Pierwszy list M. Grabowskiego w naszym zbiorze, pisany 23-go marca 1823 roku z Warszawy do Płocka, nie jest jednak pierwszym w ogóle, poprzedziły go już inne: „Opuściłem kilka czwartków, szczęściem Ty byłeś akurataniejszym.“ List ten pisany był w błogiej chwili: Grabowski, który wtedy, jak się zdaje, pracował w jednym z biur ministra oświecenia Stan. Grabowskiego, otrzymał od matki 2,000 rubli, obietnicę drugich dwóch tysięcy, do których Berezowski obiecał dodać od siebie 1,000, więc Grabowski spłacił długi, uregulował wydatki i mógł myśleć o powiększeniu swojej biblioteki; „jeżeli tam w Płocku jest do nabycia Marcin Bielski, Strykowski, albo inna kronika, kup dla mnie.“ Więcej jednakże zajmuje go nowsza literatura: „nic mi téż nie piszesz, jakie na Tobie zrobił wrażenie Szyller... Wawerleya nie ma w żadnej księgarni w Warszawie...“ potem jest mowa o po-

wieści d'Arlicoura *L'étrangère*, która się Grabowskiemu bardzo podobiała, i o Salvandego *Don Alonzo ou l'Espagne*, która w formie romansu zawiera obraz historyczny, „takie właśnie miałem wyobrażenie o romansie historycznym... O Józefie, jak my w naszym zakątku daleko jesteśmy od codziennego posuwania się innych narodów.“ Takie imię t. j. Józef miał Zaleski w młodszych latach, drugiego imienia t. j. Bohdan używał później na emigracyi, dla odróżnienia się od Józefa Zaleskiego, starszego latami krewniaka, żołnierza z lat 1812 i 1813, porucznika w pułku gwardyi strzelców konnych z pierwszych lat królestwa kongresowego, który Bohdana poznał już w Humaniu i który na emigracyi był jego prawdziwym stróżem aniołem.

Drugi mały listek, pisany z Warszawy w prędkości i niepokoju, ma dopiero datę 17 listopada 1823 r., ale w przechowanych listach, zdaje się, żadnego nie braknie: „W takim byłem roztargnieniu i zamęcie przez te kilka miesięcy od czasu, kiedy byłem u Ciebie, że nie mogłem zebrać napisać do Ciebie nigdy, bom nigdy nie był pewnym, co Ci mam donieść o sobie. Teraz ustaliłem przecie moje projekta. Zimę przepędzę w Warszawie, na wiosnę zapewne wyjadę do Petersburga.“ Zdaje się, że nie tylko nieustalone „projekta“ były powodem przerwy korespondencyi po wizie Grabowskiego u Bohdana, ale w ogóle rodzaj życia—„bez celu.“ „O, ileż razy potrzebowałem Ciebie, ale moje błędne, niepewne i bezcelne życie nie pozwala mi téj stódcy przyjaźni, aby dzielić z Tobą i troski i nadzieje moje... Nie uwierzysz, że w tym miesiącu miałem więcej pieniędzy, jak nigdy i że znowu jestem bez szeląga przy duszy...“ Po tym liście następuje przerwa długa, bo następny list jest dopiero z 4 maja 1824 r. „Już dwa tygodnie od Twego wyjazdu upływa, a jednak żadnej wiadomości od Ciebie, z Krechowieckim Cię więc zawstydzamy.“ Jan Krechowiecki był przyjacielem Zaleskiego już w czasach w Humaniu, gdzie jego mentorem był Jeżowski, później kończył nauki na uniwersytecie w Wilnie i Warszawie, i pisywał bezimiennie artykuły do różnych pism czasowych, pomiędzy innemi recenzją o *Zamku Kaniowskim* przyjaciela swego Goszczyńskiego, z którym również kolegował w Humaniu. Po śmierci Grabowskiego r. 1868 napisał w felietonie „Zsnu“ nekrolog jego, który i nas w niejednym względzie objaśni. W ogólném położeniu Grabowskiego nie się nie zmieniło: „nudzę się, robię długi, czytam Walter-Scotta, tracę pieniądze, — i wmawiam w siebie, że śmiejąc się i trzpiocąc jestem szczęśliwy... jestem w chaosie, nie chcę się ocknąć z letargu.“ Pięknie to świadczy o uczuciach obydwu przyjaciół, że w chwili podobnego rozstroju Grabowski woła: „O, Józefie, pisuj do mnie, Twój głos tylko może jeszcze przeszłość powrócić. Ty tylko jeden możesz jeszcze obudzić w móm sercu to moje uniesienie, ten zapach do wszystkiego, co jest szlachetne i piękne, który się mnie już stał obcym oddawna... Ty mnie przekonaj, że przyjaźń nie jest złudzeniem przynajmniej.“ Ale po tylu rozpaczliwych słowach, nie zapomina piszący w dopisku o bieżących spra-

wach, posyła Bohdanowi *Iwanhoe*, chce mu przysłać *La fiancée de Lamermoor*, prosi o zwrot *Quentin Durwarda*... także Żukowskiego, „gdyż mi się Czujkoff naprzykrza,” przedewszystkiemi przypomina obietnicę i prosi o poezye: „nie zapominaj obietnicy przysłania Twoich i Goszczyńskiego poezyi,” zapewne to coś innego, aniżeli jakiś rękopis, który Bohdan Zaleski dał był Skarbkowi: „donieś mi, czy mam u niego odebrać Twój rękopis, lub, gdybyś go już odebrał (Zaleski miał się z Skarbkim widzieć na wsi), to mi go przyslij.” Z tym listem razem wysłał także list swój Krechowicki, „młody niegdyś przyjaciel,” jak go Zaleski dawniej nazywał, list pełen przyjaźni i tęsknoty, w którym krótkie widzenie z Zaleskim przed dwoma tygodniami, jego „prawie nagły wyjazd,” pragnie sobie wynagrodzić powrotem do wspomnień... „lubo lękaś się przypomnień, oswajając się z niemi... Jeżeli mały przeciąg życia nie przeszkodził Ci już być nieszczęśliwym, znajdziesz we śnie przeszłości zapomnienie obecnego położenia.” Zaleski 23-go maja 1824 r. „w zartobliwym tonie donosił, że się czuje nie zdrow, ale Grabowski w liście z 30 maja nie lekceważył tej wiadomości, troskliwie dopytuje się o symptomata cierpienia, chce się Malcza poradzić, radzi więcej dbałości o zdrowie. Ta czuła troskliwość o zdrowie przyjaciela przychylnie nas usposabia względem Grabowskiego, który w tym czasie nie tylko swoje zdrowie, ale spokój serca i życie swoje lekkomyślnie na szwank wystawiał; donosi o pojedynku z kapitanem Olbratowskim (?), wskutek kłótni z „pikczemnymi ludźmi,” który jednak dla braku sekundanta odłożony był na później, i zwierza się, że się kocha na zabój w aktorce Wilkowskiej .. o którą miał awanturę z pewnym oficerem sztabu, o której już był Zaleskiemu opowiadał,— ale kocha się bez nadziei, bo arystokratyczne przesady i duma nie pozwalają mu wzdychać do ładnej śpiewaczki, bo „świat, w pośród którego żyje, nauczył go wstydzić się wszelkich uczuć głębokich i prawdziwych...” „tylko dla Bohdana serce jego nigdy skrytem nie będzie... Ale do tej „płaczliwej epitry” przyklejona jest karteczka z 2 czerwca z wiadomością, że przybyli do Warszawy państwo Zł... i „ładna Nelly,” dla której „podróżne uczucia odżyły na nowo .. serce więc między Scyllą i Charybdą.” W owym żałosnym postanowieniu jest mowa o poezjach Zaleskiego: „Obiecujesz mi przysłać poezye Goszczyńskiego, a nie mówisz o swoich, któreś mi obiecał i o które prosiłem. Józefie, gdybyś Ty wiedział, ile dla mnie chwil napętnisz nowym życiem... Twoje poezye, które jak czyste wody Dnieprowe potwarzają (odbijają) samotne brzegi i błękitne niebo Ukrainy, przeniosą mię w te miejsca i czasy, kiedym nie znał innego uczucia nad głęboką moją i czystą przyjaźnią dla Ciebie.” Jak bardzo Grabowski w Zaleskiego wierzył, widać jeszcze z prośby, aby napisał kilka słów do Rydzewskiego, który doznał rozczarowania od wietrzniacy... „on Cię tak ceni, że to go odwiedzie od nieczynności i roztargnienia.” Razem z tym listem odszedł także list Krechowickiego, gdzie boleje nad

smutnemi nowinami z Leszczynka t. j. nad chorobą Zaleskiego, i cieszy, że za miesiąc zobaczą się w Warszawie.

W listach obydwóch przyjaciół jest w tém miejscu znaczna przerwa; być może, że Zaleski w lipcu był w Warszawie i może dłuższy czas tam zabawiał, o czém w listach niestety nie ma żadnych napomknień. Krechowiecki zresztą, który niedawno temu (wedle listu z 4 maja) sposobiał się być „do egzaminów w akademii,” w początkach września 1824 r. stolicę opuścił: przyjaciół swych bliższych: Grzymałę, Grabowskiego i Humnickiego pożegnał w Wilanowie, gdzie razem do 6-ój zrana bawili, a 3-go września listem z Puław pisany m żegna Zaleskiego; podróż odbywał powoli, późno wieczorem stawał na noclegi, bo księżyc jasno świecił: „wczoraj szczególniej pocieszałem się tą myślą, że może i Ty w Płocku w nocnej przechadzce szukasz ulgi dla siebie.. może nas jedne myśli zajmowały.“

Dotychczasowe wyjątki z listów Krechowieckiego dały nam go poznać ze strony marzycielskiej i melancholicznej; może ta skłonność, z której tu zaledwie cień przedostał się do naszego sprawozdania, była niejednemu ze zwolenników romantyzmu właściwą; Grabowskiego broniło w tym względzie usposobienie żywe przynajmniej od zbytku elegii, Krechowiecki zaś w liście z 24 września, już z Leszczynówki na Ukrainie do Płocka, przedstawiając „wierny obraz swego umysłu,” widocznie więcej był skłócony z sobą i życiem, do czego może i skołatanie zdrowie się przyczyniło. „Bez rzeźwości wrodzonej młodemu wiekowi, dręczony konwulsyjną drażliwością, która przy najmniejszym wzruszeniu... prawie bezprzytomnym go czyniła, szukał napróżno spokoju... i teraz na wsi cichój widzi swoje złudzenie, bo źródło złego w sobie nosi, a nawet teraz kapryśna myśl za nieznane unosi go granice, i nieraz samotny ugania się za smutnym poświstem wichru jesiennego, lub miedzami polnemi w dalekie zachodzi jary.” Ale ta jesienna zawierucha w duszy jego nie jest bez jasných chwil nadziei i otuchy. „Z pociechą czuję jeszcze ogień... i widzę, żeś niesłusznie żartował sobie, gdyśmy byli razem (zapewne niedawno temu latem w Warszawie), że jestem na świecie, chociaż nie dla świata“ (słowa z *Dziadów*). Co do przyszłości swojej daje takie napomknienia: „Pogrzebłszy z uczuciami, które poranek mój uświetniły, wszystkie widoki moje... chcę być i usnąć na miejscach znojem poprzedników złanych... Wreszcie czego pożądałem, otrzymałem; dość żalów niestusznych. Teraz jadę do Kijowa za interesami...” Jest w końcu przypisek: „Brata Twojego (Eliasa?) list posyłam. O Sewerynie (Goszczyńskim) najgorsze wieści, później się odedmie dowiesz.“

Następny list Grabowskiego jest dopiero z 17 septembra 1824 r.: „Daruj, że od tak dawna nie odpisałem na Twój list, dosyć znasz mój rodzaj życia, ażebyś mi przebaczył. Ja już zaczynam się przekonywać, iż musi to być napisano w górze, ażebym ciągle wiódł najnieregularniejsze życie;“ znowu miał mieć pojedynek i to z poetą Humnickim (autorem tragedyi *Żółkiewski pod Ceworą*, 1818) o jakąś sprzecz-

kę, szczęściem Teodor Sobański rzecz załatwił, iż skończyło się na trzech ucztach, ale pieniądze (1,000 zł. od matki) poszły w rozsypkę, — i teraz ma dobrowolny areszt domowy i wiele czyta, szczególniejsze historyczne pamiętniki francuzkie, „zgoła gotuje się do dyplomatycznego zawodu“¹⁾, tęskni za duchowem z Zaleskim obcowaniem i prosi, aby przysłał dawno obiecaną poezye i *Przechadzkę* Goszczyńskiego; w nim także odzywa się chęć pisania, tylko potrzeba, aby Zaleski często pisywał, a wtedy „Powstanie mędrzec, a gwiazda poetów“ i t. d. żartuje sobie, cytując *Dziady*. Za tym listem w ślad pospieszył inny 20-go października 1824 r.: „ostatni list był dosyć birbancki, ten literaturze poświęcam.“ List ten niezawodnie ciekawy, zawierający wcale nie-pochlebny sąd o balladach Witwickiego, ale bezładny i z pretensyą napisany, miał być na czyste ułożony, ale go Grabowski odesłał tak, jak był, jednak z tą żartobliwą prośbą: „list ten, zanim spalisz, naśladując skrupulatnego akademika francuzkiego, popraw wszystkie błędy“ etc. Otóż sąd taki: „Wyszły nareszcie owe sławne ballady Witwickiego. Parturiunt montes nascitur ridiculus mus (z W. Skotta nabrałem gustu do łacińskich cytacyi). Przyznam Ci się, Józefie, iż nie po przyjacielsku postąpiłeś ze mną, nagadałeś mi tyle o tych balladach, z takimi pochwałami...“ czempredźej więc kupuję i czytam... ten człowiek sprzyjał się, aby mię na wieki zrobić klasykiem! Ażem skakał ze złości, jak mnie zaczął pisać o jakichś robaczkach, Jaśkach, Marylkach... Jeżeli to jest romantyczność, życzylbym, aby ją te duchy i upiory zadusiły... Cóż znalazłem? wszystkie błędy Mickiewicza, bez iskry jego geniuszu... Cała nadzieja w drugim tomie; pamiętasz bowiem, iż pierwszy tomik Mickiewicza dosyć podobne zrobił na mnie wrażenie... nie wiem, do czego nas doprowadzą te duchy, dyabły, mazgajstwa, a najwięcej owe... płaskości i gburostwa, które niektórzy romantycznością mienią... W Mickiewiczu widać geniusz... widzę złą szkołę, wielkie błędy, lecz okupione... boskim promieniem, przeciwnie w Witwickim żadnej myśli prawdziwej i t. d. Już przed nim ks. Baka był takim romantykiem.“ Po tych wybuchach żółci (explosion de ma bile) następuje chłodniejsze dowodzenie, że W. nie rozumie poezyi gminnej, tylko lud z najgrubszej strony kopiuje, nie wie jak użyć cudowności, tylko używa przesądu.“ Chociaż wie, że Zaleski nie podzieli jego zdania i „mimo zaprzeczenia trwać będzie w swoim“, jednak starannie rzecz rozberra i w końcu, w dopisku z 23 października, prosi przyjaciela, aby mu powiedział „co sądzi o tym Witwickim, dla czego drukuje takie bazgraniny i czy on poprawi się kiedy?“ My wiemy, że nietylko Grabowski tak surowo osądził balla-

1) Grabowski nie miał powodzenia w biurze sekretarza generalnego komisji oświecenia, Jana Tarnowskiego, który mu nieczytelne jego referaty zwracał, jak opowiada Krechowicki. To go zniechęciło zupełnie do biura i zaprzestał w nim bywać; zapewne wtedy pomyślał o zawodzie dyplomatycznym.

dy Witwickiego, sądzili niekorzystnie i inni, tak, że autor *Ballady* swoje wycofnął z handlu księgarskiego.

W następnym liście z 2 lutego 1825 Grabowski załatwiwszy się z przesyłką książek, które czytali przyjaciele obydwaj: St. Pierra *Paul et Virginie*, W. Skotta *Letbres de Paul*, Byrona *Conversations*, udziela o sobie bardzo ciekawą wiadomość: „O sobie mam Ci donieść najsmutniejszych wiadomości. Wyobraź sobie, że dotąd miałem jeszcze nadzieję, iż za przyjazdem Nowosilcowa będę mógł się umieścić lub przy nim lub przy Mohrenheimie, nie potrzebowałbym jechać do Petersburga, wczoraj zaś odebrałem list od Mamy, że poleciła Beresowskiemu wysłać mi na ręce niejakiego Temirowa, wice-gubernatora Smoleńskiego, 4,000 rubli, nie wiem nawet dotąd, czy do Smoleńska czy do Petersburga. Wystaw więc sobie moje położenie: muszę tu czekać na Nowosilcoffa, którego się spodziewają nie tak prędko. Nie mam nic prócz długów. Cała nadzieja w Krechowieckim.“ Wreszcie idzie ustęp o sprawach literackich i wiadomości, które wprost miały Zaleskiego obchodzić: „*Astrea* dotąd nie wyszła, znów na sobotę (4 lutego) obiecuje Grzymała. Dałem mu długi list, który miał poprzedzać rozbiór Witwickiego. Grzymała swoim lenistwem psuł mi także projekt, na którym dosyć polegałem (chiał pisywać recenzje), lecz któż może spuścić się na niego? 30 stycznia dopiero przysłał po wiersz Goszczyńskiego, który miał wyjść 1 lutego. Pracując nad rozbiorem *Jana Tenczyńskiego* i nad rysem literatury romansów, wzięła mię chęć do doświadczenia samemu tego zawodu, miałem przedmiot bardzo interesujący i t. d... list wczorajszy (od matki) popsuł mary imaginacji ...i powrócił mnie do nudów.“ W tym dostępie złęgo humoru skarży się po pierwszy raz na brak podniety ze strony Zaleskiego: mając takiego jak ja przyjaciela, któremu zbyt jest ciężko dotrzymaniem sto razy danego słowa wyrwać go z odmetu odrętwienia, wlać nowe życie w jego serce i nowym ogniem zapalić...“ Na ten list nie było odpowiedzi, ale było przypomnienie się przez postać generała Szembeka: Grabowski, który „trochę mimowoli“ pędził życie z Muzami, zaczął już był 16 lutego pisać list w tonie na wpół żartobliwym, na wpół poważnym, kiedy nadszedł posłaniec od Szembeka i dopytywał się o przesyłkę dla Zaleskiego, wnet więc piszący kieruje się ku sprawom bieżącym, które trzeba było załatwić: „Miałem myśl zebrać różne fragmenta... i zrobić dla Ciebie zbiór, jako pamiątkę oddzielną epoki mojego życia, którą właśnie z wyjazdem do Petersburga zakończę... choć małej bezwzględnej wartości, dla Ciebie nie byłby bez ceny.“ Oto wśród starych fragmentów znalazł balladę dawniej nie dokończoną i spaloną, później znowu napisaną, teraz choć „nieprzyjaciel ballad“ posyła ten utwór z „dawniejszych“ czasów i obiecuje dokończyć, jeżeli Zaleski uzna to za dobre... ale „zresztą wiem, że raczej surowości jak pobłażania od Ciebie trzeba mi było żądać...“ Ale piszący czuje, że obecna chwila już niepodobna do dawniej: „Nie uwierzysz, że nie mogę oprzeć się pewnemu rodzajowi smutku wspomniawszy na przeszłość, porównawszy względny nasz stan dzisiejszy z tym czasem,

kiedyśmy podobne składali pamiętniki prac w pierwszej naszej młodości¹⁾. Wtedy wszyscy równi byliśmy, dziś z pobłażaniem tylko może zechcesz mnie czytać; wtedy pierwszy byłem, któremuś powierzał swe prace, dziś może tylko ostatni... Z tém wszystkióm Ty będziesz zawsze, Józefie, miał klucz do wszystkich serca mego tajemnic.“ W kilka dni później, 21 lutego 1825, Grabowski znów wysłał list, tym razem krótki, z adresem: „Wielmożnemu Zaleskiemu w Płocku,“ w którym jednak nie brak ciekawej treści: zajął go *Dmitri Schillera* i inne książki, odebrał też list od Zaleskiego, ale zdaje się, krótki, bo z tęsknotą prosi o ów długi list dawno obiecywany.“

Ale Bohdanowi Zaleskiemu łatwiej było dumę napisać, jak zabrać się do dłuższego listu: „Lubo nie odbieram od Ciebie tylko recepisy na moje listy (tak się zaczyna list z 24 lutego), nie śmiem jednak zaprzestać miłego dla mnie przyzwyczajenia, póki się nie przekonam, że listy moje są dla ciebie natręctwem, a jakkolwiek z trudnością to przypuszczam... na tém skończyć trzeba będzie. Zapewne Żukowski i inni zbyt Ci wiele czasu zajmują... Ze smutkiem, lecz i ze zdziwieniem, Józefie, widzę opuszczenie, którego od Ciebie doznaję...“ ale tłómaczy sobie, że takie widać przeznaczenie: „Ty być powinienes jak jesteś, postępujesz jak przeznaczono, milczysz... tylko Twoje słowa mogłyby być talizmanem, któryby sen twardy mógł przerwać.“ Następują drobne doniesienia, które opuszczamy.

Nie wiadomo co dalej zaszło, nie wiadomo mianowicie, kiedy M. Grabowski opuścił Warszawę, następujący list, z 9 sierpnia 1825, jest z Aleksandrówki na Ukrainie. Powodem opuszczenia Warszawy było, jak napomyka Krechowiecki w nekrologu, nadwątlone zdrowie i dawny projekt wstąpienia w służbę dyplomatyczną, co miało nastąpić w Petersburgu. Ciężkie było z Warszawą rozstanie, przejście z jednej epoki życia do drugiej wcale nowej i ciężko mu będzie „uczucia, których serce jeszcze było pełne, tylko między wspomnienia zaliczać“ i do téj męczącej myśli wraca po dwa razy: „Stało się! czułem głęboko potrzebę czynniejszego życia... zerwałem więzy... bez względu żem własne serce rozdzierał... Jam także kochankę na ofiarę poświęcał...“ i jeszcze raz wraca do tego przedmiotu: „miałem od niój list, nie wiedziałem, że tyle cierpieć mogę,“ a potem idą słowa, które zapewne szczególnie słodko brzmieć miały w uszach Bohdana: O. R... dokończę kuplet Tassa (poprzednio już 4 wiersze przytoczył).

Zrywamy Różę, póki się rumieni,
Niżli jój wdziękom srogi czas zaskodzi,

1) Były to rękopiśmienne zbiory wierszy w Humaniu pod tyt. *Ćwiczenia umysłu na wzór Krzemienieckich Ćwiczeń umysłowych*. Przewodniczyli temu ruchowi pomiędzy młodzieżą szkolną Grabowski i Goszczyński i ośmielali do ogłaszaniań plodów młodego talenta: z téj epoki datują Sew. Goszczyńskiego *Duma o Stefanie Czarnieckim* i *Marzeniu w Zafiówce*.

Bierzmy miłości kwiat, póki się śmieje,
Daje słodczyce i wzbudza nadzieje!

„Przesyłam jęj mój ukłón nieznajómęj dalekiéj—nieznany daleki!“

Jest tu zapewne mowa o pannie Róży, któręj imię Zaleski wymienił w dwu utworach drukowanych r. 1825 (*Fiołek* i *Odmiana*) i w liście do Odyńca z tego czasu: „Mój egzemplarz Mickiewicza zalega u panny Róży;“ pani Duchinińska w opowiadaniu swojém nazywa ją Różą Żukowską, córką obywatela z Ks. Poznańskiego i choć daty przez nią podane nie przypadają do szczegółów w listach, to co do osoby nie powinno być wątpliwości. Młoda marzycielka o dużych czarnych oczach, „śpiewająca jak słówk“ (Wspomnienia Odyńca) zachwycała się od razu młodym poetą, Zaleski w nięj kochał się namiętnie.“ Czy wspomniany w liście Grabowskiego z 24 lutego Żukowski (zob. wyż.) był poeta Ludwik Żukowski, czy pan Żukowski z Ks. Poznańskiego, na to nie ma w listach żadnych wskazówek.

Pierwsze wrażenia Grabowskiego na Ukrainie były wcale nie ponętne. Poznałem wspólną naszą teraz kuzynę Antoniową Proskurzynę, Genowefę Duninównę; mówiliśmy wiele o Tobie: wielka wielbiicielka Byrona, nie W. Skotta. Po wyjeździe z Wołynia, gdiem z 8 dni bawił, z nią pierwszą mogłem przecieź o czémkolwiek mówić,— reszta barbarzyńcy, scyty, antropofagi! Co za wyobrażenia! nie zrozumiesz, jak dziwne robi na mnie wrażenie, że może mieszkać tu będę; jest to zupełnie za światem, w krajach czczych, regna inania!“ Nie było w tém jeszcze decyzji. „Za ósm lub dziesięć dni wyjeżdżam do Petersburga... Mama mocno była przeciwna wstąpieniu do wojska, zresztą generał Rajewski nie komenderuje już korpusem. Wojenny gubernator Miloranowicz (?) był rzadkim przyjacielem mego ojca, a nawet ma dla niego niektóre obowiązki wdzięczności, upewniają mię tutaj, że on mi będzie mógł a pewno zechce pomódz do umieszczenia się w departamencie spraw zagranicznych. Mama mnie więc wyprowadza...“ a piszący list przypuszcza, że mogłoby być inaczej: „Jeżeli się nie umieszczę, jeszcze przed zimą powrócę do domu, a to na zawsze. Mama chce mi moję część wypuścić; przy jakkolwiek szczupłych dochodach będę mógł mieć jednak dosyć książek, a resztę czasu wypełnią ogród, moje myśli, Twoje listy etc. wierz mi, nie zbyt się lękam nowego zawodu ze strony pańskich protekcji.“ Jeszcze raz mówi o niepewnej przyszłości: „Mój Józefie, pisz do mnie, list oddaj Ludwikowi, on mi go przyśle pod adresem Jelenkowskiego do Petersburga, zanim Ci ztamtąd co pewnego napiszę. Wyznaję, że mógłbym w przypadku nie umieszczenia się przyjechać na zimę do Warszawy, i ta myśl ciągle mnie ściga; mnie ze snu budzi tryumf Milcyada!“ I w tym względzie Grabowski z całą otwartością odśłania swe najskrytsze myśli.

Do Petersburga nie pojechał, już z Kijowa do domu wrócił. „Któż lepiej wie od Ciebie, pisze do Zaleskiego w liście z Hubina 20 septembra

1825 jak od dawnego czasu ciągle nieprzewidziane przeszkody wstrzymują mój wyjazd do Petersburga... dla nieprzewidzianych interesów musiałem wrócić z Kijowa i zapewne nie wyjadę przed wiosną, gdyż stan mego zdrowia się pogorszył, a ból piersi, który ciągle czuję...“ nie pozwoliłby teraz żyć w Petersburgu „Zbliża się podobno rozwiązanie dramy, w krótkce finał huczny śpiew!“ Czy ten wykrzyknik, wraz z cytatem z opery „Turek we Włoszech,“ ma osobiste czy téż, zważając na datę, jakieś polityczne znaczenie, w tém nie ma żadnej pewności, (o wyjeździe do Petersburga jest jednak jeszcze mowa w liście z 8-go grudnia). Reszta listu jest ciekawym obrazem stanu duszy Grabowskiego w owym czasie, nie bez zagadek, ale o tyle jasnym, że się czuł obcym w łumie go otaczającym: „roztrzępany i płochy, jakim mnie znasz, ozywiam nieraz całe koło, kiedy nagle uczuвам się znużony, — i mimo wszelkich wykrzykników zamykam się na kilka godzin u siebie“ i t. d. W tym samym rodzaju wystawia, wedle powieści ludzi, życie Krechowickiego: „Wszyscy się tu dziwią jego życiu: nie słyszę jak wzmianki, że się zamknął, że żyje odludnie jak mizantrop... Ktoś zaręczał najuroczyściej, że sfiksował!.. Mój Boże, co za smutne przeznaczenie mieć rozum na Ukrainiel!“

Znowu dość długa nastąpiła przerwa, nie wiemy dla czego? Doświadczamy się tylko, że na jesień r. 1825 Zaleski mieszkał w Warszawie, gdyż list z 20 września kończy się słowami: „Przyślij mi nowy adres, gdyż musicie już mieszkać w mieście,“ a następny z 8 grudnia wystany był z Aleksandrowki do „szumnej stolicy.“ Gorące słowa, jak często i w tym liście poświęcone są przyjaźni: „Krechowieckiego spodziewam się u siebie, od Ciebie nie miałem dotąd ani pół słowa, spodziewam się, że ten posłaniec, który list odda na pocztę w Czechynie, przywiezie z powrotem list jaki z Warszawy...“ przypomina dawną obietnicę, że przez zamianę uczuć i wyobrażeń urozmaicamy jakoś naszą podróż bezplenną i smutną... Józefie, z czyjjej strony załegłość?“ List z 8 grudnia 1825 jest głównie relacją z ustronia, z wygnania dobrowolnego, w którym piszącemu było dobrze, bo obaj przyjaciele kiedyś „tęschnili obadwa do życia samotnego.“ Grabowski więc pisze, że pracuje wiele i regularnie od godz. 8 z rana do 12 w nocy, braknie mu tylko książek polskich, szczególnie historycznych, i o sprowadzeniu swojej biblioteki z Warszawy po kilka razy w listach wspomina. Pamiętając o obustronnej „umowie,“ komunikuje to, co przyjaciela w Warszawie obchodzić może, daje sprawozdanie z pism ruskich, ciekawe i w ciekawych słowach, obszerne, bo blisko 4 arkuszy obejmujące. Wyczytawszy, że w Petersburgu i w Moskwie r. 1826 ma wychodzić więcej niż 30 dzienników, woła: „Jaka to biedna nasza Warszawa, gdzie jeden tylko niespracowany Grzymała utrzymuje jeszcze sławę dziennikarską i to zupełnie w sposób (zmituj się, nie pokazuj mu tego), w jaki nieboszczyk Don Kiszot chciał utrzymać dawne zwyczaje rycerskie.“ Następują potem obszerne sprawozdania i wypisy z czasopism ruskich: *Severnij Archiv*, *Moskowski*

Telegraf, Polarnaja Zorja i t. d. Przepisawszy Jazykowa „pieśń” *Gdzie twoja rodzina, piewiec młodyj*, dodaje te ciekawe dla nas słowa: „przepisując Ci ten kawałek, doskonale wyobrażałem sobie w myśli Ciebie, list ten czytającego: słyszałem deklamacją napuszoną, widziałem brwi zmarszczone, ruch ust,—żem aż pióro porzucił, żeby się lepiej przypatrzeć temu romantycznemu widzeniu.“ Wiemy od Aleks. Grozy, że Zaleski w Humanii bardzo wiele i bardzo efektownie deklamował. Rozczytywanie się w bieżącej literaturze rosyjskiej obudzało w Grabowskim chęć do pisania, pragnąłby tylko podnieć od przyjaciela: „Dla mnie kilka słów Twoich tak nieraz są potrzebne, iż żywo czuję, że same mogłyby wywieść mnie ze stanu odętwienia...” Ale z poezją już się rozstaje: „z poezją myślę pożegnać się na zawsze, zawszem mało talentu sam widział. Jest zawód, w którym sobie obiecuję pośpiechu (powodzenia) t. j. romansów historycznych, zwłaszcza z dziejów jak nasze. Teraz, chociaż pozbawiony wszelkich pomocy i dla braku kronik, zatrzymywany za każdym krokiem, zacząłem pisać romans z czasów klęski Warneńskiéj; drugie dwa przedmioty są: Samuel Zborowski i spisek konfederatów Barskich za Stanisława Augusta.”

Tymczasem, kiedy Grabowski pisał długą swoją epistolę, leżał już w Czechynie na poczcie list od Bohdana Zaleskiego z 3 grudnia (zapewne z Warszawy), ale ten list nie tylko nie przyniósł spodziewanych podnieć i balsamów, ale owszem smutne wiadomości: „Więc już po Twojej smutnej miłości! píše Grabowski w liście z 4 stycznia 1826 (23 grudnia 1825 st. st.). Kilka słów prawie obojętnie wymówionych, mnie zwyczajonemu Ciebie rozumieć oddawna, odkryły cały ogrom Twego cierpienia... Lecz ty się nie poddasz boleści, Józefie, wspomnij wędrownika Byrona... Józefie, bolejesz nad nietrwałością uczuć i nadziei człowieka, lecz mógłżeś kiedy im wierzyć? Widząc niegdyś uniesiesienie, z którym oddałeś się Twojej namiętności, lękałem się zawsze, abyś nie uwierzył wreszcie w trwałość tego stanu oczarowania, w którym byłeś, a który skończyć się musiał koniecznie; lękałem się, bo mogłeś rzecz dawno przewidywać się powinna wziąć za niespodziewany cios przeznaczenia i t. d. Józefie, Tyś nie z rodzaju ludzi, którzy w szczęście wierzyć mogą bezkarnie. Miłość nie dla tego jest ślepa, że nie daje dostrzedz nam niedoskonałości ukochanej osoby, lecz że nas niejako zaślepia i w obłąd wprowadza, w fałszywém świetle wystawia przedmioty...” Coraz więcej sili się Grabowski odebrać przyjacielowi wiargę w miłość: „Nie od dzisiaj masz mnie, Józefie, za niedowiarka w miłości, i jestem nim... Widziałeś sam: byłem kochany, a jednak wyrzekłem się uśmiechów miłości; kochałem i jeszcze serce drży na to wspomnienie... a jednak opuściłem na zawsze wyciągającą objęcia kochankę... dla tego, że nie wierzyłem w szczęścia uśmiechy... Józefie, mogłeś rościć prawo do szczęścia, którego nie ma na ziemi?.. Jesteśmy teraz zrównani, ognisko, łączące nas z ziemią, pękło, przyszłość rzuci na wspo-

mnienie cię poetyczny." Niestety nie znamy szczegółów téj gorącej miłości, tego „oczarowania," w które wprawiła Zaleskiego panna Róża, bo to zapewne ona, której stratę czuł razem z Bohdanem Grabowski. Miłość ta może niedługo trwała, jak wnosićby można z niewielu wzmianek w naszych listach i z tych słów: „Więc już po Twojej smutnej miłości." Wracając się do listu, to Grabowski, odczytawszy go po dwa kroć, uniewinnia jego bezładną osnowę, i to może było powodem, że go nie odesłał zaraz, ale owszem pisanie znów podjął 11 stycznia 1826 r. i zdaje znowu sprawę z bieżącej literatury rosyjskiej, przytacza liczne wyjątki z Norowa, Humańskiego i innych, mówi o pismach literackich, szczególnie o *Telegrafie*, a potem wróciwszy znowu do pisania 15 stycznia udziela wiadomości, z których dokładniej wnosić możemy o treści listu Zaleskiego z 3 grudnia 1825. Jest tam przedewszystkiém mowa o książkach: Zaleski, zapewne odwzajemniając się za obfite nowiny literackie, wymieniał także nowości, których Grabowski nie znał i po które chciał udać się do Bentkowskiego. O swoich pracach Grabowski nie chce teraz nie mówić, bo nie ma o czem: czytał Karmazina, który go zajął nie tylko dla związku z historią ojczyzną, ale i dla starożytnych obyczajów i obrzędów, namawia Zaleskiego, aby przeczytał koniecznie w przypisku do tomu I opis pogrzebu pogańskich rusinów, palenie się dobrowolne niewolników i t. d. „niezmiernie ciekawy kawałek, najciekawszy jaki kiedy czytałem." Zdaje się, że Bohdan Zaleski dopytywał się o Mickiewicza i że w Warszawie na pewno nie wiadano, gdzie się znajduje i co się z nim dzieje, Grabowski więc odpowiada, ale też nie zupełnie dokładnie: „Autor *Dziadów*, Fr. Malewski, i Twój niegdyś pedagog Humański (Józef Jeżowski) są w Odesie. Pierwszego mają tu za improvizatora t. j. po słuchach, bo jego poezyi nie znają. Od czasów nieboszczyka Owidyusza nie wiele postąpił w oświacie kraj Scytów." Jest też w liście wzmianka o najbliższych znajomych: Krechowieckiego dotąd napróżno wyczekiwał, tego dnia lub nazajutrz miał pojechać do niego do Leszczynówki i ztamtąd razem do Bohdana pisać mieli: „ztamtąd będziemy mogli donieść co o Goszczyńskim." Przedewszystkiém zając nas mogły ustępy, tyżące się Zaleskiego samego. Zdaje się, że w chwilach smutku po nieszczęśliwej miłości chciał wrócić na Ukrainę. Samotności z zupełnej nie znajdziesz, a pozbawisz się wszystkich środków i pomocy miasta: tam żyjesz jak chcesz, tu będziesz się musiał stosować do tysiąca drobnych nieznanych zwyczajów." Zdaje się, że Zaleski zataśchniwszy do Ukrainy, pomyślał także o pieśniach ukraińskich, chciał je zbierać i nakłaniał do tego Grabowskiego. Odpowiedź wypadła nie pomyślnie, bo Grabowski, więcej historyk i krytyk niż romantyk, choć niedawno temu pisał w *Bibl. Pol.* z uznaniem o poezyi ludowej, nie okazywał dotąd dla pieśni ludowych wprost zamiętowania: „Co do pieśni ukraińskich, których życzyś, nie mogę odpowiedzieć Twojemu życzeniu, a przynajmniej obiecać na pewno; trzeba by wędrować po kraju, zniżyć się pod chaty wieśniacze... Wszyst-

ko, cóm robił, aby zebrać co z tych pieśni, było bezskuteczne: każdy, kogom się pytał, brał to za żarty, śmiał się, jam się zniecierpliwiał nakoniec i porzucił. Daj mi sposób, a wszystko zrobię, co zechcesz.“ W ostatnim liście swoim Zaleski obiecał pisywać co dwa tygodnie, za co Grabowski serdecznie dziękuje i obiecuje sobie, że ożywiona korespondencya obydwóch zadowolni. „Wszyscy za czemś się uganiają uludnem. My, Józefie, inaczej stworzeni, zbyt skłonni pozbyć się złudzeń i nadziei...“ więc weźmy jakiś cel, żeby się przynajmniej nie obcy mi wydawać na tej ziemi.“ Czy to jest echo słów wyczytanych w ostatnim smutnym liście Bohdana? Przy końcu jest też wzmianka o śmierci Juliana Zaleskiego (brata Józefa, podchorążego w pułku gwardyi strzelców konnych), który sam sobie życie odebrał, o czem widocznie Bohdan Zaleski był pisał: „Mało go znałem, pisze Grabowski, lecz pojmuję, że pod powierzchownością płochą i obojętną można ukrywać duszę wzniosłą i czułą i serce pełne namiętności.“

Grabowski, jak zapowiadał, pojechał do Krechowickiego, a z nim razem na kontrakty do Kijowa i następnie przywiózł go z sobą do Aleksandrówki: wtedy tysiączne wspomnienia, gorące uczucia przyjaźni i projekta zamieniali z sobą i dzielili się tém wszystkiem z oddalonym przyjacielem. List ich wspólny z 17 lutego jest tego dowodem. Najprzód idzie z datą *Mały Paryż* (Aleksandrówka) 17 lutego wstęp Grabowskiego w serdecznie-jowialnym stylu, następnie list Krechowickiego, który widocznie jest powtórzeniem myśli i uczuć Bohdana Zaleskiego, wynurzonych w liście do Krechowickiego także z 3 grudnia 1825. „W liście Twoim do mnie przez Michasia pisanym otworzyłeś nową oczom moim perspektywę, która oprócz że dogadza żądzy uściskania Ciebie, nowy i żywszy cel życiu naszemu nadała,“ co zapewne odnosi się do obietnicy Zaleskiego przyjechania na Ukrainę; następne zaś słowa odnoszą się do projektu częstszej korespondencyi: „Więc przeznaczenia nasze wspólnie iść mają pomimo przedziału, pomimo odmian życia, nigdy sobie obcy mi nie będziemy, przetrawiwszy marne troski życia, zawsze kochani i szanowani sobie nawzajem. Miło mi stokroć przypominać to sobie.“ Widać, że i Krechowicki był spragniony tego ciągłego związku duchów, bo i on ubolewa nad bardzo długim milczeniem Zaleskiego, i pociesza się, że się może latem w Warszawie zobaczyć. Ułożyli projekt zwiedzenia Włoch, Szwajcaryi, brzegów Renu, i zapewne z powrotem mieli się widzieć z Zaleskim: „Wieleż to nowych wrażeń... i jak stąd nam będzie podzielać je z Tobą.“ Tymczasem napawają się wspomnieniami: „Jadąc do Kijowa z Michasim (Grab.) przejeżdżaliśmy przez Bohatyrkę, miejsce urodzenia Twojego,—widzieliśmy te pola i miasta, które opiewasz.“ Za listem Krechowickiego idzie list Grabowskiego, na tym samym arkuszyku. „Od czasu wyjazdu z Warszawy jeden tylko miałem list od Ciebie i to z 3 grudnia, na tyle listów nie odebrałem żadnej odpowiedzi...“ pociesza się, że w lipcu zobaczą się w Warszawie, o Goszczyńskim donosi, że bawi u Wacława Pielawskiego, że obydwa

obiecali być w Leszczynówce i Aleksandrówce. Ciekawa zresztą w tym liście jest recenzya *Maryi* Malczewskiego: „Nie rozumiam, jak można upodobać sobie tak dziwną igraszkę rozumu, aby pełne energii pomysły i wystowienia odziewać tą naciąganą nienaturalnością i psuć wszelki efekt tak dziwaczną ciemnością stylu. Im więcej widzę w nim (Malczewskim) prawdziwego talentu, im wierniejszemi znajduję jego smutne obrazy Ukrainy, tém się więcej gniewam i żalę, nie mogę się bowiem spodziewać, aby go zrozumiano u nas. Krechowiecki słusznie uważa, że jeden tylko dobry komentarz, gdyby się kto zlitował do napisania takowego, mógłby go obronić od śmieszności lub przynajmniej zapomnienia, które go czeka, a to tém więcej zasmuca, im kto więcej do niepospolitych jego zdolności i do samego tego rodzaju poezyi przywiązuje wagę.”

Dwaj przyjaciele nie pojechali w podróż: następny list pisany przez Grabowskiego w Leszczynówce u Krechowieckiego w imieniu trzech tam zebranych przyjaciół, bo i Goszczyński przyjechał, jest z 20 lipca. Zaczyna się od ciężkiego westchnienia: „Od sześciu miesięcy na tylokrotne listy nasze nie mając żadnej odpowiedzi, zwątpiliśmy już, czyś nie zapomniał zupełnie, ale jeszcze boleśniej targa serca nasze myśl, żeś może słaby lub nieszczęśliwy.“ Teraz jeszcze raz kuszą się przyjaciele o wiadomość i posyłają list pod adresem L. Bentkowskiego. W Leszczynówce powzięli zamiar wydania Rocznika literackiego, a ponieważ Zaleski dawno myślał o takim piśmie, więc udają się do niego z prośbą o współpracownictwo i pomoc, z czego zdaje się wynikać, że Zaleski wtedy przebywał w Warszawie. „Tom pierwszy mamy prawie gotowy; jeżeli nas wesprzesz uczestnictwem i zechcesz ułatwić, to jeszcze przed Nowym Rokiem wyjdzie. Podjęliśmy myśl w tój nadziei, żeś Ty z nami, ale i bez Ciebie zamiar doprowadziliśmy do skutku. Lecz możemyż myśleć, że nami wzgardzisz?“ Pomiędzy artykułami, które miały być w pierwszym tomie, wymienia Grabowski Goszczyńskiego *Zamek Kaniowski*, *Żegluga poety* i *Noc w Zofjówce*; swoje własne prace: *Rys historii literatury polskiej* i *Powieść Ukraińską*; Krechowieckiego *Nowa Literatura Polska* i recenzją *Maryi*. Jeżeli do tego zechcesz także dodać Twe prace, które u nas dały początek historycznej narodowej poezyi, Rocznik nasz będzie bardzo dobry.“ Następują potem: prośba o uwagi i o decyzją, i serdeczne słowa teschnoty i przyjaźni: „Gdybyś Ty był pomiędzy nami!”

Nie wiadomo, czy list ten doszedł Zaleskiego, ale to pewna, że Grabowski, jak na to skarży się w liście z 4 lutego 1827, nie odbierał żadnego od Zaleskiego „zgłoszenia,” co go zaś jeszcze bardziej musiało zabołeć, to że w grudniu 1826 nie widział się z Zaleskim, kiedy był w Warszawie. W naszym zbiorze listów Grabowskiego jest jeden krótki z datą: Warszawa 11 grudnia 1826. „Józefie, niech Cię nie zdziwia ten list: dopełniam powinności przyjaciela, krok pierwszy czyniąc dla usunięcia nieporozumień, co zachwiały drogą sercu memu

i świętą przyjaźń... uchybienie jakowe przez nierozumność z méj strony Twojéj niechęci ku mnie jest przyczyną... Jeżeli w istocie uraziłem Cię czém, choć mimowolnie, bądź jeszcze wielki, wymień i przebac. Gdym niewinny, okaż się sprawiedliwym, winny, wspaniałomyślnym przyjacielem. Czekam wyroku Twego... on mię przekona, czy przyjaźń nasza była bóstwo, co szczęście wlewało w me serce, czy tylko przyjemném omamieniem. Odpisz. Czekam téj chwili, w którój rzucę się na łono przyjaciela i z jego przebaczeniem przyjaźń na nowo otrzymam." Z ostatnich słów zdawałoby się, że czekał na przybycie Zaleskiego do Warszawy albo chciał go w Rawie odwiedzić, gdzie Zaleski już wtedy przebywał; zdaje się także, że się przyjaciele nie widzieli, bo już o tém w listach nie ma żadnej wzmianki.

Milczenie jeszcze nie ustaje. Nareszcie po bolesném czekaniu, przyszedł list pisany z Rawy 28 grudnia 1826 r., wykierowany jednym z transportów Glücksberga na Kontrakty kijowskie, gdzie był Grabowski i gdzie byli jego przyjaciele. Grabowski w Kijowie rozchorował się i dopiero w Leszczynówce, dokąd z Krechowickim i Goszczyńskim pojechał, zaczął pisać 4 lutego 1827 r. odpowiedź swoją długą i serdeczną. „Nie odbierając więcej roku żadnego od Ciebie zgłoszenia, nieraz narzekałem na Twoją ciężkość i Twoje lenistwo, lecz Cię nigdy nie posądzałem, żeby Twoje serce mogło zubożeć dla tego, z którym Cię łączy tyle pamiątek. Już miałem mimo uraz sam pisać, kiedy przecież doszedł mię Twój list... i wlał w me serce kilka kropel gorących... Chętnie urazy puszczam w niepamięć ...i chętnie wierzę, że odtąd nie będę miał powodu narzekać na Twoją niesławność.“ Z pogodnem już teraz uczuciem mówi Grabowski o swoim położeniu: często widuje się i żyje wiele z Goszczyńskim i Krechowickim, czytają wiele, pracują razem i chcą pracować nie dla sławy, ale dla ojczyzny. „Moje przeznaczenie już rozstrzygnięte: nie będę się włóczył po świecie i cudzym Bogom kłaniał“ (zdaje się, że zamiar pojechania do Petersburga stanowczo zaniechany), owszem chce zostać na swojej ziemi... zauadto matkę kocham... w tym roku zapewne się ożenię i będę szukał szczęścia w progach domowych.“ Pragnąłby tylko jeszcze złączyć się z Bohdanem, wzywa go i prosi, aby i on, który z dawnych „współwędrowców“ po Ukrainie (właśnie niedawno temu w Kijowie Grabowski z rozrzewnieniem czytał dumę Zaleskiego *Wędrowiec*) jeden jeszcze jest „wygnańcem“, wrócił na Ukrainę i zamieszkiwał między przyjaciółmi. „Przyjeźdź, Józefie, we czterech wystarczemy sobie, odosobniemy się jeszcze więcej... przyjaźń... przeszłość... wędrowki i praca zapełnią i ukwiecą nam życie.“ Czy tylko Bohdan będzie chciał „porzucić miejsca, gdzie tak wszystko jego postępom przyja... i zagrzebać się w pustyni z ludźmi bez imienia? Przebac, rozumować nie mogę, moje rozstrojone serce za nadto stronnie przemawia.“

List, przerwany w Leszczynówce, pisze Grabowski dalej na popisie po noclegu w Humaniu, dokąd go Seweryn i Jan byli odnieśli. Tu

Grabowski szeroko rozpisuje się o zamierzonym już dawniej Roczniku. Z pierwszych słów wydawałoby się, że Zaleski już dawniej listownie wynurzył o tém „szczere wyznanie, za które lękał się, żeby się nie gniewali,“ ale Grabowski ponownie zapewnia: „żadnego od Ciebie już od roku nie mieliśmy listu.“ Co się tyczy trudności, o których Zaleski musiał nadmieniać w ostatnim liście, to trzej przyjaciele je przewidywali, nie mniej przeto trwają w przedsięwzięciu swoim, „opóźnienie sprawiło nieodbieranie listów Twoich.“ Pismo chcą wydawać własnym kosztem, a ponieważ Zaleski nie mieszka w Warszawie, więc L. Bentkowski zawiadywać może redakcją... Manuskrypt możesz dostać w połowie marca, jak tylko wprzód napiszesz.“ Artykuły już dawniej wymienione mają, z pewnemi zmianami, stanowić treść pierwszego tomu: Sewer Goszczyński miał umieścić poezye liryczne i *Zamek Kaniowski*, z jednych i drugiego posyła szerokie wyjątki. „Jaka poezya, jaki język! wszystko odpiętnowane niestartą cechą geniuszu. Z przesądów a wyobrażeń gminnych on porobił sceny dramatyczne, kreacye Szekspirowskie. Czytaj prolog do *Zamku Kaniowskiego*, — on wart Sobótki Göthego;...“ Grabowski sam miał napisać *Wstęp do rysu literatury polskiej, Wawrzyniec z Powodu*, legendę z XVI w. i zamiast powieści ukraińskiej powieść słowiańską;... „Krechowiecki napisał artykuł o nieodżałowanym naszym Malczewskim.“ „Ośmielamy się myśleć, że jeżeli nam dasz Twoich poezyi, z wyjściem naszego Rocznika nowa reforma literatury polskiej odtąd stanowczo się zdecyduje. Inna teoria, inna sztuka... Ty będziesz poetą narodowym, rodzajem Homera, gęślarzem.“ Z drobnych uwag, któremi list ten jest przepętniony, najciekawsza jest ta: „Powiedz, co znaczy, że nigdzie nie znajdujemy wzmianki o *Maryi Malczewskiej*? nie zrobiłaż żadnej sensacyi w Warszawie? nie poznaliż się na nią? dla czego ciągle chwalicie Odyńca?“ Nie mniej ciekawa ta inna: „Co znaczy to postanowienie nic nie drukować? Jeżeli to jest systemat Brodzińskiego: nic nie robić i czekać lepszych czasów, kiedy przyjdą te lepsze czasy?“ Jeszcze dwa ustępy zasługują na wzmiankę. O książki rosyjskie, o które Zaleski prosił przez Bentkowskiego, nie można było w Kijowie wystarać się, „bo oprócz cerkiewnych żadnych dzieł nie znajduje... roznoszcyki wożą tylko piesienniki, elementarze lub nędzne romanse.“ Grabowski obiecuje sobie później mieć dzieła rosyjskie, kiedy jako redaktor Rocznika wejdzie w stosunki z redaktorem *Telegrafu Polewym*... i dodaje: „W *Telegrafie* czytałem o tobie pochlebne wzmianki.“ List ten zapewne dopiero w końcu lutego odesłany był razem z listami Krechowickiego i Goszczyńskiego: po rozstaniu się z Grabowskim w Humanu 5 lutego, Krechowicki, zabrawszy ze sobą na dobre Goszczyńskiego, pojechał do Leszczynówki i tu obydwaj piszą do Zaleskiego, odwołując się także do pisania Grabowskiego: „postanowili wszyscy trzej korzystać ze szczęśliwej zrzeczności... może te trzy głosy złączone obudzą lenistwo, którem karzesz serca Ci poświęcone.“ Goszczyński (26, 11, 27), odwołując się do listu Zaleskiego, że „przychyla

się do zamiaru“ wydawania Rocznika, oddaje losy swoje w jego ręce i poleca przedsięwzięcie tem goręcej, że ztąd będzie miał zyski materyjalne, „bo współpracownicy (Grabowski i Krech.) ośmielają mię na różne sposoby, ustąpili honorarium na nich przypadające,“ więc prosi Zaleskiego, „aby jako dawny przyjaciel i nawet dobroczyńca, czego się nigdy nie wyprę, dołożył teraz starania... mi nie przynajmniej wiele na tém zależy,“ ale dodaje: „jeżeli odmówisz, już się nigdy nie naprzykrzę, ale... sam przez siebie potrafię dla siebie więcej zrobić. Daruj szczerości przyjacielskiej, znając Twoje lenistwo, nie ubliżam Tobie... Przyjeżdżaj na Ukrainę. Obiecałeś... wróci się nam przeszłość z całym urokiem pięknej naszej młodości.“ W dopisku nadmienienia Goszczyński, że posyła do przyszłego Rocznika 10 pótarkuszyków; w liście samym jest mowa o *Zamku Kaniowskim*, z którego posyłał dwie części bez ostatniej strofy części drugiej, i mowa jest o kilku ulotnych wierszach, które napisał, z których w naszym zbiorze jest tylko *Ostatnia Przechadzka*. Nazajutrz 28 lutego, napisał Krechowiecki list swój pełen serdeczności, w którym natarczywość zbiorowych próśb o poparcie Rocznika łagodzi jakoby przypomnieniem Mollerowskiego: Tu l'as voulu, George Dandin! „To są niedogodności obowiązków dobrowolnie podjętych... znieś je więc cierpliwie i weź część winy na siebie a i na tém przestanę,“ i odwołując się do przyjaźni Zaleskiego, „której mu w całej zupełności dozwalał korzystać,“ prośbę nie tylko za pismem wnosi i jest pewnym, że serce jego ich wysłucha, ale „nie mając żadnych źródeł do odświeżenia myśli tęsknej bolesnemi wspomnieniami,“ prosi i błaga, aby przyjechał na Ukrainę.

Już przeszłej wiosny spodziewał się tego, wtedy były wieści o tém, ale i teraz nie traci nadziei. „Musisz być koniecznie na ziemi wspomnień Twoich, musisz przypomnieć uchu i sercu dźwięki pieśni rodzinnych.“ Zapewne, aby w Zaleskim tęsknotę obudzić, pisze: „Za dni kilka wyjeżdżamy do Michała... tam w trzech ze zbliżającą się wiosną zaczynamy konne wędrówki po mogiłach. Tu wszystko nam Ciebie przypomina i tém dotkliwiej czujemy nieobecność Twoją,“ „Posiadając Waszę tak szacowną przyjaźń, mogę się poddać urokom trwalszej nadziei.“ Jak bardzo pragnął wypowiedać się przed Zaleskim, widać ztąd, że mu się zwierza z swą miłością, „choć to może błędna gwiazda mojego życia... chce się przed Tobą otworzyć zupełnie... Kto zna serce Twoje, ufać mu musi“ (Krechowiecki w rok może później się ożenił). W końcu Odyńcowi serdecznie posyła uściśnienie i dodaje: „Zazdroszczę Ci towarzystwa z historykiem naszym (Brodzińskim?) i prac Twoich tak pięknych i tyle nam rokujących. Uczniowie jego chowają uwielbienie i miłość,—mogę to zareczyć własnym sercem. Na listy te nie było odpowiedzi: śnać projekt po amatorsku poczęty, szedł oporem, a Zaleski nie miał o czém donosić; zdaje się, że tylko Goszczyński posłał 10 arkuszyków swoich poezyi i psalm 87 tłóm. przez Krechowieckiego; trudno było z tém zacząć. Przecież

Zaleski odpisał w listopadzie 1827 roku, ale nie wprost przez pocztę Czechryńską, tylko przez okazyą do Kijowa na kontrakty, na których tym razem Grabowski nie był, dlatego że kuzynki Zaleskiego: Genuśia Proskurzyna i Franciszka Jankowska, przyjechawszy na święta Bożego Narodzenia do Aleksandrówki, zachorowały niebezpiecznie na szkarlatynę. To był też jedyny powód zwłoki w odpowiedzi, która dopiero nastąpiła 8 lutego 1828 r.: „Ja chcę wierzyć, że pisałeś trzy razy w tym roku (t. j. 1827) do mnie, ale czemużby Twoje listy miały zaginać?... w Czechrynie mam najlepsze z poczmajstrem stosunki... tam nic zginać nie może...” „Ja Ciebie kocham szczerem i przychylnem sercem, myślę nawet, że w sercu jesteś mi przychylniejszy, ale czemuż nie pisujesz?... i czemuż teraz piszesz list, który sam nazywasz jak lód zimny, list prawdziwie oficjalny... pośpiech Cię nie wymawia... miałeś rok czasu.” „...Może się zadziwisz, że ja śmiem podnosić ten głos niepoehlebnój przyjaźni... musiałem się odkryć i być otwartym.” — „Tak bardzo pragnąłem wiedzieć sąd Twój o poemacie Seweryna, myślałem, że Cię ten poemat ożywi, i to jeszcze jaki poemat!... ale boję się, żebym się nie omylił, bo kilka słów, które o nim w liście napomykasz, są zimne i suche.” Donosi następnie, że Krechowiecki i Goszczyński ułożyli się w Kijowie z Glücksbergiem o druk *Zamku Kaniowskiego*: „damy mu 130 rs. za odbicie 500 egzemplarzy,” nie spodziewa się, aby rychlej wyszedł, jak w maju i prosi: „przyjeżdżając do Warszawy (zapewne z Rawy), nagładnij trochę za tém, Józeffie.” Następuje potem szereg nowin, z których każda ma swoją wartość: „Jan (Krechowiecki) się ożenił... większą część téj zimy spędzi u rodziców swéj żony, bo w Leszczynówce robi różne restauracye. Odmienił się mało, wyjąwszy że utył i nierównie zdrowiej wygląda; zresztą gospodarz lichy, czyta dużo i ustawnie tytoń pali.” „Seweryn zrobił się lew: zdrow i mocny, przez kilka miesięcy był u mnie, ztąd dopiero pojechał na kontrakty z Antonim Proskurą, a ztamtąd z moim kuzynem Fudakowskim w Machnowieckie, w tych dniach mamy się zjechać u Krechowieckiego. Oprócz *Zamku Kaniowskiego* ma gotowy tom jeden poezyi lirycznych...” „Tak Jan już jest ustalony, Seweryn zawsze impavidum ferient ruinae, ja tylko jeden w ciągłym alarmie... lecz nie mam miejsca o tém się rozszerzać. Pewna jest, że w maju jadę za granicę, może nawet przez Warszawę.” Razem z tym listem wysłał Grabowski do Bentkowskiego arkuś swoich melodyi ukraińskich dla „Dziennika Warszawskiego;” „jedna z nich: *Duma Mazepy na Siozy*, daruj, że śmiałem Twojemu głosowi tęsknoty odpowiedzieć głosem wspomnień.”

Odpowiedzi znowu nie było. Grabowski jednak jeszcze raz pisze 13 marca 1828 r., choć to „głos z pustyni;” pisze z Leszczynówki, gdzie bierze kuracyą pewnego lekarza z Humania, aby się zrestaurować przed wyjadem do wód Egerskich, do których pojedzie może na Warszawę; o paszport już się zaczął starać. W liście tym, pisany zapewne w nieco chorobliwem usposobieniu, Grabowski donosi o swo-

ich przyjaciół zajęciach, — ale się dziwi, jak Warszawa nieczynna i oziębła. „Przeglądaliśmy teraz „Bibliotekę Polską“ z lat kilku. Co za zdania, co za teorye! Rozbiory *Maryi Malczewskiego* i *Sonetów Krymskich* Mickiewicza wyprowadziły nas z cierpliwości. Czy tam nie ma nikogo w Warszawie, komu by była droga stawa pierwszych naszych poetów, na którą się lada nędzarz targa...“ powstaje na Dmochowskiego jako krytyka, a na Zaleskiego i Brodzińskiego za to, że oni milczą. „W *Telegrafie Moskiewskim* były także *Sonet* tłumaczone i ocenione przez księcia Wiazemskiego, ale co za różnica! W *Telegrafie* spotykają się wzmianki o polskiej literaturze... tak dobre i sprawiedliwe, że pocieszają na długo, — a u nas? Czemuż to Warszawa nie może zdobyć się na taki *Telegraf*?... Darujcie, nie nie usprawiedliwia takiej nieczynności występnej i haniebnej.“

W ciągu pisania tego listu, zdaje się, przyszedł listek od Zaleskiego do Leszczynówki, nie wiadomo czy do Grabowskiego, czy do Krechowickiego, czy do obydwóch adresowany; — Grabowski ubolewa, że ta „korespondencya jest jałowa: jedna tylko strona jej koszta ponosi, i to jeszcze z obawą, że pisze nie w porę.“ Pisał, że donosiłby Grabowskiemu o dzisiejszym stanie literatury polskiej, lecz „czeka na upoważnienie,“ bo może zkądinąd są wiadomości. Grabowski więc z wymówką prosi o tę przysługę, bo mu na tem zależy. *Rys literatury polskiej* miał już gotowy i dwa pierwsze rozdziały posłał do Warszawy (drukowano *O literaturze polskiej* w *Dzienniku Warsz.* 1828) i artykuł o Naruszewiczu, bo to na czasie (w *Bibl. Pol.* 1825 była recenzya hist. Naruszewicza) „później będą inne.“ Grabowski przewidywał, że powstaną na jego teorye „klamory“ ze wszystkich stron; posłał także kilka melodyi ukraińskich (druk. w *Dzien. Warsz.* 1828), prosi Zaleskiego o sąd. Sąd zaś Zaleskiego w *Zamku Kaniowskim* (zdaje się, że przez Brodzińskiego natchniony, jak Krechowicki w nekrologu Grabowskiego napomyka), zadziwił przyjaciół w Leszczynówce: „Mnie dotąd jeszcze dziwno, żeś tak zimno przyjął *Zamek Kaniowski*; bierze za złe literatom warszawskim, że nie zajęli się poematem, podawali sobie z rąk do rąk, drukowali wyjątki, a nie dali o tém wiadomości... „to wszystko Seweryna niezmiernie zniechęciło. Ja z Krechowickim staramy się, aby go takie niesmaki nie odrzątały od pracy... My z Janem takeśmy skompletowali bibliotekę, że ma wszelkie pomoce pod ręką; teraz czyta stary testament, błądzi po Syryi i Egipcie i myśli pisać poemat z dziejów biblijnych... O *Zamek Kaniowski* rzecz ułożona, dziś posyłamy pieniądze Glücksbergowi, Chruszczewski zajmie się redakcyą... Seweryn zapewne pojedzie ze mną za granicę.“ Więcej, aniżeli te szczegóły, mogła zająć Bohdana Zaleskiego wiadomość, że ukraińscy przyjaciele zebrali dosyć gminnych powieści (skazek) i „dużo pieśni ukraińskich. Myśleliśmy także zebrać ich tony (melodye), o tém mielibyśmy Ci komunikować różne projekta, ale rozerwana korespondencya nie zachęcała do tego.“ Nie jest mi wiadomo, czy te „projekty“ przybrały później jakąś formę

i nie wiem, czy znana jest melodya do *Dumy hetmana Kosińskiego*, o której wspomina Grabowski: „Do Twojej *Dumy Kosińskiego* zrobił muzykę Wiwien czy Smoktowicz, którą tu wszędzie śpiewają: ton jest dziwnie ładny, zwłaszcza w chórze, stanowi prawdziwie wojenną dumę. Teraz nie mam przepisanej, lecz później Ci przyślę.“ Jeszcze przed zapieczętowaniem listu dodał prośbę: „odpisz, list Twój w każdym razie zastanie mnie jeszcze w domu.“

I na ten list, zdaje się, nie było odpowiedzi; Zaleski zapewne czekał, czy Grabowski z Goszczyńskim nie będą przejeżdżali przez Warszawę i spodziewał się z nimi zobaczyć. W naszym zbiorze jest jeszcze tylko jeden list Grabowskiego do Zaleskiego, z datą 17 września 1828 r., ze Złotijowa (miejsce urodzenia Grabowskiego, na Wołyniu), który dziwnie czyni wrażenie. Grabowski był za granicą z Goszczyńskim, był też i w Warszawie i widział stę z Zaleskim, ale to nie było widzenie się dwóch serdecznych przyjaciół. „Daruj mi, kochany Józefie, lecz odkrywałbym Ci tylko połowę mego serca, gdybym Ci powiedział, że widzenie się moje z Tobą zaspokoilo mnie we wszystkich; po niem został rodzaj dysharmonii w moich uczuciach. Dawna nasza... przyjaźń, jedne uczucia, jedno ukształcenie... połączyło nas ścisłym łańcuchem, dało naszym zdolnościom (pomimo całej zapewne niższości mojej) rodzaj krewiństwa... Kilka lat naszego rozdźwięku zrobiły wiele: w nich dojrzał Twój talent, Twoje zdolności zyskały reputacją i stosunki, których wart byłeś,—ja zaś ciągle myśląc o Tobie, szedłem niejako z Tobą, myślałem, że zobaczywszy się z Tobą będę miał prawo jak dawniej czytać w Twém sercu... Sam powiedz, czy nie doznałem w tych nadziejach zawodu; rozmowy były w większej części, jak dwóch ludzi, co się dopiero poznali, a jeżeli się zapytał o Twoje prace i myśli, zbywałes mię ze wstrętem mówienia o tém, jaki tylko mieć wolno dla obcego człowieka, który niedyskretnie dotyka się najskrytszych tajemnic duszy. W tém było lekceważenie, lekceważenie wyższości, nawet pogarda, od której przynajmniej nasza długa zażyłość powinna mnie była uwolnić. Brodziński, Witwicki, Odyniec, mogli wiedzieć o Twoich pracach, lecz zapewne nie taki profan, jak ja, a w tém wszystkiem, jakkolwiekbym chciał mieć o sobie nizkie wyobrażenie, nie mogłem nie czuć krzywdy, jaka się robi naszej przyjaźni. I jaż miałbym być mieć odwagę mówić Ci o sobie!“

W czasie krótkiego pobytu w Warszawie nie było pomiędzy przyjaciółmi wcale mowy o projekcie wydawania *Rocznika*, lub czegoś podobnego,—i z tém Zaleski odjechał z Warszawy, dopiero po odjeździe jego zgadał się Grabowski z Maurycym Mochnackim o tém, do wiedział się, że Zaleski miał podobny projekt, że chciał sprowadzić do Warszawy Żukowskiego, „...lecz mnie o tém nic nie mówiles, a przeto nie dales mi zręczności, a jeszcze bardziej odwagi mówić o różnych moich zamiarach!“

Z tych słów tak żywych i gorących wolno zapewne wnosić, że Grabowski wracał z wód nie zupełnie wyleczony, że nerwowa drażli-

wość jeszcze go nie opuściła i że może wzmogła się przez jakąś „najgłupszą awanturę“ w Warszawie, o której na początku listu wspomina. Była więc w tém fatalność, że przyjaciele z sobą o projektach i pracach literackich mało, albo wcale nie mówili; Grabowskiemu się zdawało, że Zaleski „błyskał swojemi nowemi, świetniejszymi stosunkami,“ oddalał go od poufałości serca swego, i zastrącał się powagą i opinią Brodzińskiego, że nie warto drukować i t. d. „Ja myślę, że to jest jedno z absurdów Brodzińskiego... opuszczanie rąk. Dlaczego on zaniedbał wydawać *Pamiętnik Warszawski?*... i Ty z tym pięknym talentem poezyi, który tyle władzy mieć może na sercu, chcesz sobie użytek skąpcza (zgotować), który dar Boży niewdzięcznie w ziemi ukrywa... zostaw Osińskim i Koźmianom chować po tekach swoje mozolne prace, lecz Twój talent!.. zresztą ja tego wyttómaczyć sobie nie mogę, — nie mogę temu uporowi wierzyć, żeby go bez innych jakich mnie nieznanych przyczyn mieć można... W każdym razie mnie smutno, że ja, przyjaciel Twój, może czytać nie będę Twoich arcydzieł, które kiedyś tyle obcych i obojętnych znać będzie.“

Takie i tym podobne myśli kłębiły się, zdaje się, już w Warszawie w duszy Grabowskiego. Nie żyjąc przez lat kilka w atmosferze warszawskiej, już nawet nie mógł porozumieć się z serdecznym przyjacielem. Naprowadziły go na inne myśli już po odjeździe Zaleskiego z Warszawy rozmowy z Maurycym Mochneckim, który sympatycznie potrafił o najmilsze Grabowskiego projekty, dotyczące się wydawania pisma literackiego i przyczynił się do tego, że lody, któremi zaległo serce Grabowskiego, stopniały i że mu się wynurzył z myślami swojemi i obszernie wyłożył projekt pisma literackiego, o czém M. Mochnecki zapewne już dawniej przez Bentkowskiego był poinformowany. I to znowu zentuzyazmowało Grabowskiego, iż z swoim projektem odezwał się ponownie do Zaleskiego i specjalnie, z przejęciem mu przedstawiał, jakimby powinno być nowe pismo. Życzyłby przedewszystkiém, aby miało jasno wytknięty cel, „czego braknie dotychczasowym pismom peryodycznym, złożonym z różnych niesklejnych artykułów;“ pierwsza część miałaby być rodzajem *Revue universelle*, niejako „oknem na świat Boży, żeby się naród dowiedział, co się tam dzieje;“ powinienby być dział poświęcony literaturze zagranicznej, „nie recenzjom pism zagranicznych „jak to było w ś. p. *Gazecie literackiej*,“ lecz ttómaczeniu pldów pięknej literatury, które są rozkoszą, sławą lub wreszcie modą Europy; dwa inne działy powinny być poświęcone literaturze i poezyi narodowej: w pierwszej obiecał pracować taki estetyk jak M(ochnecki), dla drugiej Seweryn Goszczyński, „a Ty masz obowiązek nam pomagać i sam i przez Twoje stosunki z Brod(zińskim), Sienk(iewiczem), Wit(wickim), mnie się zdaje, że to dosyć. Nade wszystko mam nadzieję, że sławny nasz historyk nie odmówi naszemu przedsięwzięciu swęj pomocy, ..w tém na Tobie polegamy.“ Zresztą ma Zaleski porozumiewać się z M. Mochneckim i Chrząszczewskim... „wszystkie układy Wam zostawiam, a co postanowicie, ja do-

pełnię... a nawet na Twoje imię zostawiłem plenipotencją zrobienia układu z dotychczasowymi redaktorami.“ Z upragnieniem będzie czekał gotowej decyzji. Ze szlachetną skromnością czy dumą dodaje; „Ja o sobie mam bardzo nieuprzedzone wyobrażenie; nie przyznaję sobie żadnych wyższych zdolności, lecz myślę, że moje dobre chęci, moja gotowość podjęcia się wszelkich prac, co mogą być użyteczne w tym względzie i myśli ciągle zwrócone ku postępom literatury, mogły jakkolwiek usprawiedliwić Twoję przyjaźń i zaufanie we mnie...“ O Sewerynie Goszczyńskim, który, jak wiadomo, był z nim za granicą, pisze, że przed tygodniem go pożegnał i pojechał do Wacława Pielawskiego do Mrozowicz pod Włodzimierzem, gdzie chce przygotować wydanie lirycznych poezji, dopiero potem ma wrócić do Aleksandrówki. „Zamek Kaniowski w wielu miejscach czytałem (może i w Krakowie, przez który zapewne przejeżdżał do wód, jak z listu wynika) i nad moje spodziewanie się nawet podoba.“

List kończy się smutnie. „Po tym liście nie będę śmiał pisać, aż mi dopiero dasz odpowiedź. Pisz przeto przez Czechryn do Aleksandrówki. Ja do Ciebie tém większą mam pretensją, że mi żal tak krótkiego widzenia się z Tobą i to nie tak użytego jak potrzeba. Tymczasem całuję Cię serdecznie zawsze przyjaciel MG.“

Na tém urywa się nasz zbiór listów Grabowskiego do Zaleskiego. Przedstawia on ciekawy obraz walki o przyjaźń Zaleskiego w imię wspólnych wspomnień młodości i w imię wspólnej pracy dla literatury ojczystej, walki, która obu przyjaciółom zaszczyt przynosi. Pamięć dawniej przeszłości i przyjaźni była dla obydwu równie drogą, i stanowiła nawet i w późniejszych latach węzeł nierozzerwany, ale różne życia koleje w odmienne wiodły ich kierunki. Nietylko „kilka lat rozłączenia sprawiło wiele,“ jak pisał Grabowski w ostatnim liście, ale już od opuszczenia Humania okazywały się różnice, kiedy dwaj przyjaciele w odmienne byli rzućni światy; reszty dopełniły dalsze lata. Grabowski w Warszawie żył chwilą obecną, Zaleski jako domowy nauczyciel na prowincyi żył w skupieniu ducha; Grabowski, po opuszczeniu Warszawy i powrocie na Ukrainę, marzył o literaturze, o nowych teoriach i wydawaniu nowego pisma, Zaleskiemu wydawały się takie rzeczy nie na czasie; Grabowski myślą coraz więcej zwracał się ku przeszłości, Zaleski ku przyszłości. Przyjaciele spotkawszy się w Warszawie r. 1828 już porozumieć się nie mogli, a w połowie r. 1830, przy ponowném widzeniu, tak wielkie i zasadnicze pomiędzy nimi pokazały się różnice, na takich odmiennych, wręcz sobie przeciwnych, ujrzeni się stanowiskach, — że, wedle opowiadania Krechowickiego w nekrologu, bez pożegnania się rozstali, bo Grabowski „zdaniu bliższych sercu swemu J. B. Zaleskiego i S. Goszczyńskiego stanowczo się oparł, z którymi nawet odjeżdżając na Ukrainę stosunki zerwał.“

Nie zerwały się jednak węzły duchowe pomiędzy nimi: Zaleski później Grabowskiego w czasie jego największej niepopularności bro-

nił; z szczerą radością powitał jego wystąpienie na polu literatury i szczerze cieszył się z jego powodzenia i wziętości; jeszcze w wierszu *Bezdole*, już po śmierci „najstarszego swego druha,” przypominał o sobie Goszczyńskim i Grabowskim:

Do stołecznego Lechów grodu
We trzech ruszyliśmy za młodu,
Bojana swego niosąc pieśni,
Otarte nieco z wieków pleśni.

312

Z DZIEJÓW
DOBROczynności PUBLICZNEJ WARSZAWY
1870 — 1885 r. *)

SKREŚLIŁ

W. A. Sułkowski.

Szpital Ewangelicki.

Szpital istniejący przy ul. Karmelickiej pod nr. 2484, powstał w r. 1736 na Lesznie, przy zbiegu dzisiejszych ulic Młynj i Karmelickiej, w pobliżu Królewskiej strzelnicy i Zdroju, z którego wodę źródlaną do dziś dnia istniejącymi rurami do Zamku sprowadzano. Na tém miejscu od r. 1648 gmina ewangelicka miała swój cmentarz, który z rozrostem miasta przeniesiono gdzieindziej. W tym to czasie gmina wzniosła domek drewniany z jedną izbą na pomieszczenie chorych, a z drugą na gospodę dla podróżnych. Domek ten był związkiem dzisiejszego szpitala, wystawionego na tém samym miejscu z muru w r. 1837, za powodem słynnego lekarza, filantropa i prezesa gminy ewangelickiej, d-ra Wilhelma Malcza. Szpital więc Ewangelicki istnieje w Warszawie od 150-ciu lat.

Dzieje tego zakładu po krótkce, ale barwnie i serdecznie, skreślił w „Rysie histor.-statyst. szpitali” kupiec warszawski i kurator tego szpitala, p. Ludwik Spiess, aż do grudnia 1869 r. Tam więc czytelnika odsyłając, przystępuję do mego szesnastolecia.

Jak we wszystkich innych zakładach dobroczynnych, pozostających pod bezpośrednim zarządem Rady miejskiej dobr. publ., tak i w rachunkach szpitala Ewangelickiego nie starano się uniknąć rażącej niezgody liczb. Tak np. gdy w r. 1878 dla 53 chorych wydano na żywność 2,729 rs. 76 kop., w r. 1879 na 53 chorych wydano w tym sa-

*) Ciąg dalszy—patrz zeszyt za m. lipiec r. b.

mym celu aż 5,043 rs. 59 kop. W r. 1880 dla 62 chorych, zatem o 9 osób więcej, wydano na żywność tylko 3,395 rs. 30 kop. Było więc dziewięciu chorych więcej niż roku poprzedniego, a jednak mimo to wydano na żywność o 1,648 rs. 20 k. mniej niż w r. 1879-ym. A choć w latach 1881, 1882, 83 i 84 i 85 rubryka żywności jest znacznie podwyższoną, mimo to w r. 1885 na 60-ciu chorych dobiegła najwyższej sumy z ostatnich sześciu lat 4,670 rs. 75 kop., — jest więc mniejszą o 372 rs. 84 kop. od wydatkowanej w roku 1879-ym ¹⁾.

Tak samo z rubryką odzieży. Pomijam dawniejsze lata, biorę ostatnie sześć 1880—1885. Gdy w r. 1880 dla 62-ch chorych rubryka odzieży, pościeli, opału, światła, prania i bielizny czyniła 1,785 rs. 69 kop., to w r. 1881 gdy chorych było o 2 mniej—rubrykę tę podniesiono do 2,178 rs. 62 kop., w r. 1882 przy liczbie 66 osób do 2,477 rs. 66 kop., w r. 1883 przy liczbie 58 chorych do 3,309 rs. 81 kop., a w r. 1884 przy liczbie 60 chorych aż do 3,527 rs. 18 kop. Gdy więc w r. 1880 rubryka ta na osobę czyniła 28 rs. 80 kop., to w roku 1884 już 58 rs. 78¹/₂ kop. t. j. 104% drożej, kiedy przecież ceny płótna, wyrobów jego, wyrobów bawełnianych, sukiennych, węgla i nafty nietylko nie podrożały, ale albo były w równej mierze z rokiem 1879, albo nawet staniały.

Rubryka odzieży, bielizny, pościeli, prania, światła i opału, stanowiła w szpitalu Ewangelickim w r. 1870 rs. 30 na chorego, w Żydowskim zaś tylko 25 rs.; w r. 1871 w Ewangelickim 33 rs. 40 kop., w Żydowskim zaś tylko 25 rs.; w r. 1872 w Ewangelickim 26 rs. 73 kop., w Żydowskim 24 rs. 30 kop.; w r. 1873 w Ewangelickim czyniła na 1 chorego 33 rs. 23 kop., w Żydowskim zaś 25 rs. 94 kop.

		w szp. Ewangelickim	w szp. Żydowskim
W r. 1874	na chorego	33 rs. — kop.	25 rs. 80 kop.
„ 1875	„	32 „ — „	39 „ 70 „
„ 1876	„	38 „ — „	35 „ 60 „
„ 1877	„	29 „ 40 „	31 „ 25 „
„ 1878	„	30 „ 45 „	27 „ 73 „
„ 1879	„	36 „ 90 „	33 „ 80 „
„ 1880	„	29 „ 20 „	29 „ 80 „
„ 1881	„	37 „ — „	31 „ — „
„ 1882	„	37 „ 50 „ (!!!)	31 „ 40 „
„ 1883	„	57 „ — „ (!!!)	33 „ — „
„ 1884	„	58 „ 78 „ (!!!)	32 „ 58 „
„ 1885	„	50 „ 80 „	30 „ — „

¹⁾ Że zaś tak być nie powinno, stwierdzają urzędowo ceny następnych produktów. I tak płacono w październiku za czwartą:

	kartofli	buraków	Jagieł	kaszy jęcz.	wołowiny funt
w r. 1878	2 rs. 41 k.	2 rs. 50 k.	14 rs. — k.	10 rs. — k.	12 k.
„ 1879	2 „ 40 „	1 „ 12 „	13 „ 75 „	10 „ — „	12 „
„ 1880	2 „ 30 „	2 „ 16 „	12 „ 56 „	9 „ 73 „	13 „

I w tej rubryce widzimy różnicę niezwykłą, szczególnie w ostatnich 3-ach latach, z których w r. 1883 w szpitalu Ewangelickim była większą niż w Żydowskim o 72,7%, w r. 1884 o 80% i w r. 1885 69,3%. — jak gdyby podrożały ceny węgla, nafty, mydła do prania, płótna na bieliznę lub sukna na odzież i pościel.

Apteka w r. 1870 dla 60-ciu osób kosztowała 2,325 rs. 13 kop., w szpitalu zaś Żydowskim dla 350 chorych tylko 2,140 rs. 68 kop. Czyż to więc możebne, aby w tym samym roku, w szpitalu Ewangelickim koszt lekarstw na 1 chorego czynił rocznie 38 rs. 68½ kop., a w szpitalu żydowskim 6 rs. 11¾ k., t. j. o 534,2% drożej. Że koszt tej rubryki w szpitalu żydowskim jest zgodny z prawdą, stwierdza to sprawozdanie Rady miejskiej za r. 1870 na str. 64, gdzie wydatek na aptekę na 1 chorego podano na 1,7 kop. dziennie. W r. 1871 w szpitalu Ewangelickim dla 64 chorych aptekę podano na 2,430 rs. 14½ kop., w żydowskim zaś dla 356 chorych na 2,269 rs. 79½ kop., t. j. o 500% w żydowskim taniiej. W roku 1872 w Ewangelickim dla 68 osób podano na 2,436 rs. 55 kop., w żydowskim zaś dla 378 chorych na 2,973 rs. 8 kop., t. j. taniiej w żydowskim na 1 chorego rocznie o 343%. W r. 1873 w Ewangelickim dla 58 chorych 1,981 rs. 88 kop., w żydowskim zaś dla 348 chorych 2,631 rs. 75 kop., t. j. w żydowskim taniiej o 350%. W r. 1874 w Ewangelickim dla 59 chorych podano koszt apteczny na 1,947 rs. 34 k., w żydowskim zaś dla 337 chorych na 2,646 rs. 97 kop., t. j. na jednego chorego taniiej niż w Ewangelickim o 334,5%. W r. 1875 w Ewangelickim dla 50 chorych podano aptekę na 1,665 rs. 56 k., w Żydowskim zaś dla 252 chorych 2,857 rs. 37 kop., — t. j. w stosunku do roku ubiegłego w sumie ogólnej, gdy aptekę w szpitalu ewangelickim podniesiono tylko 0,009 razy, to w żydowskim koszt jej podniesiono aż 0,55 razy, czyli tam na chorego rocznie powiększył się koszt apteki na 33 kop., tu zaś aż na 4 rs. 37 k., mimo to jednak koszt apteki w szpitalu ewangelickim w r. 1875 był droższym od téjże rubryki w szpitalu żydowskim o 172,5%. W r. 1876 w szpitalu Ewangelickim przy ludności 53 chorych koszt apteki wykazano na 1,135 rs. 5 k., w Żydowskim zaś na 233 osób na 2,968 rs. 58 k., t. j. gdy w pierwszym rubryka ta na chorego rocznie zmniejszyła się o 12 rs., a w Żydowskim powiększyła się tylko o 52 k. rocznie na chorego, mimo to była mniejszą w żydowskim o 68%. Pomijam już inne lata, biorę tylko dwa ostatnie 1884 i 1885, w których pomimo zdwojenia kosztów apteki w szpitalu Żydowskim, wcale także niestosunkowego ani do ludności, ani tém więcej do cen materyałów aptecznych, znajdziemy znaczne różnice. Tak np. w r. 1884 w szpitalu Ewangelickim przy ludności przeciętnej dzienniej 60 osób koszt apteki wykazano w sumie 2,575 rs. 69 k., (w r. 1883 dla 58 chorych tylko 1,792 rs. 62 k.), w Żydowskim zaś przy ludności 267 głów 5,251 rs. 72 kop., (w r. 1883 dla 283 chorych aptekę podano tylko na 4,367 rs. 37 kop., t. j. gdy chorych było o 16 osób więcej niż w r. 1884, na aptekę włożono mniej o 884 rs. 35 kop. niż w r. 1884). Mimo to ru-

bryka apteki w Ewangelickim była droższą niż w Żydowskim na 1 chorego o 162%. W r. 1885 przy ludności dziennej przeciętnej 60 osób koszt apteki w Ewangelickim podano na 1,565 rs. 92 k., t. j. o 1,010 rs. mniej niż w r. 1884-ym, choć ludność, ani ceny się nie zmniejszyły; w Żydowskim zaś przy ludności 300 osób, t. j. o 34 głów większej od roku poprzedniego, rubryka apteki była większą ale tylko o 43 rs. 43 kop. Mimo to apteka w szpitalu Ewangelickim była droższą w roku 1885 niż w Żydowskim o 48% na 1 chorego.

Ale najcharakterystyczniejszą ze wszystkich rubryk jest rubryka utrzymania budynków. Gdy bowiem na nią od 1870 do 1885 r. łącznie wydano 18,737 rs. 16 kop., to protokoły odbiorcze w sprawozdaniach powołane, poświadczają wartość robót dokonanych tylko na sumę 1,761 rs. 55 kop., t. j. 10,6 razy mniej niż wydatkowano. W szpitalu Żydowskim zaś, wartość dokonanych robót poświadczoną jest protokołami odbiorczymi na sumę tylko 1,32 razy mniejszą od sumy na budynki wydanej. I tu różnica wielka.

Przychodu w ciągu 16-tu lat miał szpital 234,118 rs. 3 kop., wydatki wyniosły 238,370 rs. 93 kop., niedobór więc czyni 4,252 rs. 90 kop. Rok 1885-ty zamknięto niedoborem 2,849 rs. 50 kop. Docho-
dy w r. 1885-ym uczyniły 16,910 rs. 74 kop., mianowicie:

1) z procentów od kapitałów	rs. 3,550 k. 49
2) z kasy gminy Ewangelickiej	„ 2,970 „ 98
3) od chorych za leczenie	„ 7,756 „ 45
4) z 5 kopiejkowej dopłaty od biletów teatral- nych, z ofiar i jałmużn	„ 1,786 „ 89
5) pozostałość kasowa z r. 1884	„ 16 „ 34
6) z innych źródeł	„ 829 „ 59
razem jak wyżej	<u>rs. 16,910 k. 74</u>

Wydatki wyniosły 19,760 rs. 24 kop., mianowicie:

1) na żywność (dla 60 chor. dzien. w przecięciu)	rs. 4,670 k. 75
2) na aptekę	„ 1,565 „ 92
3) na odzież, światło, opał, bieliznę, pościel i pranie	„ 3,048 „ 35
4) na zarząd i służbę	„ 6,234 „ 17
5) na spłatę długów	„ 2,561 „ 57
6) na zapomogi dla kasy przezorności, pogrzeby i i.	„ 210 „ 11
7) na budynki	„ 1,469 „ 37
Ogółem jak wyżej	<u>rs. 19,760 k. 24</u>

Tak wygląda szpital Ewangelicki w okresie 16-letnim, jak również w r. 1885. I zaprawdę obraz ten przygnębiające czyniłby wrażenie, gdyby nie ta okoliczność, że złożyły się nań sprawozdania Rady miejskiej dobr. publ. Jak zaś one zgodne są z prawdą, widzieliśmy nie tylko w poprzednich opisach, ale obaczyni to w obecnym i w następnych.

I tak podług sprawozdania Rady miejskiej dobr. publ. za rok 1885 miał szpital dochodu 16,910 rs. 74 kop., wydatkował zaś więcej ponad dochód 2,849 rs. 50 kop. Tymczasem podług sprawozdania kuratora tegoż szpitala za r. 1885, pomieszczonego w sprawozdaniu z zarządu parafii Ewang.-Augsburskiej za tenże rok (Warszawa, 1886, druk K. Kowalewskiego), nie tylko wydatki nie były większe od wpływów, lecz przeciwnie, były mniejsze o 2 rs. 54 k., gdyż tyle pozostało w kasie gotówki na r. 1886-ty.

Rachunek wydatków za r. 1885-ty tak się przedstawia podług sprawozdania kuratora szpitala:

1) Żywność dla chorych i służby szpitalnej	rs. 5,716 k. 43
2) Lekarstwa, bandaże, pijawki	„ 1,637 „ 19
3) Opał dla chorych i służby	rs. 974 k. 44 $\frac{1}{2}$
4) Światło	„ 490 „ 50 $\frac{1}{2}$
5) Odzież, bielizna, pościel, obuwie	„ 309 „ 45 $\frac{1}{2}$
6) Pranie bielizny i pościeli	„ 88 „ 14
7) Płaca lekarzy i służby	„ 3,360 „ 98
8) Mater. pisemne, druki i pomoc kancelaryjna	„ 642 „ 4 $\frac{1}{2}$
9) Sprzęty	„ 715 „ 59 $\frac{1}{2}$
10) Większe naprawy budowli	„ 1,579 „ 47
11) Składka ogniowa i ciężary gruntowe	„ 134 „ 90
12) Utrzymanie czystości i mniejsze reperacje	„ 1,048 „ 93 $\frac{1}{2}$
13) Różne wydatki, jako to:	
a) zapomogi dla kasy przezorności 6% od płac osób służ. w szpitalu	rs. 136 k. 16
b) wydatki pogrzebowe tudzież nadzw.	„ 49 „ 95
c) $\frac{1}{3}$ dochodów z legatów hr. Ostrowskiej i Petyskusa	„ 24 „ — „ 210 „ 11
	<hr/> Razem rs. 16,908 k. 20

Widzimy tu różnice w rubryce odzieży, opału, światła, płacy lekarzy i służby tak uderzającą a bezpodstawną, że omawianie jej jest zupełnie zbyteczne, a to tém więcej, że Rada miejska nieraz większe koszta wykazuje w swych sprawozdaniach niż kurator. Tak np.

	szpital wydał ogółem	Rada miejska podaje
w r. 1875	rs. 11,547 k. 96	rs. 12,829 k. 96
„ 1876	„ 10,590 „ 14	„ 11,366 „ 88
„ 1877	„ 11,459 „ 29	„ 11,566 „ 6
„ 1880	„ 12,698 „ 57	„ 13,578 „ 81

Chorych było w ciągu 1885-go roku 45 osób, z czego zmarło 71, t. j. 8,3%, osób przeciętnie na dzień leczyło się 60, łóżek było etatowych 70, utrzymanie chorego przeciętnie podaje sprawozdanie Rady miejskiej na 286 rs. 16 kop. rocznie; dziennie zaś 78,4 kop., mianowicie na żywność 21,3, (u Dzieciątka Jezus tylko 15 k., u św. Ducha na

Elektoralnej tylko 14,2 kop., u św. Rocha tylko 13, na Pradze 11,6 k., w Żydowskim 11,3 kop.!!); na lekarstwa 7,1 kop. (u Dzieciątka Jezus tylko 6,6 kop., u św. Ducha 3,3 k., w Żydowskim 4 kop.!!), na opał, światło, odzież, bieliznę, pościel i pranie 50 kop. (u Dzieciątka Jezus 29 kop., w Żydowskim 23 kop., u św. Ducha 42,2 k., u św. Rocha 46,3 k., a w Wolskim aż 52 kop.!!). Sprawozdanie zaś kuratora podaje nieco inne liczby, mianowicie oblicza koszt dzienny chorego na 67,2 k., czyli rocznie na 235 rs. 28 kop., zatem mniej o 11,2 kop. na osobę dziennie. Różnice doprawdy i zadziwiające i trudne do wytłómaczenia. Na 845 chorych było katolików 587, ewangelików 206, kalwinów 14, prawosławnych 20 i żydów 18. Od roku 1875 na 9,334 ogółu chorych, leczęto się tu katolików 5,983 (64^o/_o), ewangelików 2,889 (30,8^o/_o), kalwinów 177 (1,9^o/_o), prawosławnych 162 (1,7^o/_o) i żydów 110 (1,4^o/_o).

Kapitał wieczysty w roku 1870 był w sumie 40,598 rs. 93 kop., a że w r. 1885 wykazano go w sumie 59,515 rs. 63 kop., więc powiększył się o 18,916 rs. 70 kop. Zkąd się ta przewyżka wzięta, sprawozdania w małej tylko części objaśniają. Zapisy i ofiary bowiem w nich zanotowane czynią tylko 3,561 rs., mianowicie:

w r. 1871 Zuzanny Maryi Sznajdrowej z d. 18/I 1871	na rs.	150
„ 1872 Aleksandra Epsteinowa z 7/XII 71 i 22/VII 73	„	500
„ 1872—1879 Augusta Lampe ofiary za 8 lat po 30 rs.	„	240
„ 1880 Ludwika Hirszfelda z d. 23/VII 1879	„	100
„ „ urzędnik Kossakowski z d. 15/VII 1867	„	30
„ 1883 Jan Szlenkier	„	1,325
„ „ Teodor i Berta Wernerowie	„	840
„ „ Dr. Władysław Stankiewicz	„	126
„ 1884 Józef Kuryerow	„	250

Razem jak wyżej rs. 3,561

Odłożono zaś na powiększenie kapitału wieczystego tylko 2,119 rs. 70 kop. Tymczasem już w r. 1871 kapitał powiększono o 9,750 rs. choć zapis w sprawozdaniu za ten rok był tylko jeden Sznajdrowej na 150 rs., a z dochodów nie odłożono nic. W r. 1872 dodano do niego 3,818 rs. 19 kop. także niewiedzieć zkąd. Do r. 1877 wzrósł kapitał do 57,818 rs. 9 kop., w r. 1878 uszczuplono go o 2100 rs. 27 kop., w roku 1880 znowu wzięto z niego 578 rs. 42 kop. Gdyby więc nie to, byłby już większym nie o 18,916 rs. 70 kop. ale o 23,313 rs. 31 kop. Musiało więc kilka zapisów poważnych przejść bez zanotowania w sprawozdaniach. Dziwna rzecz, że pomimo takich zmian ogół kapitału, podany przez Radę miejską dobr. publ., zgadza się z podaniem Zarządu gminy ewangelickiej. Ta bowiem także wykazuje w r. 1885 kapitału 59,515 rs. 63 kop. Na tę sumę składa się 112 pozycji, niekiedy bardzo drobnych, bo 15 rublowych. Szereg tych kapitałów wieczystych rozpoczyna w r. 1794 zapis barona Stan. Chodoire'a w sumie 540 rs., a kończy Józef Kuryerow w r. 1885 w sumie 250 rs. Naj-

większym jest zapis Michała Kazanowskiego z r. 1865 w sumie 12,239 rs. 33 kop. Jestto zapis katolika, jednego z fundatorów kościoła na Koszykach; żaden z reszty 111 zapisów nie przewyższa 5,000 rubli.

Oprócz kapitału szpital ma swą kamienicę na rogu Karmelickiej i Miłej z placem 5,806 kw. łokci, oszacowaną na 44,373 rs. 25 kop. razem więc majątek szpitalny czyni 103,888 rs. 88 kop.

W ambulatoryum szpitalném w latach 1870—1885 udzielono porady lekarskiej bezpłatnie 111,544 chorym i wydano im bezpłatnie lekarstw i opatrunków na 2,136 rs. 7 kop., w roku zaś 1885 było chorych po poradę 7,856.

Etat szpitala Ewangelickiego:

Dr. Libchen Jan, naczelny lekarz	rs. 450
Dr. Stankiewicz W., lekarz ordynator	„ 200
Dr. Wolff Aleks., lekarz nadetatowy	„ —
Bauer Karol, nadzorca, płaca	rs. 500
stołowe „	250
	„ 750
Ciszewski Konrad	„ 240
Stasiński Julian, felczer	„ 150
Materne Gustaw „	„ 150
Zawadzki Jan „	„ 60
Biertümpfel Anna, dozorczytni w pralni	„ 160
Krukowski Marcel, woźny 1 m.	
Wysocki Stefan „ 4 „ }	„ 75
Płoński Sylwester „ 5 „ }	
Ostrowski Tomasz „ 2 „ }	
4-ry dyakonisy po rs. 135	„ 540
8-u posługaczy przy chorych po rs. 48	„ 384
3 posługaczki po rs. 36	„ 108
1 szwaczka rs. 36 i 1 rs. 18	„ 54
1 kucharka	„ 48
2 pomywaczki po rs. 36 i 1 rs. 12	„ 84
2 praczki po rs. 48 i 1 rs. 24	„ 120
Odźwierny	„ 48
1 stróż rs. 48 i 1 rs. 24	„ 72
A razem oprócz mieszkania i stołu	rs. 3,693

Przytułek starców i sierot gminy Ewangelicko-Augsburskiej, oraz Ochrona dla dzieci tejże gminy.

Wszystkie te trzy zakłady mieszczą się przy Zborze tejże gminy w posesyi pod nr. 1,066b, 1,066i, od ul. Erywańskiej w trzech domach murowanych. Pierwszy z nich przytułek czyli Dom schronienia starców i sierot powstał w r. 1846. Mieści w sobie stale 40 starców i 60 sierot ua wychowaniu, ochrona zaś powstała dopiero w r. 1877 i ma miejsc etatowych 120.

Od r. 1870 do 1884 przebywało stale w przytułku starców 211, z których wypisało się 62, zmarło 114 i pozostało na rok 1885—35. W tym samym czasie sierot wychowywał Dom schronienia 213, z których wypisano 162, zmarło 7 i na rok 1882 pozostało 44. W ochronie zaś od chwili jej założenia w r. 1877 do 31/XII 1885 przebywało 507 dzieci, z których wypisało po dojściu do określonego przepisami wieku 389 i na rok 1886 pozostało 55.

Przeciętny koszt dzienny utrzymania starca czynił w r. 1870—17,2 k. rocznie 62 rs. 78 kop. w r. 1885—27½ kop. czyli na rok 100 rs. 37 kop. Utrzymanie sieroty dziennie czyniło w r. 1870—m 21,7 k. czyli rocznie 79 rs. 20 kop. a w r. 1885—34 kop. czyli rocznie 124 rs. 10 kop. Utrzymanie dziecka przychodzącego do ochrony kosztowało dziennie w r. 1877—m 2,9 kop. czyli na rok 8 rs. 12 kop. w roku zaś 1885 dziennie 4½ k. czyli rocznie 11 rs. 70 kop. Koszt utrzymania zakładu we wszystkich swych trzech oddziałach uczynił w latach 1870—1885-go 210,772 rs. 09 kop. mianowicie wydano 1) na żywność 82,499 rs. 36 k., 2) na aptekę 3,758 rs. 89 k., 3) na odzież, bieliznę, pościel, światło, opał i inne 46,331 rs. 7 kop., 4) na utrzymanie administracji i obsługi 34,337 rs. 7 kop., 5) na różne wydatki 31,018 rs. 24 kop., 6) na budynki 12,827 rs. 45 kop. W tym samym czasie dochodu było 218,035 rs. 84 k., mianowicie: 1) z czynszów od nieruchomości 41,715 rs. 19 k., 2) z procentów od kapitałów 27,342 rs. 85 kop., 3) Ze zwrotu kosztów utrzymania 7,262 rs. 18 kop.; 4) Z zarobku zakładu 970 rs. 3 kop.; 5) Z ofiar i jałmużn oraz 5 kop. dopłaty do biletów teatralnych 97,760 rs. 44 kop.; 6) Z pozostałości kasowych 6,322 rs. 69 kop.; 7) Z zaległych opłat 1878 rs. 51 kop. i 8) Z innych źródeł 34,833 rs. 94 kop.

W tym czasie uposażenie zakładu stanowiły: a) trzy Domy wyżej wskazane, mające 15,480 kw. łokci placu w dziedzińcu, szacowane w latach 1870—1879 na 69,317 rs., od roku 1880 na 108,402 rs., a w r. 1885 na 79,120 rs. i b) kapitał w Banku Polskim w roku 1870 w sumie 19,455 rs. 82 kop., a w roku 1885 już w sumie 62,043 rs. 67 k. wykazany. Zarząd gminy zaś wykazuje wartość posesyi 1,066z z 3-ma jej domami, oficyny i gruntem na 274,454 rs., nadto wykazuje posesyę 3,106ffgg przy ul. Żytniej za wałami, stanowiącą uposażenie schronienia kalek przy Przytułku starców istniejącego w sumie 37,254 rs. Kapitały w tej samej sumie, za wyłączeniem 16,000 rs. jeszcze nie zrealizowanych. Poszczególne każdy z tych trzech zakładów podług sprawozdań Zarządu gminy takie posiada kapitały:

I. Dom starców posiada 24,403 rs. 36 kop., mianowicie: a) na hipotekach 19,010 rs. 98 kop., b) w Banku Polskim 2,242 rs. 38 k. i c) niezrealizowane 3,150 rs. Pierwszy zapis jest Doroty z Wallów Białkowskiej z r. 1838 na 225 rs.; ostatnim z r. 1885 Joanny Neybaurowej na sumę 1,500 rs. (jeszcze nie zrealizowany). Wszystkich zapisów jest 52, z których największym jest Beniamina Taubego z roku 1851 na 5-ciu domach ubezpieczony w sumie 4,961 rs. 56 kop., drugi

Juliana Neumana z r. 1869 na 3,000 rs., inne od 1,500 rs. schodzą do 9 rs. 2 kop. i 8 rs. 50 kop.

II. Oddział kalek przy tymże Domu ma 10,008 rs. 90 k., z czego 600 rs. nie zrealizowanych a 9,408 rs. 90 kop. na hipotecę. Zapisów jest 23, z których pierwszy z r. 1852 Ferdynanda Wernera na ociemniałych w sumie 75 rs., ostatni Joanny Neybaurowej z roku 1885 na 1,000 rs.

III. Dom sierot na 35 zapisów na sumę 22,031 rs. 41 kop., z których 18,657 rs. 41 k. na hipotecę, 1,125 rs. w gotówce w banku i 7,249 rs. nie zrealizowanych. Największym z nich jest zapis Neybaurowej z r. 1885 na 5,000 rs. (nie zrealizowany), drugim Ignacego Ciszewskiego z r. 1881 na 3,000 rs., trzecim Juliana Neumana z roku 1881 na 3,000 rs., reszta mniejsze od 1,650 schodzą do 4 rs. 99 kop. (Zapis Metznera z r. 1882).

IV. Ochrona dla dzieci przy tymże Domu ma cztery zapisy. Pierwszy Maryanny Taubowej z r. 1862 na 450 rs., drugi Meyera Bersohna z r. 1872 w postaci wieczystej opłaty po 15 rs. rocznie, trzeci barona Edwarda Klopmana z r. 1879 na 150 rs. i czwarty Joanny Neybaurowej z r. 1885 na 5,000 rs. (jeszcze nie zrealizowany).

W r. 1885 było w Domu schronienia starców 60, z których wypisano 17, zmarło 6, — przeciętnie na dzień było w ciągu roku 35. Koszt utrzymania czynił dziennie: 1) na żywność 15 kop., 2) na aptekę 0,4 kop., 3) na administrację, obsługę, lokal, opał, światło, pościel, bieliznę, odzież i opranie 12,1 kop., a razem na dzień 27½ kop. czyli rocznie 100 rs. 37 kop.

Dzieci na wychowaniu było 65, z tych wypisano 18, zmarło 2, przeciętnie dziennie było 44. Koszt dzienny utrzymania czynił: 1) na żywność 12 kop., 2) na aptekę 0,4 kop., 3) na administrację, obsługę, lokal, opał, światło, pościel, bieliznę, odzież i opranie 21,6 kop., a razem na dzień 34 kop., czyli rocznie 124 rs. 10 kop. Ochrona miała dzieci 116, z tej liczby wypisano 61, — przeciętnie na dzień było 112. Pozostało więc na rok 1886 — 55 dzieci. Koszt dzienny utrzymania czynił: 1) na żywność 2 kop. 2) na administrację, obsługę i inne 2½ kop. a razem 4½ kop. czyli rocznie 11 rs. 70 kop.

Na utrzymanie w r. 1885 Domu schronienia starców i sierot wraz z ochroną wydano 12,039 rs. 85 kop. mianowicie: 1) na żywność 5,583 rs. 36 kop., 2) na aptekę 191 rs. 15 kop., 3) na odzież, bieliznę, pościel, światło, opał i opranie 2,967 rs. 69 kop., 4) na utrzymanie administracji i obsługi 1,823 rs. 40 kop., 5) na różne wydatki 737 rs. 13 kop., 6) na budynki 737 rs. 12 kop. Dochodu zaś było 12,040 rs. 37 kop. mianowicie: 1) z czynszów 3,585 rs. 52 kop., 2) z procentów od kapitałów 2,154 rs. 27 kop., 3) z opłat za utrzymanie 642 rs. 71 k., 4) z ofiar, jałmużni i 5 kop. dopłaty do biletów teatralnych 5,628 rs. 43 kop., 5) z pozostałości kasowej 6 rs. 54 kop. i 6) z innych źródeł 22 rs. 90 kop.

Szpital Wolski

przy ul. Wolskiej pod nr. 3102/3 (4).

Zakład ten w dziejach swych ma 3 wybitne okresy. Pierwszy bardzo krótko bo tylko 7 miesięcy i 5 dni trwał, od dnia 26 maja 1830 do 31/XII tegoż roku, miał charakter wyłącznie domu poprawczego, dla osób policyjnie-sądowo skazanych. Urzędownie z początku zwano go „Domem zarobkowym“ od dnia jednak 8 czerwca r. 1839 na skutek rozporządzenia rządowego dano mu nazwę „Domu przytułku i pracy“, którą zachował aż do 31 grudnia 1876 r. Odtąd zaś nosi nazwę szpitala Wolskiego. W dniu 15 sierpnia 1831 roku zbombardowany zniszczył do fundamentów. W roku 1833 kosztem 49,920 złp. z woli rządu odbudowany, otwarty w dniu 1 stycznia 1834, miał przeznaczenie zajmować użyteczną pracą włóczęgów, próżniaków, i w ogóle ludzi złego prowadzenia zatrzymywanych przez policję w Warszawie. Dostawiała więc tu policja włóczęgów, żebraków, służących zostających bez służby dłużej nad miesiąc, przestępców w, opuszczających więzienia, a pozbawionych przytułku i środków do życia, chłopców włóczących się po ulicach miasta do lat 14, kobiety nierządne bez stałego zamieszkania i uczciwego zarobkowania, żebraczki dziewczynki od lat 12, ujęte na włóczęgostwie i żebractwie. Na ostatnim dopiero planie był przytułek dla starców i kalek płci obojg, mających się utrzymywać z dobrowolnych ofiar. W tym charakterze zakładu więziennego, przetrwał aż do r. 1876. Tu osadzeni aresztanci policyjni uzdolnieni w rzemiosłach pracą swoją przysparzali zakładowi funduszków na jego utrzymanie, inni nie posiadający rzemiosł wychodzili jako najemnicy do robót w polu, ogrodach, przy budowie domów, kobiety do mycia podłóg, prania bielizny i t. p. zajęć domowych. Najmujący z zakładu robotnika wnosili opłatę za niego do kasy zakładu.

Zakład ten zwany dotąd „Domem przytułku i pracy“ wybudował rząd używszy na to funduszu wiekopomnej pamięci Stanisława Staszica, który w zapisie ostatniej swjej woli z d. 20 sierpnia 1824 r. między innymi do woli i uznania rządu przeznaczył 30,000 rs. na założenie w Warszawie dla ludzi ubogich pozbawionych pracy Domu zarobkowego, lub choćby Sal zarobkowych, — tak jednak, aby najprzód tylko połowa tego funduszu była użytą na kupno nieruchomości pod zakład, a druga połowa (15,000) stanowiła wiecznie fundusz zarobkowy, który z procentów doszedłszy do wysokości równej kapitałowi, powiększałby sobą kapitał zakładowy, od którego znowu odsetki winny były być obracane na opłatę wykonywanych w zakładzie robót. A ponieważ przy stopie 5% każde 20 lat powiększałoby z kapitału zarobkowego t. j. owę drugie połowę zapisu (15,000 rs.) kapitał zakładowy o 15,000 rs., więc też co każde 20 lat i ilość rzemieślników w samym zakładzie i ich płaca mogła być znacznie powiększaną. Boć jeśli

w pierwszym okresie 20 letnim było kapitału zakładowego 15,000, a procent coroczny od niego przynosił 750 rs. to w drugim 20-leciu kapitał ten przez procenta kapitału zarobkowego wzrósłszy o drugie 15,000 rs., a razem w sumie 30,000 rs. dawałby już procentu 1,500 rs. i tak dalej. Miejsc etatowych wyznaczono na 200 osób, a gdy liczba ta nie wystarczała, z czasem otwarto w r. 1840 w Górze Kalwaryi filią Domu przytułku i Pracy na 100 osób, pozostającą pod wspólnym zarządem.

W roku 1846 w Domu przytułku i pracy otwarto z woli i naku namiestnika Królestwa warsztaty tkackie i sukiennicze, z decyzji jednak Rady głównej opiekuńczej zakł. dobr. z dnia 27 Lipca 1849 r. zamknięto je po 3-ach latach istnienia, z powodu że nie dawały zysków. W końcu zbrakło zajęcia dla szewców, krawców, stolarzy i t. p. Od roku 1850 osadzeni tu aresztanci zatrudniani bywali pracą płatną na korzyść zakładu, jednak tylko po za jego obrębem, wyjątek stanowiły wyrób plecionek i darcie pierza w Domu,—za te płacono. Aresztanci byli żywieni nędznie samem tylko warzywem, mąką i kaszami, chlebem, barszczem i krupnikami; prócz okras, mięsa nie znali. Zakład ten choć powstał z funduszu Staszica, nie tylko nie odpowiedział wymaganiu zapisodawcy, ale wręcz woli jego się sprzeciwiał, bo Staszic nie myślał upadłych poduosić; to było zadaniem państwa. Jego nawskroś obywatelskie serce chciało ratować od upadku tych, których by brak pracy na drogę występku prowadził, nie myślał o zakładzie karnym lub poprawczym lecz o dobroczynnym. Zapisem swoim, jako nad wiek swój głęboki myśliciel, uprzedził na całe dwa pokolenia wielką myśl samopomocy, którą się upamiętniła zaledwie druga połowa bieżącego stulecia.

Dopiero w r. 1886 w dniu 10 kwietnia poczęto wprowadzać w czyn pierwotną myśl Staszica. Na skutek bowiem Najwyższej decyzji z d. 21 września 1884 utworzony z łona Rady miejskiej dobr. publ. komitet przystąpił do budowy sal zarobkowych. Miejsce pod nowy gmach obrano na gruncie posiadłości b. Domu przytułku i pracy, pod nr. 3102/3 (4) przy ul. Wolskiej t. j. w obrębie téj saméj posesyi którą w r. 1829 nabyto za pieniądze Staszica pod Dom zarobkowy, a dziś od r. 1877 zamieniony na szpital Wolski. Tył domu stanął bokiem naprzeciw szpitala na dotychczasowym jego dziedzińcu, front zaś dotyka ulicy Zaokopowej tuż przy rogatce Wolskiej. W sobotę (10/IV 86) w głębokiem wydrążeniu ziemi, zebrane koło przedstawicieli władz miejskich z gubernatorem br. Medem na czele, jako prezesem Rady miejskiej dobr. publ. otoczyło sędziwego kapelana b. Domu przytułku i pracy, a obecnie szpitala Wolskiego ks. Emila Borzuchowskiego, ostatniego w Warszawie benedyktyna. Książd odczytawszy modlitwy poświęcił podwaliny fundamentów, cegłę i kielnię a gubernator warszawski br. Medem podaną sobie puszkę blaszaną zawierającą w sobie spisany akt założenia gmachu i kilka sztuk współczesnej monety, zasunął w otwór fundamentu, prezydent zaś miasta generał Starynkiewicz

zakrył otwór cegłą, a przybił ją młotkiem kapelan. Z kolei miejscowe siostry miłosierdzia, których przy szpitalu jest pięć wraz z przedstawicielami Rady miejskiej kładły dolne cegły. W końcu kapłan odczytał ponownie modlitwy i pobłogosławił zebranych.

Plan pod nowy budynek przygotował budowniczy Adam Nowicki i on też budową kieruje.

Na utrzymanie tego zakładu ma służyć owa druga połowa zapisu Staszica nazwana przezeń kapitałem zarobkowym w sumie 15,000 rs., które od r. 1829 samych procentów przyniosły po dzień 31/XII 1885 roku 211,740 rs. 95 kop., a razem z kapitałem 226,740 rs. 95 kop. Ta suma nasuwa mi mimo woli uwagę. Sprawozdanie Rady miejskiej za r. 1870 wykazuje ten kapitał w dwóch kwotach, mianowicie: a) w Banku Polskiem „na stałym 4% wkładzie“ 60,750 rs., b) w tymże banku „na czasowym procencie 4% składanym“ 40,554 rs. 27¹/₂ kop., a łącznie w sumie 101,304 rs. 27¹/₂ kop. W r. 1871 pierwsza suma pozostała nietkniętą druga zaś wzrosła o 6,140 rs. 87¹/₂ kop. (6%), zamiast, jak być winna o 4,052 rs. 17 kop. (4%). W r. 1872 znowu ze 107,445 rs. 15 kop. wzrosły do 134,023 rs. 81 kop., to jest o 26,578 rs. 66 kop. (24,7%), choć 4% przyniosłoby tylko 4,297 rs. 80 kop. W r. 1873 wykazano kapitału 143,393 rs. 20 k. t. j. o 9,369 rs. 39 kop., gdy 4% przyniosłoby tylko od sumy na dniu 31/XII 1873 roku wykazanej 5,360 rs. 95 kop. W r. 1874 podano 151,561 rs. 22 kop., t. j. kapitał wzrósł o 8,168 rs. 2 kop., gdy 4% od 143,393 rs. 20 kop. dałby—5,735 rs. 72 kop. W r. 1875 widzimy kapitał w sumie 159,386 rs. 7 kop. zwiększył się więc o 7,824 rs. 85 kop., a winienby tylko o 6,062 rs. 44 kop. W r. 1876 wykazano 168,005 rs. 29 kop. t. j. zwiększył się kapitał o 5,4%^o. W r. 1877 wykazano 176,968 rs. 94 kop. czyli powiększono kapitał o 8,962 rs. 65 kop. (5,3%). W r. 1878 było kapitału 184,759 rs. 3 kop. t. j. powiększono kapitał o 7,790 rs. 9 kop. (4,4%). W r. 1879 było kapitału 196,903 rs. 1 k. t. j. więcej niż w r. 1878 o 12,143 rs. 98 kop. (6,5%). Dotąd z wyjątkiem roku 1872 nic tak bardzo rażącego. Ale za to sprawozdanie za rok 1880 wykazuje wynik w oprocentowaniu tego kapitału całkiem niespodziewany ani prawdopodobny, bo oto ze 196,903 rs. 1 kop. kapitał wzrósł tylko do 197,093 rs. 78 kop., t. j. powiększył się tylko o 790 rs. 77 kop. (0,4%!!??), a licząc tylko po 4% winien byłby się powiększyć o 7,876 rs. 12 kop. W r. 1881 wykazano kapitału 206,640 rs. 34 kop. t. j. powiększono o 9,546 rs. 56 kop. (4,8%). W r. 1882 wykazano kapitału 216,487 rs. 45 t. j. więcej o 9,847 rs. 11 kop. (4,7%) W r. 1883 było kapitału 226,472 rs. 31 kop. t. j. więcej o 9,984 rs. 86 kop. (4,6%). W r. 1884 było kapitału 237,502 rs. 66 kop. t. j. o 11,030 rs. 35 kop. więcej, co stanowi 4,9% w r. 1885 wykazano w sprawozdaniu Rady miejskiej kapitału tylko 226,740 rs. 95 kop., a winno było być — 247,002 rs. 76 kop. zatem zmniejszono kapitał o 20,261 rs. 81 kop. A że w r. 1880 umniejszono kapitał o 7,085 rs. 35 kop., więc razem ztracono 27,347 rs. 16 kop.

To, że kapitał w niektórych latach, jak widzieliśmy wyżej podnosił się nie według stopy 4 ale podług 4 z ułamkami 5 z ułamkami, a nawet, jak w r. 1879 wedle stopy $6\frac{1}{2}\%$ da się wytłómaczyć albo jakimś korzystnymi sprzedażami papierów państwowych, w których nawet zakłady pieniężne prywatne, obowiązane są umieszczać swoje kapitały rezerwowe lub zapasowe, albo też korzystną dla kapitału zmianą pierwotnej stopy 4% na 5 i 6, co w zupełności zależało od gorliwości kapitałem tym opiekujących się. Lecz tak znaczące zmniejszenie kapitału bez żadnego objaśnienia jest trudnym do pojęcia. Przypuścićby można, że na skutek woli Monarchy wyrażonej w dniu 21 września 1884 r., nakazującej urządzenie Sal zarobkowych w myśl ostatniej woli Staszica, pod budynek których w roku 1886 w dniu 10 kwietnia założono podwaliny, poniesiono wstępne koszta na sporządzenie planu, przygotowanie materyału i t. p. Ale w takim razie, koszta te nie mogłyby być tak znacznymi, tém więcej że wystawienie oficyny, mającej w sobie sale zarobkowe pomieścić, nie przewyższy chyba 20,000 rs., tém bardziej, że o kilka set kroków zaledwie są cegielnie, z których dostawa o 80 % tańsza niż na jaki punkt śródmieścia, a ziemia bezpłatna, samo zaś urządzenie sal wewnętrzne, ograniczone do szewctwa, krawiectwa, stolarstwa, tudzież drobnych wyrobów gospodarskiego użytku (Gazeta Warszawska Nr. 81-y r. 1886), z natury rzeczy nie może być kosztowne i cały budynek z urządzeniem warsztatów i mieszkań dla 60 ubogich pensyonarzy nie przejdzie 35,000 rs. Czyżby więc na 4 miesiące przed założeniem fundamentów można już było wydatkować 20,261 rs. 81 kop., a jeśli się wliczy różnicę z r. 1880 (7,085 rs. kop. 35) to 27,347 rs. kop. 16?! A jest to znowu niemożliwe w obec tego, że sprawozdanie Rady Miejskiej za r. 1884 na str. 13 wymienia specjalny na budowę Sal zarobkowych fundusz w kwocie 37,660 rubli—nazwany wyrażnie „budowlanym” (stroitelnyj) z zapisu Staszica. Ponieważ zapisu w tej sumie nie było, a były Dom Przytułku i Pracy zajmujący dziś posesyę Nr. 3102/3 (4) przy ul. Wolskiej z przestrzenią ziemi w dziedzińcu i ogrodach 94,056 kw. łokci, został nabyty za pierwszą połowę zapisu Staszica (15,000 rs.), a dziś licząc z murami łokieć kw. po rublu, przedstawia wartość najmniej 94,000 rs., a nadto ze swych oszczędności do r. 1876 zebrał i w Banku Polskim na procencie złożył kapitał 33,524 rs. 61 kop., być więc może, że ten kapitał b. Domu Przytułku i Pracy, z którego dotąd korzystał jego spadkobierca Szpital Wolski, którego Staszic nie fundował i nie uposażał, przy wprowadzaniu obecnie w czyn jego fundacyi przeznaczono na budowę i nazwano, jak wyżej, budowlanym. A w takim razie suma 27,347 rs. 16 k. w latach 1880 i 1884 naruszona i bez upoważnienia ministeryum niewłaściwie użyta, powinna być kapitałowi sal zarobkowych przywróconą.

Do r. 1834, jak pisze dr. Pogorzelski, etat każdego roku ograniczał ludność w instytucie do 100 osób, w r. 1835 podniesiono ją do 150, a w r. 1835 do 200. W r. 1870 znowu, przy zachowaniu listy

płacy z r. 1836 na 200 osób, gdy uposażenie to nie wystarczało, zmniejszono do 150 osób, w r. 1871 do 135, w r. 1872 do 130, a od r. 1874 do 1876 po 110 osób na rok. Od r. 1877 do 1879 wł. po zamianie Domu Przytułku i Pracy na Szpital, wynaczono miejsc etatowych dla chorych 80, a od r. 1880 dotąd już tylko 60.

Utrzymanie Domu Przytułku i Pracy od roku 1834 było oparte na następujących funduszach:

1) Fundusz z Biura Kontroli sług rocznie po	4,500 rs.
2) Zasiłek ze skarbu Królestwa po	3,000 rs.
Biuro Kontroli dotąd funduszu tego dostarcza, zaś zasiłek ze skarbu ustał już od r. 1884.	
Procent od kapitału Staszicowego, powyżej szczegółowo opisanego	600 rs.
Odsetki owe zaczęto pobierać z Banku Polskiego od 22/VI 1844, do etatu zajęto je dopiero od stycznia 1845. Ponieważ jednak stanowiły one własność fundacji Sal z a r o b k o w y c h, których Dom Przytułku i Pracy nie posiadał, więc też co rok z Banku je podnoszono, co rok je nazad składano. Była to więc tylko zapewne formalność, mająca na celu zaznaczenie niewątpliwe prawa własności tego kapitału. Tém się też da wytłómaczyć, że pomimo pobierania corocznie procentów, kapitał ten urósł do wysokości wyżej opisanéj.	
4) Procent od 48 rs. 72 kop. z zapisu ś. p. Wierzejskiego (zaczęto pobierać od 20/1 1847, do etatu zapisano po raz pierwszy r. 1848).	1 rs. k. 75
5) Procent od 30,777 rs. 4½ kop., znajdujących się w Listach Likwidacyjnych w Banku Polskim. Suma ta powstała z różnych oszczędności, a w r. 1869 dała dochodu	1,231 " " 8
6) % od 125 rs. z zapisu ś. p. Jaskowitza (od r. 1852)	5
7) % od 450 rs. z zapisu ś. p. Cieślińskiego	22 " " 50
Procent ten stosownie do woli zapisodawcy był obracany na wsparcia dla wychodzących z Domu Przytułku i Pracy aresztantów.	
8) % od 500 rs. z zapisu Flatau'a (od r. 1865)	25
9) Dochód z dzierżawy ogrodu zakładowego	245 " " 5
10) Z zarobków więźniów osadzonych w Domu Przyt. i Pr. około	2,850
11) Z dochodów od dopłaty 5 kop. do biletów teatralnych i z ofiar wielkotygodniowych	200
Ogółem	<u>12,630 rs. k. 38</u>

Od r. 1834 do 31/XII 1876 Dom Przytułku i Pracy mieścił w sobie 11,241 mężczyzn i 20,815 kobiet, razem 32,056 osób policyjnie karanych. Utrzymanie całkowite zakładu za przeciąg tych lat 42-eh kosztowało 498,079 rs. 56 kop.

Z rokiem 1876 znika zakład karny a powstaje dobroczynny—szpital Wolski. Początek jego należy jednak odnieść niemal do chwili założenia Domu Przytułku i Pracy, a to już choćby z tego powodu, że tu umieszczano kobiety nierządne z zarodem wstrętnej choroby, skutkiem czego już w r. 1831 Dyrekcyja Generalna policyi w dniu 14 marca 1831, poleciła Komisji Województwa Mazowieckiego aby w Domu Przytułku i Pracy urządziła oddział dla 200 kobiet wenerycznych, dla których nie było miejsca u św. Łazarza. Dom Przytułku i Pracy od 3-eh miesięcy zajęty był wówczas na lazaret wojskowy, i z dniem 1-o kwietnia 1831 r. po przeniesieniu chorych wojskowych w miejsce dogodniejsze, miał być obrócony na szpital kobiet wenerycznych. Do skutku to jednak nie przyszło, Domowi Przytułku i Pracy przywrócono charakter zakładu więziennego, a dla niesienia pomocy chorym, przeznaczono z urzędu lekarza, którego zadanie ograniczało się do kwalifikowania chorych do szpitali miejskich. Dopiero w r. 1840 główny inspektor służby zdrowia w dniu 31 grudnia zwrócił uwagę Rady Główniej Opiekuńczej na potrzebę utworzenia w samym zakładzie osobnego oddziału dla chorych mężczyzn i kobiet, czyli infirmerji, w którejby chorzy oprócz lekarstw, także lepszą żywność otrzymywali. Rada Opiekuńcza na skutek tego wezwania, uznawszy konieczność otwarcia infirmerji, odniosła się do Komisji Spraw Wewnętrznych, z prośbą o przeniesienie w inne miejsce Zakładu moralnie zaniedbanych dzieci, podówczas w jednej z oficyn Domu Przytułku i Pracy się mieszczącego, a oficynę przezeń zajmowaną i jego własnością będącą, obrócić na infirmerję. Przedłożenie to uwzględniono ale dopiero w r. 1846, przeznaczwszy na to dwie sale, jedną dla mężczyzn na 14 łóżek, drugą dla kobiet na 17 łóżek. Umieszczano tu chorych w lżejszych przypadłościach niemocy, w potrzebie natychmiastowej pomocy, oraz osłabionych wiekiem lub dotkniętych kalectwem. W razie rozwoju choroby cierpiącego odsyłano albo do Dzieciątka Jezus, albo do św. Łazarza, do szpitala Żydowskiego, do Ś. Ducha, lub do Ś. Jana Bożego. Lekarzy infirmerya miała pięciu. Pierwszym był Aleksander Hofman od 1/I 1830 do 1/VII tegoż roku. 2) Marcin Meyer od 12/VII 1830 do 31/XII 1833 r. 3) Henryk Schaefer od 25/II 1834 do 1/III 1849. Pierwszy z lekarzy płatnych w tym zakładzie. 4) Michał Kamiński od 16/III 1849 do 1/XII 1871 i 5) Ludwik Pogorzelski od 8/XII 1871 do 31/XII 1876.

Oprócz charakteru domu karnego miał Dom Przytułku i Pracy czasowo znamiona szpitali, mianowicie od 1/I 1831 do 16/III 1831 mieścił się tu lazaret wojskowy; w r. 1848 od 4/IX do 23/XII t. r. szpital cholerycznych na 30 osób. W r. 1852 ponownie otwarto tu szpital dla 50 cholerycznych, trwał od 13/VIII do 7/XI t. r. W roku

1855 znowu otwarto szpital na 56 cholerycznych, trwał 84 dni. Na rok przedtém, t. j. w r. 1854 był tu szpital czasowy ogólny na 200 osób, istniał od 25/IV do 26/IX 1854. W tym czasie 91 dniowym było tu chorych 1140, z czego zmarło 149.

W r. 1855 w czasie od 14 marca do 15 maja urządzono znowu szpital czasowy na 150 osób; w tym czasie było chorych 414.

Toż samo ponowiono w r. 1861 na osób 50, w r. 1862 na 24 osoby, trwał od 15/II do 23/III t. r.

Od r. 1863 do 1869 z powodu przepełnienia w Szpitalu D-ka Jezus oddziału kobiet epileptycznych, tu urządzono na kilka miesięcy czasowy oddział dla 23 kobiet epileptycznych. Było ich wszystkich w ciągu tych 7 lat — 87.

Szpital Wolski otwarty w dniu 1/I 77, przyjął chorych do dnia 31/XII 85 r. 9,384, z których wyzdrowiało 7,891, zmarło 1398, t. j. 17,7 % pozostało na r. 1886 chorych 95.

W r. 1885 miał szpital chorych 1,223, mianowicie pozostałych z roku 1884 — 98 i przybyłych w ciągu roku 1885-go 1,125. Z téj liczby wypisano 968 chorych, zmarło 160, t. j. 13 %. Utrzymanie jednego chorego na rok podaje sprawozdanie na 266 rs. 45 kop. Jest to suma i za wielką i za małą. Zdaje mi się, że aby dojść ile w przecięciu ogólny koszt utrzymania jednego chorego na rok czyni, trzeba sumę kosztów z tego roku rozdzielić na przeciętną liczbę chorych. Tych sprawozdanie za r. 1885 podaje na dzień 63,1, a że suma kosztów za ten rok czyni rs. 18,299 kop. 51, więc na jednego chorego przypadłoby 290 rs. 46 kop., w porównaniu więc z tą sumą podany wyżej koszt przeciętny 266 rs. 45 kop., jest za mały o 24 rs. 1 kop. Ale za to w stosunku do powszechnie ujawnionej od lat trzech taniości życia, co nietylko stwierdzają ceny targowe żywności przez dzienniki warszawskie drukowane a z biura targowego Magistratu im dostarczane, ale co jeszcze wiarogodniej potwierdzają wykazy tych cen w sprawozdaniach samej Rady Miejskiej za r. 1884 (str. 13) i za r. 1885 (str. 12), i co nadto wymownie stwierdzają cyfry téj kategorii z innych szpitali wzięte, koszt ten przeciętny za r. 1885 jest przerażająco za wielki. Bo jakże to usprawiedliwić, czém wreszcie uzasadnić tak znaczną różnicę, gdy w przecięciu ceny żywności z r. 1884 (Spraw. Rady Miejs. str. 13) światła i opału (węgla), były na ogół biorąc o 5,4 % droższe od cen z r. 1885, gdy wreszcie wszystkie prawie rubryki wydatków z r. 1885 znacznie są mniejsze od r. 1884, a mimo to koszt ogólny na chorego tak wielki. Dla czego nadto ta różnica tak rażąco występuje w obec wydatków w pozycjach innych szpitali i przytułków wykazywanych. Przecież one wszystkie w liczbie 19 pod jednym i tym samym zarządem pozostają, w jedném i temże mieście od jednego i tego samego żyda dostawcy otrzymują wszelkie artykuły spożywcze, z jednych i tych samych składów odbierają węgiel, drzewo, płótna, lub wyroby sukienne i wełniane.

Zdawaćby się mogło że tu chorzy marcypany spożywają a w in-

nych na samą chyba kaszy poprzestają. Tak jednak nie jest. Bo oto w szpitalu żydowskim, gdzie chorzy najtroskliwiej są pielęgnowani, gdzie prywatna idealnie szczerobliwa ofiarność idzie w zawody z najpierwszymi szpitalami zagranicą, by sprostać ulepszeniom i higienicznym i chirurgicznym; nie szczędząc nakładu byle tylko choremu w jego cierpieniu skuteczną a spiesznią przynieść ulgę, gdzie i żywność, zastosowana do przepisów religijnych, przez to samo jest droższą, tam koszt roczny na chorego w r. 1885 uczynił tylko 141 rs. 98 kop., t. j. o 124 rs. 47 kop. mniej. A jak różnica ta jest nieprawdopodobną niech da miarę i to, że całkowite utrzymanie siostry miłosierdzia też samo sprawozdanie podaje na 124 rs. 10 kop., więc jest ono jeszcze mniejszem od tej różnicy o 37 kop. W szpitalu D-ka Jezus koszt ten podano na 184 rs. 69 kop., w szpitalu na Pradze aż 210 rs. 24 kop., u św. Ducha 217 rs. 90 kop. Gdyby i te zestawienia tak wymowne, a niezwykle dowolność rachunku stwierdzające, nie były dostateczne niech przemówią cyfry z r. 1884 w zestawieniu z rokiem 1885. I tak następujące rubryki: żywność dziennie na chorego obliczono na 15,8 k. (w r. 1885—14,3), apteka 6,8 kop. dziennie (w r. 1885—6,2 kop.), zarząd, obsługa, światło, opał, odzież, bielizna, opranie, lokal 41,3 (dla czego ta sama rubryka w szpitalu Żydowskim czyni tylko 23,9 kop. dziennie?) w r. 1885 obliczono tę rubrykę na 52,5 k. dziennie w szpitalu Wolskim (u D-ka Jezus tylko na 29 kop., w Żydowskim na 23,6 kop., w Instytucie Oftalmicznym księcia Lubomirskiego na 34,2 kop., w Domu Starców św. Ducha przy kościele N. Panny Maryi na Nowem Mieście 7,5 kop., w Głównym Domu Sióstr Miłosierdzia 10 kop.!!). Dla czegoż więc tę rubrykę w r. 1885 w Szpitalu Wolskim podwyższono o 11,2 kop, kiedy nawet największa rubryka wydatków p. t. Utrzymanie zarządu i służby w r. 1885 była mniejszą o 1,057 rs. niż w r. 1884? a inne rubryki jak np. „Spłata długów” w r. 1885 była mniejszą niż w r. 1884 o 1,400 rs. A nadto przeciętna liczba chorych w r. 1884 była 87,5, gdy w r. 1885 czyniła tylko 63,1.

Gdyby każdy ze szpitali miał swój zarząd własny, samodzielny, jak przed laty 17, to takie różnice dziwiłyby może, bo każdy z innego źródła mógłby opatrywać swe potrzeby. Ale gdy władzę nad szpitalami i przytułkami w Warszawie scentralizowano w nieznanym dotąd sposób, gdy jedna osoba wszystkiemi kieruje, i dla wszystkich zakładów pod jej pieczę będących wszystkie potrzeby po jedej cenie przez przedsiębiorców przeważnie żydowskich dostarcza, to różnic tych, oprócz akt oryginalnych Rady Miejskiej, żaden sofista nie wytłómaczy.

Tak wygląda rzecz ogólnie, gorzej jeszcze wyjdzie w szczegółach. Weźmy np. rubrykę utrzymania „zarządu i służby.” Najważniejszą częścią w niej jest praca pieniężna, a ta o ile odnosi się do oficyalistów etatowych jest wszędzie stałą i zaledwie co lat 10 lub kilkanaście nieznacznie podwyższe ulega;— że zaś w tej rubryce mieści się praca służby niższej najemnej, jak posługaczy lub posługaczek, których liczba w miarę wzrostu liczby chorych powiększa się a z ubytkiem ich zmniej-

sza, więc o jakieś 100 do 200 rubli na rok może być różnicy i tak też bywało w całym szeregu lat (1834—1876) w byłym Domu Przytulku i Pracy. Że zaś nadto służba niższa przy nader skromnym wynagrodzeniu ma stół w szpitalu, a przy zmianie cen żywności, powodować różnicą może, więc też pewna różnica jednego roku odnośnie do innego jest usprawiedliwioną,—ale w miarę. Żeby jednak całe tysiące rubli czynić miała to trudno pojąć. Dla porównania biorę sprawozdanie kuratora szpitala żydowskiego, gdzie rachunkowość jest ścisła, skrupulatna. Szpital żydowski ma łózek etatowych 400 i 5 oddziałów, szpital Wolski ma łózek etatowych 60 z 3-ma oddziałami. Chorych w przecięciu w r. 1885 było w Żydowskim 300 a w Wolskim 63. Więc przy takim stosunku wyglądającym niemal jak 5 : 1 możnaby przypuszczać, że i koszt tej rubryki będzie w takim samym stosunku. I że mógłby być takim to potwierdza sprawozdanie Rady Miejskiej za r. 1877, w którym Szpital Żydowski w tej rubryce mając w przecięciu dziennie 277 chorych kosztował 15,434 rs. 99 kop., a Wolski mając ich 55, t. j. 5 razy mniej, kosztował też w tej rubryce tylko 3,215 rs. 97 kop., t. j. wcale nie wiele po nad ten stosunek przekroczył. Ale za to w r. 1878 rubrykę tę podniesiono do 8,862 rs. 42 kop., w r. 1881 do 9,085 rs. 56 kop., w r. 1883 zmniejszono ją o 1,428 rs. 90 kop., ale już w r. 1884 ze 7,656 rs. 66 kop. podniesiono do 9,396 rs. 25 kop., a w r. 1885 zmniejszono o 1,056 rs. 68 kop. W Żydowskim zaś szpitalu rubryka ta, podług sprawozdań Kuratora czyniła: w r. 1877—11,259 rs. 24 kop., w r. 1878—11,619 rs., w r. 1879—11,671 rs., w r. 1880—11,962 rs. 54 kop., w r. 1881—12,794 rs., w r. 1882—12,771 rs. 29 kop., w r. 1883—12,762 rs. 19 kop. i w r. 1884—13,055 rs. 94 kop. Czyż to więc możliwe aby w szpitalu Żydowskim, gdzie jest 15 lekarzy, z których 7 płatnych w sumie 3,250 rs. rocznie, koszt tej rubryki na chorego czynił od 40 rs. 62 kop. do 49 rs. 08 kop. rocznie (według sprawozdań Kuratora), a w szpitalu Wolskim w r. 1877—58 rs. 47 kop., a od r. 1878 od 118 rs. 16 kop. do 126 rs.—?? Weźmy rubrykę odzieży, pościeli, opatu, światła i innych potrzeb. Ta w szpitalu Żydowskim uczyniła od r. 1877 od 31 rs. 27 kop. do 33 rs. na chorego, w Wolskim zaś od 40 rs. do 61 rs. A rubryka budynków? Ta chyba najpocieszniej wygląda. Bo oto gdy Szpital Żydowski od r. 1877 do 1885 r. w rubryce budynków na 400 chorych wydał 25,482 rs. 38 kop., to Wolski na 60 chorych wydał tylko w tym samym czasie 21,467 rs. 50 kop., t. j. że gdy w Żydowskim szpitalu w tém 9 leciu na chorego wypadło rocznie kosztu na budynki po 9 rs. 80 kop., to w Wolskim aż 32 rs. 67 kop. Wszak-to bardzo wymowne. Ale będzie jeszcze wymowniejsze, gdy się wydatek na budynki wykazany w szpitalu Wolskim zestawí z ceną wartości dokonanych robót podaną przez protokoły odbiorcze, sporządzone przez budowniczych Rady miej. dobr. publ. Tak np. gdy w r. 1877 wydatkowano na budynki 6,474 rs. 43 kop., to protokół odbiorczy sporządzono aż na 6,881 rs. 43 kop., a gdzież w tym wypadku podziela się składka ogniowa, koszt wywózki nieczystości, czynsz wieczysty roczny splecony

magistratowi? Czy wreszcie wolno oceniać drożej robotę dokonaną nad jej rzeczywistą wartością i rzeczywisty jej koszt? Tak samo postąpiono sobie i w r. 1881. Gdy bowiem wydatkowano w owym roku 943 rs. 61 kop. wyraźnie dziewięćset czterdzieści trzy ruble 61 kop., to wartość dokonanej roboty oszacowano aż na 3,811 rs., wyraźnie trzy tysiące osmset jedenaście rubli. I na odwrót znowu bardzo wymownie zakwestyionowały protokoły odbiorcze wykazane wydatki. Tak np. gdy w r. 1878 wydatkowano na budynki 1185 rs. 20 kop., to protokół odbiorczy oszacował roboty aż na 370 rs. 11 kop., a w roku następnym 1879 przy wykazanym wydatku 2,167 rs. 54 kop., protokół odbiorczy podał wartość robót na 400 rs. Albo gdy w r. 1880 wydatkowano 4,676 rs. 33 kop.—protokół podaje tylko wartość dokonanych robót na 1,236 rs. 8 kop. A w latach 1882 i 1883 przy wykazanym wydatku 3,959 rs. 85 kop., protokół podał wartość robót tylko na 1,916 rs. 61 kop. Chyba to bardzo wiarogodne. Czyż w obec tak niezwykłych cyfr można jeszcze mówić o jakich nadzwyczajnych wydatkach? O tak niewątpliwie. Im dalej w las tém więcej drzew. Jest bowiem jeszcze rubryka wydatków zatytułowana od lat kilku „różne wydatki,” a przez lat poprzednich jedenaście nosząca nazwę bardzo podniosłą „na zapomogi i lekarstwa dla chorych wypisujących się i inne.” Ponieważ zapomogi takie w poczuciu idealnie pojętej ludzkości, wydają ubogim tylko szpitale Żydowski i Ewangelicki i to z sum przez gminy swe specjalnie przeznaczonych, więc w końcu nie chciano jakoś być śmiesznym w obec siebie samego i tytuł tak podniosły a z prawdą niezgodny zastąpiono prawdziwym choć bardzo ogólnikowym. Otóż tedy w tej rubryce, która w r. 1879 czyniła tylko 38 rs. 59 kop., a w r. 1880—127 rs. 54 kop., w r. 1882—146 rs. 53 kop., widzę w r. 1877 okazałą sumę 2,701 rs. 47 kop., a w r. 1881 aż 4,697 rs. 88 kop. Te dwie cyfry, jak się zdaje, winny były stanowić remanent, aby jednak nie przyczyniać kasie zbyt ciężaru, zapisano je do rubryki „różnych wydatków.”

W r. 1885 miał szpital przychodu 11,655 rs. 62 kop., wydatki zaś wykazano w sumie 18,299 rs. 51 kop., więc niedobór czyni 6,643 rs. 89 kop. Etat szpitala Wolskiego:

1) Starszy lekarz	rocznie 900 rs.	13) 3 służące salowe	
2) miejscowy	450	po 36 rs.	rocznie 108 rs.
3) intendent	1,175	14) 1 służąca przy	
4) sekretarz	450	siostrach mił.	36
5) kapelan	150	15) dwie kucharki	84
6) kancelista	380	16) woźny	90
7) 6 siostr miłos.	285	17) szwajcar	90
8) starszy felczer	250	18) pomywaczka	36
9) młodszy	180	19) 3 praczki	120
10) 3 służ. salowych	144	20) na życie dla ka-	
11) 2 stróży po 48 rs.	96	pełana, lekarza, siostr	
12) 2 służ. przy ustęp.	96	mił. i służby (32 osób)	2,581 rs.
		Razem	<u>7,671 rs.</u>

Szpital zapasowy

za rogatką Wolską w ogrodzie Ohm'a, pod Nr. 3086a (25).

Wstęp do opisu krótkich dziejów tego szpitala zapożyczę ze sprawozdania Rady Miejskiej Dobr. Publ. za r. 1882. Tam bowiem na str. 14 w Przeglądzie główniejszych czynności Rady Miej. Dobr. Publ. w pierwszym ustępie dowiadujemy się, że prezes Rady Miejskiej przedstawiwszy w r. 1881 P. Głównemu Naczelnikowi kraju sprawozdanie z czynności Rady Miejskiej od chwili jój powstania i zwróciwszy uwagę na skutki tój doniosłój działalności, zaznaczone w polepszeniu środków pieniężnych szpitali, ich pomieszczeń, rzeczowych zapasów i w powiększeniu liczby miejsc dla chorych i biednych, a jednocześnie ujawniwszy słabe strony zakładów dobroczynnych, usunięcie których jest koniecznym dla należytego urządzenia w Warszawie skutecznej pomocy publicznej dobroczynności, orędownął o utworzenie osobnej komisji, której zadaniem byłoby wyszukanie nowych źródeł dochodów, dla usunięcia tych niedostatków, albowiem środki rozporządzalne Rady Miejskiej pieniężne, przechodzą zakres możliwej działalności Rady Miejskiej.

Skutkiem tego orędownictwa było powołanie w dniu 16 października 1881 do życia Komisji, prezesem której został prezydent Warszawy generał Starynkiewicz.

Zanim pomyślano o wyszukaniu nowych źródeł dochodu na korzyść dobroczynności publicznej, wspomniana Komisja „na zasadzie bardzo troskliwych badań” przyszła do tego samego co i Rada Miejska przekonania (jakże miało być inaczej, gdy ją składali członkowie tejże Rady), że, dla należytego urządzenia w Warszawie zakładów dobroczynności publicznej potrzeba: *a)* powiększyć liczbę szpitali na 110 łóżek corocznie w ciągu 4-ch miesięcy zimowych; *b)* urządzić przytulisko dla pielęgnowania nieuleczalnie chorych na 444 ludzi; *c)* urządzić przytułki położnicze na 15 łóżek; *d)* założyć szpital dla dzieci z chorobami zaraźliwymi na 50 łóżek i *e)* polepszyć żywność chorych.

Jak mówi sprawozdanie, zajęcia tój komisji, jako złączone z ustanowieniem nowych podatków i ofiar wymaga dłuższego czasu; tymczasem samo ujawnienie braków, odczuwanych w zakładach dobroczynności publicznej, wywołało z jednéj strony najżywsze współczucie dla nich prezydenta m. Warszawy i podwładnego mu zarządu miejskiego, z drugiejj zaś strony pobudziło dobroczynność prywatną, — z czego Rada Miejska korzystając, ujrzała się w możności, nie czekając na wynik orzeczenia wspomnianej komisji, usunąć dwa ważne niedostatki, a mianowicie, powiększyć liczbę szpitalnych pomieszczeń i urządzić pięć przytułków położniczych.

W celu zwiększenia liczby szpitali zarząd miasta wyasygnował z Kasy Miejskiej 14,500 rs. jednorazowo, a do budżetu miejskiego u-

chwalono wpisywać co rok po 9,000 rs. na najem domu i utrzymywanie stale szpitala, utrzymywania w nim chwilowo 50 chorych, t. j. w przeciągu 3-ch zimowych miesięcy.

Za pieniądze z Kasy miejskiej Rada Miejska wynajęła od Hermana Goldenringa na przeciąg 12 lat miejscowość za Wolskimi rogatkami, znaną pod nazwą ogrodu Ohm'a, mającą przestrzeni 53,000 kw. łokci za rocznym czynszem po 4,000 rs. Stosownie do kontraktu, jak twierdzi Gazeta Warszawska w N. 21 z d. 24/I 1887, wzniesione tu przez Radę Miejską budynki, po upływie w umowie zakreślonego 12-letnia, jeśli umowa nie będzie nadal przedłużoną, przechodzą bezpłatnie na własność właściciela tej posiadłości. W najętej miejscowości znaleziono wyborny materyał na urządzenie szpitala, ponieważ posiada ona bardzo obszerny cienisty ogród, strumień bieżącej wody i budynki, chociaż w stanie bardzo zniszczonym, niemniej jednak dla swego wewnętrznego rozkładu i rozmiarów izb, przedstawiające możność dogodnego i celowi odpowiedniego urządzenia.

Jak upewnia dalej sprawozdanie, całkowitego urządzenia tego szpitala, który nazwano zapasowym, dokonano pod bezpośrednim kierunkiem i nadzorem Członka Rady Miejskiej R. T. Wiłujewa. Nie zważając na spóźnioną porę dla przyczyn niezależnych od Rady Miejskiej, w czasie od dnia 20 września 1882 do 1 stycznia 1883 r. oprócz gruntownej przeróbki istniejących budynków, wzniesiono nowe budynki mianowicie: izby dla służby męskiej i żeńskiej, pralnię, izbę dezynfekcyjną, gabinet sekcyjny, trupiarnię, stajnię z wozownią, urządzone własny wodociąg, oświetlenie gazowe, kuchnię i mieszkanie dla Sióstr miłosierdzia, lekarza i usługi, wystawiono ustępy i dano w starych budynkach dwie nowe zewnętrzne ściany. A jednocześnie zaopatrzone całkowicie we wszelkie potrzeby zakład dla 50 chorych.

Naprawa starych i budowa nowych budynków kosztowały 16,820 rs. 76 kop., całkowite zaś zaopatrzenie szpitala 4,530 rs. 92 kop., a razem 21,351 rs. 68 kop.

W tak urządzonym przez p. Wiłujewa, jak mówi dalej sprawozdanie, szpitalu, w wypadku potrzeby, można łatwo pomieścić od 80 do 100 chorych obojęj płci lub prawie tylu, ilu podczas zimy dla braku miejsc w innych szpitalach warszawskich przyjęcia odmawiano.

Tak wygląda rzecz w świetle sprawozdania Rady Miejskiej, cуж majorem pars, stanowi osoba twórcy tego szpitala. W inném świetle przedstawi nam go rzeczywistość nad wyraz smutna, bo wykazująca, że kosztem miasta, uginającego się już od lat 10 pod brzemieniem wszelakich ciężarów publicznych, urządzono sobie pańską zabawkę gwoili zaspokojeniu fantazyi jednego z radnych. Bo oto, jak widzieliśmy, zadaniem tego szpitala, zwanego zapasowym, jest co najmniej przychodzić w pomoc reszcie szpitali warszawskich zimową porą kiedy są przepełnione. Czy temu celowi szpital odpowiedział? Jak dotąd prawie nie. Bo oto był całkowicie wykończonym i we wszystkie potrzeby zaopatrzonym na dniu 31/XII 1882. Pomimo to ani w roku 1883,

ani w r. 1884 nie działał wcale i dopiero w r. 1885 był czynnym od dnia 21 lutego do 9 kwietnia, t. j. w ciągu 47 dni czyli zaledwie połowy tego okresu czasu, jaki mu z góry co rok wyznaczono, t. j. 3 miesięcy. Tymczasem liczba chorych w latach 1883 do 1885 podług sprawozdań Rady miejskiej tak zmalała, że Szpital zapasowy nie ma najmniejszej racy bytu, tembardziej, że przepelnienia, z wyjątkiem obu szpitali męskiego i kobiecego dla obłąkanych w żadnym z lat 1870 do 1885 nie było i np. w szpitalu Dzieciątka Jezus na 500 łóżek etatowych, najwyższa liczba była 400 chorych na dzień. Nie przyjmowano zaś więcej ze względów oszczędności, choć w rachunkach wykazywano inaczej,—i za liczbę fikcyjną płacić sobie kazano. Od r. 1880 do 1882 w 14 szpitalach w Warszawie wykazują sprawozdania Rady miejskiej 73,830 chorych, w latach zaś 1883 do 1885 tylko 68,950 zatem mniej o 4,880 osób. Można by więc mniemać że w ostatnim trzechleciu nędza a z nią choroby w mieście zmalały. Wiemy przecież aż nadto dotkliwie że tak nie jest, że przeciwnie nędza wzrasta, a chorych nędzarzy, mimo że jest miejsc dużo nie przyjmują, bo to kosztuje a panowie kuratorowie pensyi nie biorą, pełniąc obowiązki „honorowo.“ Szpital urządzony na 80 do 100 łóżek, jak podaje sprawozdanie Rady miejskiej za r. 1885 przyjął tylko 30 chorych. Na same budynki wydatkowano w latach 1882 i 1885—32,413 rs., z czego na czynsz dzierżawny odchodzi 12,000 rs., a reszta na budowę i naprawę. Gdy jednak ta ostatnia pozycya czyni 20,413 rs., to protokół odbiorczy ocenia wartość dokonanych robót tylko na 11,119 rs. 98 kop., zatem brak okrągłych 9,000 rs., któryby przecież usprawiedliwić wypadało.

Od r. 1882 do 1885 włącznie miał szpital dochodu 49,946 rs. 17 kop., wydatki zaś uczyniły w tym czasie 45,222 rs. 22 kop. Pozostało więc w gotówce na rok 1886—3426 rs. Rubryki dochodu były następujące: 1) z czynszów 35 rs., 2) z Kasy miejskiej 42,250 rs., 3) od chorych za leczenie 39 rs. 27 kop. 4) Z 5-o kop. dopłaty od biletów teatralnych 6,200 rs. 5) Pozostałości kasowe 1,297 rs. 95 kop. 6) z innych źródeł 123 rs. 95 kop. Wydatki na 33 chorych, z których zmarło 3-ch uczyniły 1) na żywność 72 rs. 64 kop.; 2) na aptekę 175 rs. 60 kop. (!!), 3) na odzież, pościel, światło, opał, pranie 1,322 rs. 49 kop. (!!!), 4) na utrzymanie zarządu i obsługi 2,972 rs. 29 kop. (!!!); 5) na budynki 32,413 rs.; 6) na spłatę długów 7,614 rs. 53 kop.; 7) na różne wydatki 651 rs. 47 kop. Działalność jak widzimy w skutkach bardzo doniosła a niezwykle tanim kosztem.

Z akt hypotecznych tego szpitala wyjmuję następujące szczegóły: roczny czynsz opłacony właścicielowi przez Radę miejską czyni 10% czystego dochodu od 40,000 rub., za które p. G-ing w roku 1881 posiadłość tę nabył. Ponieważ nie opłaca podatków i wszystkie budynki stawia mu i utrzymuje Rada miejska, przeto p. G-ing jest obecnie wyjątkowo kosztem miasta zazdrości godnym posiadaczem nieruchomości.

Rada miejska bez upoważnienia Ministerjum szpital ten urządziła wbrew art. 1812, t. X, cz. I, praw. cyw., co jej wytknął i skarcił Senat Rządzący ukazem do ministerium spraw. wewn. z d. 2/II 83 za nr. 7,629.

Etat zarządu w szpitalu Zapasowym.

1) Intendent mieszkanie i życie oraz pensyi	Rs. 300
2) Dwóch lekarzy przez 3 miesiące po 90 rs.	„ 540
3) Ogrodnik rocznie mieszkanie i życie	„ 180
4) Dwóch stróży po rs. 13 każdemu miesięcznie	„ 185
5) Urzędnik do pisma w ciągu 3-ch miesięcy	„ 45
6) Dwóch felczerów po 25 rs.	„ 150
7) 3-ch służących salowych po 4 rs. mies.	„ 36
8) 1 służący przy wannach po 4 rs.	„ 12
9) woźny po 6 rs. mies.	„ 18
10) dwie posługaczki na salach po 3 rs.	„ 18
11) kucharka po 4 rs. mies.	„ 12
12) pomywaczka po 3 rs.	„ 9
13) dwie praczki po 4 rs.	„ 24
14) 1 służąca przy siostrach miłos.	„ 9
15) na życie dla 50 chorych	„ 900
16) „ dla 4-ch sióstr miłos.	„ 144
17) „ dla felczera dyżurnego	„ 24
18) „ dla 12 osób służby niższej	„ 216
Razem	<u>Rs. 2,820</u>

A jednak utrzymanie zarządu i obsługi nie w ciągu 3-ch miesięcy etatowych, ale tylko 47 dni wykazano w sumie 2,972 rs. 29 kop. nie licząc żywności dla chorych.

(C. d. n.).

NA SZEROKIM ŚWIECIE.

P O W I E Ś Ć.

NAPISAŁ

S e w e r *).

XVI.

Znajomość pomiędzy piękną dziewczyną a młodym trybunem nie zerwała się. Widywali się: — schadzkom towarzyszyła Bretonka, uległa, poważna, surowa, pilnująca swęj młodej pani z gotowością poświęcenia życia w jej obronie. Do tego jednak nie zdarzyła się sposobność.

Młodzi spotykali się zwykle w parku Monceau lub w ogrodzie Luksemburskim. Wyszukiwali puste, odosobnione aleje, aby mieć swobodę w głośnie] rozmowie. Dziewczyna wychowana na ideałach wielkości państwa, które już dziś przestały jej wystarczać, pochłaniała nowe idee i nową wiarę, wygłaszaną z namiętnością przez nerwowego o pałacem oku entuzyastę. Oryginalność jego porывała ją. Język, wyrażenia, myśli, zapatrywania na świat, sądy o ludziach były dla niej nowe, nigdzie nie słyszane — a wszystko razem, opromienione poczyną mistycyzmu i gorącą wiarą w zwycięstwo głoszonej idei. Oryginalność, zapał, zrećzna dyalektyka, a może młodość i piękność entuzyasty zdobywały umysł—w części i serce młodej dziewczyny. Egoizm i zimny chłód hrabiego męczyły ją — Czestaw spokojem swym nużył, wspomnienia krakowskie, Edzio i malarz wstydziły, radaby od nich uciec, spotykani na jej drodze ludzie nie wystarczali jej—i dla tego namiętny entuzyasta pociągał.

*) Dokończenie—patrz zeszyt za m. lipiec r. b.

A jednak dziwne, ani razu nie przyszła jej myśl zaprosić go do swego domu, przedstawić matce. Bała się pokazać mu zbytek, jaki ją otaczał, bała się, aby matki nie przerażał głoszonemi ideami, szorstkością obejścia i językiem. Będąc absolutną panią w domu, wszystkie trudności mogła łatwo usunąć, lecz nie pomyślała o tém. Tajemniczość, odległe schadzki, miały dla niej nieprzeparty pociąg.

Młody człowiek ze swjej strony nigdy nie okazał najmniejszej ochoty poznania jej rodziny. Nigdy nie mówił o swych uczuciach, nie zdradził ich żadnym wyrazem. Czasami wpatrywał się melancholicznie i długo w piękną twarz dziewczyny — i to było wszystko.

Raz, po chwili milczenia, powiedział cicho i serdecznie:

— Ukochać ideę i znaleźć osobę, któraby ją streszczała w sobie, uzmysławiała, to wielka radość serca. Gdybym miał stawiać posąg na cześć méj idei i wiary, za model wziąłbym panią i kazał wiernie skopiować.

Dziewczyna nie odpowiedziała, zamyślona i poważna, zapatrzona w przestrzeń szła naprzód wolno. Zaledwie wznoszące się piersi mówiły o jej wzruszeniu.

— Podobnie — pomyślała — kochali się pierwsi chrześcijanie w idei nowj wiary — w Chrystusie.

Uczucie to miało dla niej niezwykły urok świeżości.

— Nie pyta się: kto ja jestem, nie ciekawy: jakie jest moje stanowisko społeczne, nie rachuje mego posagu, nie docieka méj przeszłości. Nie go to wszystko nie obchodzi, tylko idea i ja w niej. Nasunęły się jej na pamięć katakumby i w nich gromadzący się chrześcijanie.

— Oni również o nie się nie pytali, kochając się wzajemnie w swjéj idei. Być kochaną tak, jak pierwsza chrześcijanka, upajało ją nieznaną dotąd rozkoszą, na którą się składały: oryginalność, tajemniczość i idealizm. Nowa wiara, którą jej głosił, posiadała również te trzy cechy.

Na pożegnanie podała mu rękę z serdecznością siostry i on, powodowany uczuciem sympaty i braterstwa, przycisnął ją do ust.

Wychodząc z ogrodu Luksemburskiego obejrzała się. W znacznej odległości oparty o balustradę stał malarz, wpatrując się w nią uparcie. Nie była pewna czy ją poznał, lecz wystraszona, chociaż nie wiedziała dla czego, uciekała. Bretonka biegła obok niej, nie mogąc pojąć, co się jej pani stało.

W domu czekała na nią matka smutna i zgnębiona.

— Zosiu tajemnicze twoje wycieczki...

— Martwią cię mamó. Wierzysz twojéj córce?...

I nie dając jej odpowiedzi zawołała: Wierz — powinnaś wierzyć. Przysięgam ci, że stokroć razy poniosę śmierć, zanim najbliższy cień spadnie na twoją jedynaczkę.

— Po cóż ta tajemniczość. Czy sądzisz, że w Paryżu nie ma ludzi — nie ma zawiści i plotek.

Przez myśl dziewczyny przesunął się jak zły duch wpatrujący się w nią w ogrodzie malarz.

Zadrżała—opanował ją nieznaną strach. Przytuliła się do matki i pieszcząc ją mówiła serdecznie.

— Choćby mnie wszystkie dewotki z Krakowa widziały, żadna z nich nie odważyłaby się powątpiewać w nieskazitelności twój córki—żadna.

Matka wierzyła, czekała na spowiedź, lecz dziewczyna milczała. Rada była wtajemniczyć ją w nowe idee — bała się jednak przerażać i milczała.

— Przestałaś bywać w świecie—odezwała się z cieniem wymówki.

— Ach jak tam nudno. Zawsze ci sami ludzie, te same stroje, te same rozmowy i stereotypowe uśmiechy. Znalazł się jeden — zdawało się inny...

— I zmęczył nas—dodała matka.

— Poczóż mamy chodzić na udrczenia i zmęczenie.

— A jednak w tym świecie możesz znaleźć...

— Męża mam — prawda. Tam go, przeczuwam, nie znajdę. Skończy się na tém, że ty mi go wybierzesz. Pocałowała matkę w czoło, uśmiechnęła się fluternie, podeszła do fortepianu i niebawem z pod jej palców zadźwięczało „Preludium“ Chopina.

Zbliżała się zima wilgotna i pochmurna, nastały dni krótkie i ciemne, deszcz i wiatr walczyły ze sobą o panowanie nad Francją i Paryżem.

Schadzki z trybunem bywały rzadsze i krótsze, lecz za to więcej ożywione. Młody człowiek miał tyle ciekawych wiadomości, że zaledwo mógł przed umysł dziewczyny rzucać same fakta mówiące o wzroście nowej jego wiary. Rozmawiali żywo, prawie gorączkowo, żegnali się uściskiem rąk: — dziewczyna rozmarzona wracała do domu.

W jednym z dni jasnych i pogodnych dostała list, przeczytała go i schowała. W liście tym trybun ją wzywał na posiedzenie komitetu.

Nazajutrz odczytała list dwa razy i z pewnym żalem rzuciła do kominka, patrząc smutno jak przybierał barwę czerwoną, czarno-popielatą i znikał. Była zamysłona i poważna. Chodziła po swoim pokoju, stawała na chwilę przy oknie, patrzyła na ludzi snujących się po ulicy i znów wracała do swych przechadzek. Skazówki na zegarze powoli dobiegały drugiej godziny. Z każdą ubiegłą minutą niepokój dziewczyny wzrastał się.

Gdy wybiła druga, jak gdyby pokonana przez nieznaną jej siłę, zarzuciła na siebie futerko, włożyła kapelusz i wyszła niepostrzeżona przez nikogo.

— Nareszcie raz trzeba się dowiedzieć prawdy i na własne oczy przekonać się, co jest—powtórzyła w duchu.

Na bulwarach siadła do omnibusu. Przez ulicę Richelieu, most na Sekwanie i bulwar St. Michel dostała się na plac Panteonu. Tam wysiadła i rozglądając się dokoła przeczytała nazwisko ulicy, ciągną-

cój się w stronę „Jardin des plantes,” pobiegnęła nią szybko, nie dając się opanować obawom, które się budzić w niej zaczęły.

W tym samym czasie i na tej samej ulicy wychodził ze swój pracowni głodny malarz.

— Jest—szepnął—ruchy jej poznałbym w piekle. I zapominając o głodzie poszedł za nią. Tyle razy mi się wymykała, lecz teraz nie ucieknie.

Dziewczę żywo, nie oglądając się, przebiegało z ulicy na ulicę, malarz w przyzwyczajonej odległości szedł za nią. Przed drzwiami wysokiego, a wąskiego domu, zawahała się chwilę i zniknęła.

Malarz został sam. Na drugiej stronie ulicy zobaczył „garyotę,” wszedł do niej, usiadł przy oknie i kazawszy sobie podać śniadanie, czekał.

Dziewczyna, nie patrząc na nic i nikogo nie widząc, szybko przebiegła schody. Na drugim piętrze drzwi same się przed nią rozwarły. Minęła przedpokój i znalazła się w saloniku, zarzuconym broszurami i papierami. Trybun stał przed nią.

— Gdzież komitet, ludzie—szepnęła, wodząc dokoła wzrokiem strachu i zdziwienia.

— Jesteś w moim domu—odpowiedział cicho, drżącym ze wzruszenia głosem;—chciał ją ująć za rękę, lecz cofnęła się przerażona.

— Oszukałeś mnie, skłamałeś—krzyknęła.

— Ogień w mych oczach, drżenie głosu, gorączka, która mnie pożera, nie kłamia. Zoś! zbliżył się i chciał ją ująć w pól.

Dziewczyna skoczyła do okna, uderzając ręką gwałtownie o szybę. Szkło wyleciało z jękiem, rozbijając się o bruk.

— O, coś energicznie — pomyślał malarz. Jeżeli usłyszę głos, pierwszy stanę w jej obronie.

— Lwica dała się ugłaskać—szepnął i w dalszym ciągu zabrał się do śniadania.

Wyteżył słuch, lecz na próżno—cisza panowała dokoła.

— Jeżeli jeden krok zrobisz, zawołam o pomoc. Zaledwo mówić była zdolna, dławiono ją w gardle, głos nie mógł się wydobyć z piersi.

Młody człowiek blady, spokojny, mimo że żyły wystąpiły mu na czoło, wpatrywał się w nią. Wargi mu drżały, nozdrza się rozszerzały. Stali naprzeciwko siebie krótką chwilę. Sięgujął po rewolwer.

— Mierz sobie—zawołała, prostując się.

Trybun ujął ręką za lufę i podał jej.

— To dla ciebie, jeżeli chcesz sławy i rozgłosu, wpakuj mi sześć kul, a jako zwiedzioną i oszukaną sędziowie jednogłośnie cię uniewinnią.

Dziewczyna wzięła rewolwer. Oparta plecami o ścianę trzymała go wyprężonemi rękami.

— Przeczuwałem, kto jesteś — mówił spokojnie. Znużoną uciechami życia bawiły nowe idee, bawił cię i ten, który ci przyniósł wieści z podziemnego świata. Bawiły cię tłumy i ich krzyki rozpa-

czy, bawito cię niebezpieczeństwo samo. Wszystko cię bawilo. Mój zapał i moja wiara w ciebie. Niedoświadczony entuzyasta wierzyłem, że i wśród waszego obozu są ludzie, mogą być kapłani. Pierwsza próba...

— Hańby — zawołała.

— Hańby po waszemu, waszój hańby. Wy, jeżeli się sprzedajecie za miliony, byle mer uświęcił tę sprzedaż, wtedy jest cnota i dla tego prawdziwą miłość nazywasz hańbą.

— Kłamiesz — odpowiedziała wzburzona.

— Jeżeli postąpiłem nikczemnie, strzelaj. Widzisz, ręka ci drży, nie masz odwagi popełnić morderstwa, choćby oklaskiwanego przez głupią waszą opinią.

— Pierwsza próba — mówił dalej — wyleczyła cię na zawsze z naszych mrzonek. Zdawało się, że roznamiętniasz się na myśl przekreślenia historii i cywilizacji. Czemże ty jesteś?

— Uczciwą dziewczyną — odpowiedziała z godnością i spokojem.

— I znowu rzucasz mi banalnym wyrazem zdawkowej monety. Kochałem cię — tyś mi upostaciowała energią i pięknoscią ideę, dla której oddaję wszystko. Kochałem cię, jak człowiek wolny, a ty? Czemże ty jesteś dziś, w tej chwili w obec mnie ze swemi wczorajszymi frazesami.

— Uczciwą dziewczyną — krzyknęła — a ty nikczemnikiem. Sprowadziłeś mnie podstępem, chciałeś shańbić lub skompromitować i tym sposobem zmusić, abym do ciebie należała. Przekreślasz historią i cywilizacją, aby na jój miejsce napisać co?

— Robota frazesów i cywilizacyjna blaga...

— Milcz — przerwała mu. Jeżeli uczciwość, honor, cnota, są rezultatami cywilizacji, to dosyć — zostaję z nią, a tobą gardzę.

Rzuciła mu pod nogi rewolwer.

— Nie zrobię ci tego zaszczytu, abym cię zabić miała.

— Nie zrobię ci tego zaszczytu, abym korzystał z twojej bezbronności — odpowiedział. Wracaj do swoich, do swój skorupy przesądów...

Dziewczyna groźna i poważna wyszła.

Na ulicy buchnęły na nią ognie, zaczęła się wstydzić samej siebie i uciekać.

Malarz zobaczył ją przebiegającą koło garkuchni. Wybiegł, obszedł ulicę i na zakręcie zastąpił jój niespodziewanie drogę.

— Nareszcie spotykamy się i my — mówił swobodnie, nie zdejmując kapelusza.

Dziewczyna zmierzyła go piorunującym spojrzeniem, minęła i szła dalej.

— I nic mi pani nie powiesz — nic? Nawet co się działo po wybieciu szyby?... Nacóż ją było wybijać? — rozśmiał się.

Dziewczyna zobaczyła sierżanta policyi i szybko skierowała się ku niemu. Malarz się cofnął.

— Straszysz mnie—pomyślał—czekaj... Gdybyś prosiła, przebaczyłbym.

Obejrzała się. Malarz stał w miejscu, dziewczyna poszła dalej. Nie wiedziała gdzie i dokąd. Wbiegła do ogrodu Luksemburskiego, przeszła go, minęła plac Odeonu. W uszach jej szumiło, twarz paliła, oczy miała dziko patrzące... Na ulicy Bonaparte zobaczył ją Czesław—dogonił. Podała mu rękę. Szli w milczeniu. Młody człowiek nie śmiał zadawać pytań.

— Wody—szepnęła.

Czesław zawołał na garsona, stojącego we drzwiach kawiarni. Napila się, oddychając głęboko. Łzy, nie wezwane i nie prozione wydobyły się z oczu i płynęły po twarzy. Zapytał się jej nieśmiało, czy nie każe odwieść się do domu.

Skinieniem głowy poświadczyła.

Jechali w milczeniu, dziewczyna nie była w stanie uporządkować myśli.

O kilkadziesiąt kroków przed domem jej mieszkania kazał stanąć, podał jej rękę i odprowadził do bramy. Stanęli, zdjął kapelusz, ujął ją za rękę i pocałował na znak swój czci dla niej i wiary w nią.

Zosia zrozumiała ten rodzaj hołdu i uznania.

— Gdybym mu podała rękę, zaprowadziła do mamy i powiedziała: oto twój zięć, — błyskawica myśli przesunęła się przez jej głowę.

— Gdybym powiedział, że ją kocham i prosił o rękę — myślał Czesław.

Refleksya przyszła w porę.

— Nigdy—odpowiedziała sobie dziewczyna — mógłby mnie posądzić, że doznane upokorzenia chcę osłonić jego nazwiskiem.

Pożegnali się w milczeniu, uczeni jednak wzajemnie serdeczność w uścisku rąk.

— Nic mi teraz nie pozostaje, jak wracać do kraju i czekać — myślał Czesław. Przychodzić — znaczyłoby to samo, co żądać wynagrodzenia za tajemnicę, której nawet nie posiadamy. Domyślać się tego, czego nie było i tym sposobem odgrywać nędną rolę. Wierzę, że dziewczę jest czyste i niewinne, że ją spotkał ciężki zawód lub niesprawiedliwe upokorzenie. Inaczej nie ścisnęłyby mi serdecznie ręki. Jest ona dumna i szlachetna, i gdyby była winna, traktowałaby mnie wyniosłe i odpychająco. Wracajmy do kraju i czekajmy tam, co losy dadzą.

Zosia wbiegła do swego pokoju. Nie miała czasu zebrać myśli i uporządkować ich, ując w całość wypadków dnia, gdy Bretonka przyniosła jej kartę księżnej z zaproszeniem na dzisiejszy raut.

— Będę, muszę być—zawołała w duchu—chcę uznania i zadośćuczynienia za wyrządzoną mi zniewagę. Dała rozkaz dziewczynie, aby wybrała najefektowniejszą tualetę i odświeżyła ją.

— Powraca do swoich—pomyślała Bretonka.—Byłam pewną, że tak będzie.

Weszła matka.

— Mamo zaproszenie przyjmuję. Rzuciła się matce w objęcia i tuląc się do niej, całowała ją nerwowo.

Otoczona wykwiłtnem towarzystwem dziewczyna czarowała młodych i starych wdziękiem i uprzejmością. Dowcip jej błyszczał, głos drżał. Pierwsza matka zobaczyła, że pracuje, aby pozyskać sobie wszystkich. Nie mogła odgadnąć przyczyn, lecz smutne przeczucia zaczęły ją opanowywać.

Drugim był hrabia. Salonowy ten gracz odrazu dostrzegł zmianę w usposobieniu Zosi.

— Co jęj się stało, pomyślał. Usiłuje zapanować nad swem rozdrażnieniem i pozyskać sobie ludzi bez wyjątku. Dotąd nie było to w jej zwyczaju. Jest jakaś tajemnica...

Nie dokończył, gdy młoda dziewczyna, trzymając pod ramię piękną de la Tour zbliżyła się do niego.

— Czy fatalizm nas rozdziela, czy umyślnie uciekamy od siebie—zapytała go.

— Może się tylko nie szukamy, odpowiedział spokojnie.

— Już to, mój hrabio, zbyt uprzejmy nie jesteś.

— Za to szczerym. Rodaczka moja zualazła pewno towarzystwo, w którym rada przebywa. Ja pracuję.

— Układając swoją przedwyborczą mowę. Byleby tylko nie była zbyt nudna—odparła de la Tour, uprowadzając ze sobą Zosię.

Gdy mówił o znalezieniu towarzystwa, Zosia lekko pobladała, co również nie uszło uwagi przyszłego dyplomaty.

— Jest coś... Tydzień temu przyjmowała mnie wyniośle, dziś pierwsza się zbliża i rękę wyciąga.

Dyplomata rad był wrócić do pięknej dziewczyny, lecz pierwój postanowił odkryć przyczynę zmiany jej usposobienia. Ostrożny i zawsze pan siebie.

Zmęczona i zdenerwowana Zosia późno w noc wróciła do domu. Dopiero wtedy zaczęła obejmować całość wypadków dnia i oceniać grozę swego położenia. Czuliła odrazę do trybuna, nienawiść do malarza, litość nad sobą samą i tłumioną w duszy obawę o matkę. Zrozumiała że stanowisko jęj zachwiane. Nikogo obok niej w tęg pustce—jeden tylko Czesław...

— Wyjechać podszeptęła jej myśl. Odepchnęła ją. Wytrwać zwalczyć i zwyciężyć, a dopiero po zwycięstwie się cofnąć.

Nie miała pojęcia z kim walczyć i przeciwko komu. Mimo to postanowiła nie ustępować. Tego od niej wymagała jej niewinność, osobista godność i kryjąca się na dnie serca duma.

Idee wygłaszane przez trybuna, cały gmach wspaniałej budowy zacierał się w jęj umyśle, zmieniał w mgłę i rozwiewał przed sądem krytyki.

Iść za popędami naturalnych skłonności... Przypomniała sobie, że trybun od dawna przygotował ją do sceny, jaką jej zgotował. Szlachetna jej natura zawrzała z oburzenia i żal w jej sercu zmienił się w pogardę, gniew i oburzenie.

XVII.

Malarz szukał, komu by mógł powierzyć tajemnicę pięknej dziewczyny i znalazł Edzia. Widywali się w Paryżu, obaj odrzuceni — nie czuli do siebie zawiści. Łączyła ich wspólna dola.

— Nie potrzebuję sam występować do walki rozważał malarz. Nie mam na to zdolności i czasu. Drogiego czasu, który tu w Paryżu zmienia się wybornie na gotówkę. Powierzyłem moję sprawę w godne ręce; zemści się za mnie i za siebie... Czem ja bym dziś był, powtarzał, gdyby nie ona. I wierząc w to, groził dziewczynie.

Edzio, po rozstaniu się z malarzem, długo rozważał i plany układał. Dużo żył w świecie, miał spryt i jeżeli nie znał ludzi, odgadywał ich. Nie wierzył w upadek Zosi, raczej domyślał się zasadzki. Z natury odważny a nawet zuchwały i przedsiębiorczy poszedł do trybuna. Dwaj ci ludzie jednej narodowości, stojący na przeciwnych krańcach wrogich obozów, spojrzeli sobie w oczy odważnie, nie kryjąc niechęci a nawet nienawiści i wzajemnej pogardy.

Trybun dumny swém stanowiskiem i rolą, jaką odgrywał, przyjął polskiego hrabiego z wyzywającą arogancją. Co do Zosi powiedział, że został zdradzony i oszukany przez arystokratkę, która być może chciała tylko zdobyć tajemnicę jego stronnictwa. Na propozycyą pojedynku wskazał drzwi i schwycił za rewolwer.

— Nie mam ja życia — zawołał — do zaofiarowania pierwszemu lepszemu głupcowi, który młodość swą spędził na idyotycznej zabawie strzelania do celu.

Przestraszony rewolwerem, Edzio cofnął się, przysięgając laską obić na ulicy zuchwalca.

— Kto wie — przypuszczał trybun — czy to nie jest nasłana figura dla zamordowania mnie. Nie wierzył, aby piękna arystokratka odgrywała rolę szpiega, lecz był oburzony na nią za zdradę i zawód, jaki mu zrobiła.

— I jeżeli to ona — zawołał — przysłała tego utytułowanego kondotiera — biada jej. Entuzyasta, żyjący w abstrakcyach swęj idei, nie miał pojęcia o stosunkach ludzkich i charakterach. Nie zajmował się psychologią, żył wśród ludzi jak lunatyk i z jednej strony widział zdradę i czujących na siebie sztyletników, z drugiej poświęcenie bez granic. Do pięknej arystokratki przywiązał się po swojemu, chciał ją wyzwolić z pęt przesądów. Zdradziła go jak tyle innych, a bojąc się, aby jej tajemnica odwiedzin nie została odkrytą — wysłała kondotiera do legalnego zamordowania go. Gniew, oburzenie i żal wstrząsały nim.

Na ulicy Edzio ochłonał. Był pewny, że Zosia jest niewinna, a o to mu głównie chodziło. Przekonany o swęj godności, zawyroko-
wał, że człowiek tęj miary, co trybun, nie jest w stanie obrazić go.

Dziewczyna niewinna, lecz w oczach własnych uważa się za zgubioną—w oczach świata może nią być. Należy ją postraszyć, zaofiaro-
wać wspaniałomyślnie opiekę i nazwisko. Kraków daleko... I naresz-
cie tam pod skrzydłami wszechwładzy naszęj, pociski nie dosięgną jej.
A przecież i ja coś znaczę i ludzie się mnie boją. Trzeba ją tylko zte-
roryzować—a potem strachem jak na wędzidle trzymać. Malarza zmu-
sę do milczenia, lub wyzwę i zabiję.

Wrócił do siebie, przebrał się i w godzinę potem dzwonił do mie-
szkania Zosi.

Przyjęła go sama, — matka w tym czasie oddawała wizyty.

Powaga i chłód dziewczyny odebrały mu na chwilę odwagę i pe-
wność siebie. Postanowił jednak działać stanowczo i szybko, będąc
pewny zwycięstwa i wdzięczności.

— Czy pani pozwoli mi być szczerym, zapytał po zwykłych for-
mach powitania.

— Zawsze—odpowiedziała spokojnie, chociaż przecucia zaczęły
przyspieszać bicie jej serca.

— Wizyta pani u przywódcy nieprzejednanych przestała być ta-
jemnicą.

— Nie kryłam się z nią—odpowiedziała wyniosłe—a zatem nie
ma i tajemnicy.

Edzio spodziewał się zupełnie innęj odpowiedzi i to go zbiło
z tropu.

— Świat inaczej sądzi — odpowiedział po chwili.

— A więc?

— I jest w prawie wydawać wyroki.

— A zatem.

— Wydaje je.

— Czy pan przyszedłeś ogłosić wyrok wydany na mnie?

— Przychodzę jako obrońca.

— Wybór obrońcy należy do oskarżonego, jest to jedyne jego
prawo.

Odpowiedź obraziła Edzia, lecz zapanował nad sobą.

— Jest jednak również ogólne prawo każdego obywatela potę-
pić, lub bronić oskarżonego.

— I pan raczysz mnie bronić, dziękuje.

— Posłuchaj mnie pani — zawołał z pewnym patosem. — Je-
steś potępioną, wyrok wydany, dziś, jutro, całe uasze towarzystwo
w Paryżu powtarzać będzie przygody odwiedzin twych u ludowego try-
buna. Od wybicia szyby aż do długo potem trwającęj ciszy. Jestem
dość silny i odważny, aby cię pani bronić, jeżeli będę miał do tego pra-
wo. Jako hrabina Sulima możesz być spokojną, nikt nie będzie miał
odwagi ubliżyć ci nawet spojzeniem. Żonę moję, świat w którym żyję,

musi przyjąć i szanować, bo inaczej biada im! — Skończył, patrząc jakie wrażenie zrobił jego wymowa.

Dziewczyna stała nieporuszona, dumna i zimna, jak gdyby nie jej los się rozgrywał.

— Zbyt wielka ofiara — rzekła poważnie — abym ją przyjąć mogła. Zbyt ciężka to rola męża być całe życie uzbrojonym w obronie honoru żony... Gdybyś pan — dodała spokojnie — przyszedł i powiedział mi, potwarz zniszczona, potwarca ukarany, lub zmuszony do milczenia, wtedy nieskazitelna, miałabym prawo wynagrodzić swego obrońcę. Dziś zapóźno, dziś ja mam do zaoferowania tak mało w opinii pańskiej, pan tak wiele... — Popatrzała na niego i wyszła.

Upokorzony i zmaltretowany wybiegł.

— Przegrałem — zawołał. — Ona miała rację, należało najprzód malarzowi utopić szpadę w sercu, lub je kulą przeszyć, a potem przyjść do niej. Lecz cóż wtedy ona mogłaby mi powiedzieć. „Niepotrzebnie pastwiłeś się nad tym biedakiem. Obrońców nie potrzebuje.” Znam ja ją, sprawę przegrałem, a byłem pewny, że jestem u celu. Sprawę przegrałem, lecz przynajmniej zemścić się i zetrzeć w proch tę napuszoną szlachciankę.

W kilka chwil później bretonka przyniosła do pokoju Zosi bilet Czestawa z pożegnaniem.

Dziewczyna miała ochotę dać rozkaz, aby go dogonić i przyprowadzić

— I cóż mu powiem — załamata ręce. — Czestaw nie chce się narzucać. — Ocenia różnicę zachowania się dwóch ludzi. — Niech jedzie i w kraju zaczeka. — Przypomniała sobie, gdy zdjął kapelusz, ujął jej rękę i przycisnął do ust, wyraz jego oczu pełen uwielbienia i cichej rezygnacji. — Może i lepiej, że pojechał... Oprócz matki był to drugi człowiek, o którego się bała, aby potwarz nie doszła do niego.

Co robić, co robić — powtarzała, strach i żal zagłębiały się w jej sercu. Czuli się bezbronną w obec zbliżających się wypadków i bezsilną w obec nadchodzącej burzy. Uciekać, projekt ten powracał do niej uparcie, lecz za każdym razem odpychała go od siebie. Uciekać to znaczy przyznać się do winy, ukorzyć przed opinią, poddać się wyrokowi i zdecydować na rolę zgubionej.

Niedawno, zaledwo kilka dni temu marzyła o pracy i poświęceniu... — Wszystko dla ludzi — powtarzała... I dziś ci ludzie... Namiętny jej charakter oburzał się, odwaga i poczucie niewinności popychały ją do walki, nakazywały stawić czoło burzy i wytrwać.

Wieczorem matka nieśmiało odezwała się do niej.

— Czestaw wyjechał?

— Znajdziemy go w kraju — odpowiedziała Zosia nerwowo, serdecznie.

— Gdybyś się nie bała zimy w Zalesiu, mogłybyśmy wrócić po Nowym Roku.

— Nie boję się i wrócimy marzyć o przeszłości przy ogniu polskiego kominka.

— Układać plany na przyszłość, moje dziecię.

— Tak mam, plany układać na przyszłość spokojną i cichą. Po burzach odpoczynek jest wszystkiem i pewno jedynem szczęściem. Pragnę go obok ciebie.

— Póki nowych sił nie nabierzesz — odpowiedziała jej matka, wpatrując się trwożnie w jej świecące oczy i twarz bladą.

XVIII.

Dnie szybko mijały chociaż godziny wlokły się powoli. Zosia nie pokazywała się w świecie, czekała póki ludzie nie przyjdą do niej. Nikt nie przychodził.

Matka zajęta myślą wyjazdu w cichości przygotowywała się do niego i nie spostrzegła pustki, jaka się około nich robiła.

W tym czasie dzienniki zapowiedziały nową operę nieznanego autora. Reklama opowiadała o niej cuda, cały modny świat wybierał się na pierwsze przedstawienie. Zosia pieniędzmi sforsowała dla siebie i matki łożę. Na neutralnym punkcie raz jeszcze zapragnęła zerwać się ze światem, w którym do niedawna królowała, przekonać się o swém stanowisku i uznaniu.

Dzień i godzina przedstawienia zbliżały się. Bretonka dołożyła wszelkich sił, aby swoją panią pokazać piękniejszą niż kiedykolwiek. Zosi przykro było, że nie może mieć przy sobie nikogo. Hrabia, stary przyjaciel w Kairze — Czesław w kraju. Ukazały się jednocześnie z podniesieniem się kurtyny. Teatr był przepełniony tém, co Paryż ma najpiękniejszego i najbogatszego. Wielkie rody obok dam półświata, książęta krwi zmieszani z szczęśliwymi graczami na giełdzie.

Zosia rozglądała się, wśród łoż i foteli, szukając znajomych, przychylnie uśmiechniętej dla siebie twarzy, — znajomych było dosyć, lecz twarzy uśmiechniętej ani jednej.

W pierwszym antrakcie ukazała się w łoży naszych pań piękna de la Tour. Po paru zamienionych komunałach, pochyliła się ku Zosi i szepnęła jej:

— Ze względu na matkę nie wychodź dziś na foyer — i nie czekając na odpowiedź, nie patrząc, jakie wrażenie ta wieść zrobi, wyszła.

— Nie będziesz tryumfował nad niedoświadczoną dziewczyną — szepnęła francuzka w swój łoż, kierując szkła ku miejscu, w którym siedział hrabia. — Upokorzyła cię. I jeżeli to prawda, że nad ciebie przyniosła pięknego i namiętnego trybuna, Kocham ją za to.

Zosię opanował dziwny strach. Obawiała się podnieść oczu na ludzi, żal jej było straconej czci, prawa noszenia podniesionego dumnie czoła i rozstępujących się przed nią tłumów. Wsunęła się w głąb łoży i z gorączkową niespokojnością, zasłonięta szalami rozglądała się dokoła.

W łoży parterowej zobaczyła hrabiego, obok niego Edzia i dwóch młodych ludzi. Rozmawiali ze sobą żywo, patrząc w jej łożę.

Pieszczona i czczona jak zawsze przez matkę, nie widując w ostatnich dniach ludzi, nie miała pojęcia o grozie swego położenia. W tej chwili potęgowała je własną fantazyą. Rada była uciec, nie spotkać się z ludźmi, uwolnić się od ich wzroku, lecz tajemnicza siła przykuwała ją do miejsca — została.

Po skończonem przedstawieniu piękna de la Tour wbiegła do łoży Zosi, mąż jej wszedł za nią. Podała rękę dziewczynie, mąż poprowadził matkę. Żywo rozmawiając schodzili po marmurowych schodach.

Na jednym z załomów stali hrabia, Edzio i dwóch młodych ludzi. Dziewcze spojrzało na nich dumnie, poważnie i głęboko, jak patrzy ofiara na swych katów. Uśmiechy na ich ustach zamarły, nie mieli odwagi podnieść wzroku — przeszła. Gdy ich minęła oprzytomniali — i matka zobaczyła cyniczne spojrzenia, a jeżeli nie dosłyszała szeptów, domyśliła się ich po kilku wyrazach, które doleciały do jej uszu.

Siadły do karety. Matka drżącymi rękami objęła córkę, przytuliła ją do siebie i gorączkowo całowała. Dziewcze pochyliło głowę na jej piersi. Milczały obie, w uściskach ich streszczała się głęboka boleść i smutek. Miłość do dziecka nie pozwalała matce nawet na zapytanie. I po cóż, gdy wierzyła w jej nieskazitelność. Zosia również milczała. Na skargi nie było miejsca w jej sercu.

Po powrocie do domu matka sama rozebrała córkę, położyła do łóżka, otuliła, pocałowała i wyszła.

Gdy się znalazła w swoim pokoju, boleść głęboka objęła ją jak żelazna obręcz i ścisnęła jej serce. Żal bezmierny do ludzi i świata całego owładnął ją. Nieruchoma siedziała w fotelu, myśli przelatywały błyskawicami przez jej głowę, spychając się wzajemnie w ciemną przepaść. Z tego nawału powstał chaos i szum podobny do dalekiej burzy. Dreszcz ją przeszedł, rozwarła szeroko oczy, słyszała bicie pulsów, strach nieznanym dotąd owładnął nią. Wyteżyła wszystkie siły, aby zapanować nad wzburzonymi myślami. Usiadła przy stoliku, pochwyciła szybko pióro i pisała:

„Głównym i jedynym opiekunem majątku mego i mój córki nazywam Czesława, właściciela Niedźwiady.“

List ten zaadresowała do naczelnika sądu swego powiatu. Pochwyciła drugą ćwiartkę.

„Kochaj ją“ — nie mogła nic więcej napisać i nareszcie nie wiedziała co. Podpisała się „matka“ papier włożyła do koperty i zaadresowała do Czesława. Listy odniosła do bretonki, kładąc je na stoliku przy jej łóżku. Po cichu przeszła do pokoju córki, patrzyła długo na twarz śpiącej i jej odchylone usta, pocałowała ją i wróciła do siebie.

Burza w jej głowie pełna szumu i uderzeń krwi wzmagała się, dreszcze nią wstrząsały, zaledwo miała tyle sił, że mogła się rozebrać i położyć.

Nazajutrz rano straciła przytomność, szóstego dnia pomimo wszelkich wysiłków lekarzy i bezsennych nocy córki, umarła na jej rękach, wymawiając wyrazy:

— Jedźmy do Zalesia.

Zosia została sama z ciałem swój matki. Zimna, zamknięta w sobie, z świecącymi oczami, ustami nerwowo zaciśniętymi—milczała. Mówiła tylko wtedy, gdy wydawała polecenia. Jeździła do ministerjum, starając się o pozwolenie przewiezienia ciała matki do kraju. Ani jedna łza z oczu jej nie spadła, lecz tyle boleści było na jej twarzy i tyle godności w obejściu, że na widok jej ludzie wstawali, otwierały się przed nią wszystkie drzwi, prośby jej zmieniały się w rozkazy. Trzeciego dnia osobnym wagonem opuściła Paryż z trumną, zawierającą ciało matki, mając obok siebie bretonkę.

Śmierć zrobiła wrażenie w towarzystwie. Piękna de la Tour z całą namiętnością wystąpiła przeciw hrabiemu, jako potwarzy córki i zabójcy matki. Z tego powodu odbył się pojedynek między mężem de la Tour a hrabią. De la Tour został ranny, lecz hrabia musiał opuścić Paryż i przerwać na krótką chwilę swą polityczną karierę.

Edzio po cichu wrócił do Krakowa, a malarz pijąc koniak potarzał w duchu:

— Stara była zbyt czułą na tę odrobinę, co się nazywa honorem. Kręcił papierosy z kaporala i spluwał, dodając: czém jabym był, gdyby nie ona? I matkaby żyła i ona byłaby szczęśliwą. Po tym monologu zapalał papierosa i wzdychał, jako ofiara pokrzywdzona przez polską szlachciankę.

Przez całą drogę sierota nie zmrużyła oczu, nie zatrzymała się nigdzie, nie przemówiła ani jednego wyrazu. Bretonka była jej niańką. Poddawała się jej woli i spełniała jej rozkazy bez opozycji.

Na ostatniej stacyi w drodze do Zalesia czekał przerobiony z sanni karawan, obity sukнем i powóz. Świstalski ubrany czarno, tłumiąc wzruszenie i łzy ucałował rękę Zosi i w milczeniu poprowadził ją do powozu. Bretonka usiadła przy niej.

I zaczął się smutny powrót do domu. Ziemia pokryta śniegiem, drzewa osrebrzone szronem, słońce czerwono zachodzące, cisza dokoła przerywana skrzypieniem kół i uderzeniem kopyt koni, dymy z kominów chat wznoszące się prosto, wszystko to razem przypominało sierocie jej szczęśliwą przeszłość, dom, matkę. Była u siebie w kraju, na własnym zagonie. Widoki te i świeże, ostre zimowe powietrze ucuiły ją, przemawiając do jej zdrętwiałej duszy.

Słońce zaszło, na niebie roziskrzyły się gwiazdy. Po białym śniegu pomykały sanie przykryte czarném sukнем i czarna trumna na nich. Zdaleka widać było migocące światełka i słyszeć gwary zgromadzonego ludu. Sierocie zaczęło bić żywiej serce i strach przemawiać. Bała się spotkać z ludem. Cóż ona mu pokaże—trumnę ukochanéj ich pani.

Konie posuwały się naprzód—światełka i gwary rosły. Na sa-

měj granicy Zalesia w obec zebranego ludu zatrzymały się sanie, stanął i powóz. Płacz i lament wydobył się z tysiąca piersi. Sierota nie mogła dłużej panować nad sobą, łązy szerokim strumieniem potoczyły się jěj z oczu. U drzwiczek powozu stanął Czesław, kobiety cisnęły się za nim.

— Sieroto, sieroteńko złota, samaś została na świecie i już cię ręka matki nie utuli.

Zosia, drżąc cała ze wzruszenia i serdecznego bólu, wysiadła. Kobiety cisnęły się do niěj, całując ją i płacząc.

Ksiądz zaintonował psalm pokutny. Poprzedzony chorągwiami i krzyżem poszedł naprzód. Za nim wolno szły sanie z trumną. Czesław prowadził sierotę, tłum ludzi ich otaczał, pochodnie i zapalone świece roznosiły światło dokoła.

— Tak to wracasz do własnego domu, do bogactwa, zawodziły kobiety, a bodajbyś nigdy nie wyjeżdżała...

O matko nasza, zostawiłaś nas i cóż my pocniemy bez ciebie. Rachowałyśmy dnie i godziny, kiedy wrócisz i radowały się jak dzieci twoje i jako dzieci tęskniły za tobą. Odeszłaś nas na wieki.

Sierota nie mogła znieść skarg kobiet—ściemniało jěj w oczach zbladła i zachwiała się. Czesław i bretonka zanieśli ją do powozu, kondukt poszedł dalej.

Wiosna wróciła. Przez otwarte okno salonu, powietrze majowego wieczoru wpływało niosąc zapachy kwitnącego bzu i kasztanów.

W białej sukni na kozetce leżała Zosia, tuż przy niěj klęczał Czesław. Dłoń jěj trzymał w swych rękach i patrzył w czarne jěj oczy wsunięte w głąb i świecące.

— Nie umiałam żyć,—mówiła cicho—dla mnie wszystko było za małe, za drobne, za mizerne i dla tego nic nie zrobiłam. Życie dzieliło się na sny wielkich fantazyi, lub gorączkę niedościgłych pragnień. Nie umiałam pracować, mając wyteżony wzrok na niedościgłe cele. Nie rozumiałam spraw i czynów, które na mnie wkładały stanowisko i obowiązki. Myślałam, że ślepotą moja i obojętność na wszystko, co mnie otacza, to ukryte znamiona wielkości. Dziś dopiero przekonanyam się, że to tylko była żądza bez sił do jěj zdobycia. Ty, mój drogi, umiesz pracować w powszednim dniu dla jutra.

Czesław chciał jěj przerwać, lecz chudą ręką zastoniła mu usta.

— I dla tego daję ci środki do pracy, wszystko co mam. Tym sposobem choć w części spłacam dług życia. Jeżeli ci się uda dokonać rzeczy dobrój, lub ludziom łązy otrzeć, rób to w imieniu naszjej matki. Cząstka těj nieśmiertelności na ziemi należy się jěj—od nas, od ciebie. Kochała cię. I ja cię pokochałam tylko niestety zapóźno. Gdyby tu była matka z nami? Dzień naszego ślubu nie byłby tak smutny. Mógłby być uśmiechem szczęścia—zatrzymała się i zamysliła.

Waż mnie na ręce, nie jestem ciężką, zanieś do sypialnego po-

koju, połóż swoją żonę, okryj i utul, jak mnie matka tuliła. Pocałuj i czekaj póki nie zasną i nie budź mnie więcej.

Sama nic nie zrobiłam—nic, to okropne. Przejść do nieskończoności bez promyka nadziei, że się zostawia pamięć po sobie wśród ludzi i wiązkę dobrych czynów, które wplecione w ogniwa łańcucha życia narodu byłyby drobną cząstką jego uszlachetnienia... Podniosła się nieco i patrząc w przestrzeń powtarzała cicho: nic—nic!.

Ha, zrobiłam jeden wielki czyn—zawołała strasznym głosem, wydobytym z piersi ostatkiem sił—jeden, jedyny: zabiłam matkę!... Zatrzęsa się konwulsyjnie, zesztyniała i padła.

— Zosiu, Zosiu—szeptał Czesław, tuląc ją do siebie.

Nie żyła.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA *).

Wystawa rzeźb i obrazów na polach Elizejskich. — Obrazy patologiczne. — Sztuka rodzajowa. — Juliusz Breton: „Koniec dziennój pracy.” — Pani Daimont-Breton: „Rodzina piekarza.” — L'Hermitte: „Sianożęcie.” — Pelez: „Gniazdko nędzy.” — Dagnan-Bouveret: „Pielgrzymka Bretonów.” — Pavis de Chavannes: „Nauka i literatura” do amfiteatru Sorbony. — Flameng: „Historia literatury,” tryptyk do sieni sorbońskiej. — Matejko: „Wizja Joanny d'Arc.” — Cormon: „Powrót zwycięzki z Salaminy.” — Rochegrosse: „Śmierć Cezara.” — Cabanel: „Kleopatra.” — Uhde: „Wieczera Pańska.” — Clairin: „Apoteoza Wiktora Hugo.” — Obrazy wojenne. — Portrety: Bonat: „Portret Dumasa.” — Panna Bilińska: własny portret artystki. — Pan Aksentowicz: dwa portrety. — P. Merwart: „Bachantka.” — P. Jan Styka: „Prorokini Hulda.” — P. Gąsowski: „Krajobraz Landów.” — P. Karbowski: „Scena z XVIII-go wieku.” — P. Feliks Jasiński: „Aquafora.” — Rzeźby Chopu: „Pomnik grobowy biskupa Orleanu.” — Delaplanche: „N. Panna, patronka pasterzy.” — P. Fremiet: „Goryl.” — P. Cypryan Godebski: „Popiersie Kraszewskiego.” — P. Bogdański: „Popiersie księżny Radziwiłłowej.” — P. Rygier: „Statuetka Kopernika.” — Poemat Tennysona „Locksley-Hall.” — Rozprawa Gladstona. — „Pamiętniki księcia Adama Czartoryskiego” w dwóch tomach. — Rossini. — „Król mimowoli,” opera. — „Klaudya,” dramat Georges Sand. — Wielcy pisarze francuzcy. — „Wiktor Cousin” przez Juliusza Simon i t. d.

W tych dniach zamknięto właśnie wystawę obrazów i rzeźb na polach Elizejskich. Nie mogliśmy dotąd mówić o niej, gdyż otwarcie przypadło po wysłaniu ostatniej kroniki naszój. Dziś poświęcamy jej choć spóźnione cokolwiek wspomnienie.

Pomimo utyskiwania pessimistów, wyznajemy z całym przekonaniem, że sztuka francuzka jeśli w niektórych działach okazuje bezsilność i omdlenie, w innych za to ma tyle siły żywotnej, iż nie godzi

*) Kronikę niniejszą przeznaczoną do zeszytu na mies. lipiec, wstrzymaną w ekspedycyi, drukujemy w zeszycie sierpniowym. Red.

się powątpiewać o jej przyszłości. Z nagromadzonych iskier musi prędzej czy później jasny wybuchnąć płomień. Takie wrażenie za pierwszym rzutem oka sprawił na nas tegoroczny Salon. Wprawdzie są tu dziwactwa i ekscentryczności: chorobliwe prądy, jakie powiewają w literaturze, musiały odbić się w utworach pędzla i dłuta, a przecież z pomiędzy dwóch tysięcy z górą obrazów i tysiąca kilkuset rzeźb, wybiega niejedyn głos wołający wbrew pesymistom: Jeszcze sztuka nie zginęła, kiedy my żyjemy!

Owe to utwory, pełne żywotnej siły, przebiegniemy głównie w kronicie naszej. Nim przystąpimy do nich, zwróćmy uwagę na jeden z dziwacznych objawów, dość już niesmacznych w literaturze, a cóż dopiero na polu malarstwa. W przeszłych salonach co krok spotykaliśmy się ze śmiercią, dziś krew nie tak czerwień płótna, mniej spotykamy gwałtów i morderstw, ale za to choroba rozgościła się w straszny sposób i nie jedną salę zamieniła w prawdziwy szpital. Dla osłobłości pokażmy kilka z tych patologicznych obrazów.

Na ogromnym płótnie, wśród licznej grupy młodych medyków i infirmierów, Gerwex, biegły malarz, przedstawia nam kobietę naturalnej wielkości, z cerą śmiertelnie bladą, widocznie uszpioną chloroformem. W koło rozrzucone narzędzia chirurgiczne: gąbki, bandaże i t. d. Nad głową stoi doktor Pean z narzędziem chirurgicznym w ręku, tłumaczy uczniom, w jaki sposób dokonać ma operacji.

Inny niemniej wielki obraz p. Brouillet, przenosi nas do kliniki w szpitalu Salpêtrière. Doktor Charcot w obec liczego audytorjum czyni doświadczenia z młodą hysteryczką, wyginającą się konwulsyjnie w ręku jednego z asystentów. Osoby wszystkie naturalnej wielkości, wiernie sportretowane; widzimy pomiędzy niemi młodego doktora Babińskiego, szefa kliniki doktora Charcot.

Trzeci obraz przedstawia scenę w chemicznym laboratorium. Przestraszona matka trzyma na ręku pół obnażone dziecko, Pasteur, otoczony pomocnikami, zaszczepia dziecięciu jad rabczyn, antidotum przeciw wścieklicznie.

Na czwartym obrazie pod tytułem „Une suggestion,“ widzimy magnetyzera usypiającego młodą pacjentkę, siedzącą w krześle z oczami na pół zamkniętymi.

Nie koniec na tém; są tu nierównie okropniejsze sceny: jedna ukazuje cholerycznych w mękach konania, druga odbywa się w wielkiej sali szpitalnej. Trzy łóżka stoją rzędem blisko siebie, leżą w nich chorzy naturalnej wielkości, zwrócenie nogami do widzów. Jeden z przewróconemi oczami drzymie snem przedśmiertnym, z którego już się nie obudzi; drugi wyschły, trawiony gorączką, siedzi wspa ty na łokciu, śnać dla kaszlu doleżyć nie może. Szczęściem, że malarz przy głowie trzeciego pomieścił siostrę miłosierdzia, szepejącą mu słowa pociechy; to łagodzi realistyczną stronę ogromnego obrazu.

Ale obok tych smutnych i bolesnych scen spotykamy w salonie inne, tchnące pełnym zdrowiem i tą wewnętrzną pogodą, jaką daje ży-

cie spędzone w pracy, wolne od sztucznych pragnień i gorączkowych niepokojów. Tę dodatnią stronę, istną krynicę żywej wody odkrył mistrz pędzla Juliusz Breton w pośród wieśniaków normandzkich, z którymi przebywa od lat wielu, a których rolnicze zajęcia dostarczają mu coraz nowych pobudek do genialnych obrazów rodzajowych. Dwa tegoroczne, to prawdziwe klejnoty salonu; oba przedstawiają koniec dziennéj pracy: na jednym, przy czerwonym blasku zachodzącego słońca trzy krzepkie normandki kopią kartofle, sypią je w wielkie wory, pomagając sobie nawzajem. Drugi różni się głównie kolorytem: słońce zaszło, miesiąc srebrnym sierpem błysnął na niebie, robotnice odchodzą z pola. Obrazki te nabył jakiś bogacz amerykański za 160,000 franków. Juliusz Breton, szczęśliwszy od mistrza swego, Franciszka Milleta, twórcy szkoły ludowej, w pełni lat doczekał się tryumfów i dostatków. Mimo to nie opuszcza wsi Courriere, żyje tam w kole rodzinnym, z radością i dumą rodzicielską patrzy na córkę, Wirginią Demont, której sława wzrasta z każdym rokiem. Widzimy w salonie dwa jéj obrazy: tańczącą działawę i piekarza przed piecem rozżarzonym, obok żony i trojga małych dzieci. Oba płótna, pełne życia i swobody, wzięte prosto z natury, pokazują wymownie, że nie cała Francya jest szpitalem histeryczek i anemików.

Rozpoczęliśmy od sztuki rodzajowej, gdyż ta w pełnym dziś rozkwicie; na polu malarstwa jest ona tém samém, czém powieść na niwie literatury, z tą różnicą, że kiedy powieściopisarze wydobywają na jaw skandale zagrzebane w salonach i buduarach, malarze uprzykrzyli sobie widocznie buduarowe sceny, a chętniej odtwarzają pędzlem pracę ludzką, pełną barwy i różnorodności, czy to w polu, czy przy warsztacie. I w tym dziale spotykamy zbyt wiele swawolnych wybryków i karczemnych scen, lecz te stanowią mniejszość, większa część pokazuje szlachetną stronę pracy. Uderzył nas tu szczególnie obraz l'Hermitte „Sianożęcie.“ Ileż to poezji, ile prawdy, w tych śmiałych rzutach pędzla, jak doskonałe artysta trzyma się w granicach, jakie sobie zakresił, równie daleki od brutalnego realizmu, jak od ckliwéj sielankowości. Słońce pali żarem południowym, kosarze spoczywają na łące. Na pierwszym planie stary wieśniak naostrza kosę; dalej widzimy krzepką parę w pełnéj sile dojrzałego wieku, przed nimi stoi małe dziewczątko z grabiami. Twarze ich ogorzałe, pot tryska wszystkim z czoła, ale praca zbytecznie ich nie nuży; w postawie starca głębokim spokój, w oku młodych pogoda, w uśmiechu dziecka radość. Trzy pokolenia oddane przewybornie.

W długim szeregu obrazów rodzajowych, rozwija się cały żywot ludu roboczego od kolebki do grobu. Gdzie rzucić okiem pełno dzieciątek przy zabawie, przy książce lub przy pracy. Wiejska działawka swobodna, choć uboga; w wielkiem mieście inaczej. Rozdziera téż serce obrazek Peleza: „Dwa śpiące chłopięta przytulone do siebie.“ Jednego z nich widzieliśmy już w roku zeszłym, skrzepłego w szaréj połatanéj surducinie. Dziś twarzyczka jego bardziej jeszcze zapa-

dła, żółta jak wosk, straciła resztę krasy; połatany kubraczek, co odziewał jednego, służy dwom za pokrycie. Ten sam anemiczny modelik pozował artyście i w tym roku, za rok zobaczymy go może w trumnie, jeśli jakieś dusze miłosierne, poruszone smutnym obrazkiem, nie wyrwą chłopięcia z owego „gniazda nędzy“, bo tak Pelez tytułował swoje dzieło.

Mniej tu jednak spotykamy scen podobnych, aniżeli w dwóch ostatnich latach, bo też i mniej nędzy widzimy na ulicach Paryża. Praca około przyszłej wystawy międzynarodowej daje kęs chleba robotnikom, a nieprzebrane miłosierdzie paryżan objawia się w coraz nowych stowarzyszeniach i zakładach.

Większość obrazów rodzajowych maluje życie ludu z pogodniejszej strony. Fourier pokazuje wesele wiejskie w Normandii, pełne zycia i prawdziwej radości; piękniejszy jeszcze obraz p. Dagriant-Bouveret, stawia nam przed oczy pielgrzymkę pobożnych bretończyków do miejsca świętego; każda postać odmienna, ale każda tchnie głębokiem uczuciem religijnem. Słowem, dział ludowy nadzwyczaj bogaty w tym roku. Szkoła, stworzona przez Milleta, prowadzona dziś świetnie przez Juliusza Bretona, pociąga za sobą szereg młodych malarzy, a upodobanie powszechne w tych prostych scenach dodaje bodźca artystom. Powiedzmy i to, że wielu malarzy szwedzkich, angielskich i amerykańskich, wzbogaciło na wystawie tę tak żywotną gałąź sztuki. I czemuż malarze z Warszawy, z Krakowa i Lwowa tak się kryją z utworami tego rodzaju? Jakaż to różnaitość typów i strojów pomiędzy ludem naszym! Ileżby takie obrazy rozwiązały zagadnień, jak wielkie rzuciłyby światło na porównawczą etnografią ludów europejskich!

Przejdźmy teraz do płócien wielkich rozmiarów, których nie brak w tegorocznym salonie. Przy samym wstępie, ścianę wielkiej sieni zapełnia olbrzymi karton Puviza de Chavannes, zarysowany czarno; wykonany z niego obraz ma ozdobić amfiteatr sorboński. Kompozycja to spokojna, wspaniała, godna przybytku, poświęconego wiedzy ludzkiej we wszystkich jej gałęziach, równie literaturze i historii, jak i filozofii i naukom ścisłym.

Obraz dzieli się na trzy części: w pośrodku na wielkiej bryle marmurowej siedzi usymbolizowana Alma Mater, obok niej dwa geniusze niosą korony i palmy w hołdzie żywym i zmarłym mędrcom. Wymownie opowiada walki i zwycięstwa geniuszu ludzkiego. Po prawej i lewej ręce, ugrupowane na skale postacie wsluchują się w jej słowa; są to symboliczni przedstawiciele różnych rodzajów poczci. Ze skały wytryska krynica żywej wody. Młodość pije z niej chciwie, Sta rość czerpie z niej nowe siły.

Część obrazu na lewo, przeznaczona dla filozofii i historii. Symbolizuje filozofia grupa figur, przedstawiających walkę spirytualizmu z materjalizmem w obec śmierci, podczas gdy pierwszy podnosi w górę oczy i ręce, na znak, że tam szuka jedynie prawdy, drugi trzyma

kwiat, wyraz radości ziemskich. Inna grupa ukazuje historią, badającą przeszłość z wykopanych pomników, które stawia przed nią archeolog.

Część obrazu na prawo poświęcona naukom ścisłym. Jedną grupę składają cztery symboliczne postacie: Botanika, Morze, Mineralogia i Geologia, ukazują bogactwa swoje. Młodzi uczniowie patrzą na te skarby z wyrazem najwyższego zachwytu, inni, skupieni pod posągiem Nauki, przysięgają niezłomną wierność; wreszcie te grupy, harmonijnie rozrzucone na łące, gęsty las zamyka widnokrąg. Łatwo z samego zarysu odgadnąć, jakie wrażenie sprawi ten obraz ukolorowany lekkim pędzlem „mistrza-idealisty.“

Kilku pierwszorzędnym malarzom powierzył rząd ozdobienie przebudowanego gmachu Sorbony. Z tych jeden tylko, Franciszek Flameng, wystawił tryptyk przeznaczony do wielkiej sieni. Obraz środkowy najszerszy z trzech, nosi tytuł „Histoire des Lettres.“ Z góry św. Genowefy oko ogarnia cały Paryż, opasany wieńcem warownych baszt, jakim był w dwunastym wieku. Na pierwszym planie stoi Abellard, odziany w jasno-czerwoną togę, przemawia do uczniów przybyłych tu z całej Francji i dalekiego świata. Obraz na lewo przenosi nas do XIII-go wieku: Robert Sorbon, otrzymuje z rąk Ludwika św. przywilę na fundacyą uniwersytetu. Trzeci obraz po prawej stronie przekazuje pamięci potomnych chwilę z połowy XV-go wieku, tak ważną w dziejach cywilizacyi, kiedy mistrz Sorbony, Heinlia, odbiera z rąk robotnika pierwszą próbę, jaka wyszła z drukarskiej prasy. Rzeczą odbywa się tajemnie w podziemiach Sorbony, świeży bowiem wynalazek uważany był w te czasy za dzieło złego ducha.

Przejdźmy teraz do obrazów ściśle historycznych. W pośród nich panuje niewątpliwie „Joanna“ Matejki, lecz niestety! krytycy tu tejsi, już to przez zazdrość, już przez niedokładne zrozumienie rzeczy, nie chcą tego bynajmniej przyznać. Z pomiędzy licznych krytyk, nacechowanych złą wolą, sam tylko uczony Paweł Mantz poświęcił utworowi temu sumienne sprawozdanie. Z daniem jego, mistrz krakowski pomieścił na płótnie więcej osób, niż ramy objąć mogły, ale obok tego zastrzeżenia, wypowiedzianego w poważny sposób, uznaje wielkie zalety obrazu, przytoczmy tedy jego słowa.

„Malarz polski, mówi on, pod względem pojedynczych części, pozostaje zawsze tym mistrzem, którego wystawialiśmy już wielokrotnie. Jakkolwiek wizya Joanny d'Arc, mniej zrozumiała od poprzednich jego kompozycyi, nie pokazuje przecież technicznego upadku. Kto ma odwagę zanurzyć oko w tę gęstwinę, płomienistą niby krzak gorejący, gdzie krzyżują się rozmaite barwy i formy, dostrzeże tam mnóstwo głów rąk i bławatnych draperyi, oddanych najpotężniejszym i prawdziwie mistrzowskim pędzlem. Wizya Joanny d'Arc, pocięta na części mogłaby uszczęśliwić jakie dwadzieścia Muzeów. Nie idzie zatem abyśmy poddać chcieli obraz pana Matejki pod tak barbażyńską operacyą.“

Dodajmy tu jeszcze, że obraz mistrza naszego otoczony zawsze licznym tłumem. Prawdziwi znawcy badają go z wyteżoną uwagą. Podśluchaliśmy sami rozmowę dwóch miłośników sztuki, którzy siedząc na ławie przed płótnem w ciągu całej godziny nie spuścili go z oka. Jeden z nich utrzymywał, że żaden utwór pędzla ani dłuta, jakich widział tysiące, nie przedstawił mu tak żywo natchnionnej dziewicy, jak ta cudowna postać, wykonana pędzlem obcego mistrza.

Inny obraz historyczny młodego malarza Cormon zwraca tu powszechną uwagę równie ogromem rozmiarów, jak i sympatycznym przedmiotem. Krytycy zarzucają mu wiele niedostatków, ale tłum otacza go, pożera oczami. „Tak to i u nas dawniej bywało!” szepczą starsi, „tak będzie kiedyś,” powtarzają młodzi z otuchą. Obraz przedstawia zwycięzców Salaminy, wracających tryumfalnie do Aten. Lud wyległ na spotkanie, wpadł pomiędzy żołnierzy, ścisła ich z uniesieniem. Kobiety i dzieci biegną naprzód, pilno im, pragną pierwsze oznajmić w Atenach wieść szczęśliwą! Żar tryska z oczu, uśmiech na wszystkich ustach, duma na każdym czole. Jedni ukazują drugim szczątki floty Kserksesa, rozrzucone po morzu. Po nad tłumem góruje Temistokles, obie ręce podniósł w górę, dziękuje bogom za zwycięstwo.

Krytycy zarzucają, że to nie greckie typy. Zgoda na to, ale wyraz ich pełen zachwytu, upojony szałem, ten należy do wszystkich czasów. Malarz oddał go doskonale, serce nam bije, gdy patrzymy na ten obraz. Wszystko tu tchnie pogodą, niebo takie błękitne, szafir morza tak przezroczysty, słońce tak cudnie złoci nadbrzeżne skały. Dziwimy się, że dziś, w czasach odrętwienia i chorobliwego pesymizmu, młody artysta umiał tak gorąco odczuć radość ateńczyków po tryumfach Salaminy! Wielka to była radość, wielki tryumf, skoro z nich, jakby z żywego źródła, wypłynęła wiekopomna chwała Hellady i pomimo zastrzeżeń krytyki, Cormon otrzymał medal honorowy, najwyższą nagrodę konkursową.

Inny całkiem przedmiot historyczny obrał młody malarz Rochegrosse pod tyt. „La Curée,” gdzie z wielką potęgą talentu oddał śmierć Juliusza Cezara na Forum. Garść spiskowych, ze sztyletami w ręku niby smycz ogarów wypuszczona za zwierzem, rzuca się na ofiarę starzaną we krwi, dyszącą jeszcze u stóp Pompejuszowego posągu. Wściekły gniew bucha wszystkim przez oczy, każdy pragnie przyłożyć rękę do mord. Krwawy dramat spełnia się w blasku południowego słońca, plamy krwi jaskrawo odbijają na białych płytach marmurowych i na białych togach patrycjuszów. Artysta ma dopiero lat dwadzieścia dwa, poraz czwarty wystawia już w salonie. Upodobał sobie temata pełne grozy, odtwarza je z wielką siłą i oryginalnością.

Zwrot do przedmiotów historycznych widoczny w tegorocznym salonie, a co ważniejsza: artyści traktują rzecz z powagą, opierając się na archeologii nie zaś w sposób anegdotyczny, jak to bywało w ostatnich latach. Oprócz Joanny d'Arc Matejki, widzimy tę bohaterkę Francji na trzech innych obrazach. Luks odmalował pasterkę, jak

o świcie kłęczy pod krzyżem, słucha dzwonu na Anioł Pański i w mgłę poranną spostrzega cudowne zjawisko, powołujące ją do walki. Scherer ukazuje tryumfatorkę po zwycięstwie u bram oswobodzonego Orleanu. Aman Jean oddał ją archaicznym stylem wieku XV-go, okuta w ciężki pancerz, na koniu równie uzbrojonym.

Cabanel przedstawił Kleopatę. Strojna z całym przepychem wschodnim, spoczywa na złotolitych węzłowiach. Oblicze jej na pozór spokojne, ale w czarnem oku tli gniew, na czole wzbiera chmura. U stóp jej leży pantera z polyskującą żrenicą. Pyszna królowa otrzymała wieść o kłęscę pod Akcyum; potęga jej runęła, wie o tém, pragnie umrzeć, ale śmiercią o ile można najłżejszą. Na rozkaz jej rozwarto lochy, przyprowadzono więźniów, każdemu inną zadano truciznę. Jeden z nich leży martwy, drugi kona, trzeci tarza się konwulsyjnie przed oczyma królowej. Scena ta wzięta z Plutarcha—oddana po mistrzowski.

W obrazach religijnych daje się czuć wielkie ubóstwo. Jedni widzą w tém upadek ducha i oziębienie wiary, inni składają winę na rząd, nie myślący bynajmniej o zdobieniu kościołów, jak to było w czasach cesarstwa, inni znów utrzymują, że w dzisiejszej dobie przełomu, przy ogólnym popędzie do szukania oryginalności, malarze nie skupili się jeszcze i sami nie wiedzą w jaką formę przyoblec swe pomysły; czekają aż przyjdzie natchnienie.

Ale są też realisci, wstrętnei wszelkim tradycyom, którzy z umysłu ściągają ku ziemi najświętsze postacie, aby je ukazać tłumom odarte z auroeoli uświęconej wiekami. W ten sposób odtworzył „Wieczerzę Pańską“ niemiecki malarz Uhde: Cieśla ucztuje z prostymi rybakami, obraz to rodzajowy i nic więcej.

Z większem poszanowaniem Clairin wykonał apoteozę Wiktora Hugo. Na tle nocy letniej rysują się mury bramy tryumfalnej, we wnętrzu jej widać trumnę, wśród udrapowanych całunów. Kouno gwardya z pochodniami w rękę trzyma straż w koło bramy. Z po nad trumny wybiega w górę nieśmiertelność, w postaci niewieściej. Ta nieśmiertelność powiewna aż do zbytku: przedmiotem jest ogólnych żartów, służyła już jak mówią dla Thiersa i Gambety; bez potrzeby podniósł ją Clairin i zesześcił nią obraz.

Co chwila wpada nam w oczy jakaś bitwa ujęta w wielkie ramy. Kilkadziesiąt obrazów tego rodzaju obstałował rząd, dla ozdoby sal honorowych po koszarach. Pomysł ten wyszedł od b. ministra wojny Boulangera, rycerskiego jak wiadomo animusza. Każdy pułk ma swoje tradycyę, ten okrył się sławą pod Hoheulinden, tamten pod Maren-go za pierwszego cesarstwa, późniejsze pokolenie zbierało wawrzyny w Afryce w zapasach z Abdel-Kaderem, następne znów na polach Magento i Solferina, pod murami Sebastopola. Wspomnienia tych tryumfów widzimy na dziesięciu obrazach, wystawionych w salonie, z kąd przejdą na ściany sal wojskowych.

Jak zwykle tak i w tym roku portrety błyszczą na wystawie.

Ten dział sztuki podniesiony dziś do wysokiego arcyzmu. Juliusz Lefebure na wielkiem płótnie odmalował śliczną parkę: chłopczyka z młodszą od siebie siostrzyczką, Cabanel portret mężczyzny, Bongueureau piękny portret panny Krosnowskiej, Bonat przepyszny portret Aleksandra Dumasa. Na wielu płótnach spotykamy rysy koryfeuszów dzisiejszych: siwego jak gołąb Chevreula, którego stuletni jubileusz, niedawno obchodzono, buńczuczno go jenerała Boulanger'a, ulubieńca gawiedzi paryskiej, to pieszko, to konno, to w całkowitej, to w potowicznej postaci.

Odnaczyć się w Paryżu wśród portrecistów, rzecz to wcale nie łatwa, a jednak dokonała tego utalentowana artystka nasza panna Anna Bilińska; wystawiła własny swój portret, który od razu zyskał powszechne uznanie. Znakomity to w rzeczy samej utwór, wykonany śmiałym i pewnym siebie pędzlem, pełen prostoty, wolny od sztucznych efektów, przemawiający prawdą i siłą życia. Artystka w skromnej sukience czarnej, przepasana szarym fartuszkim, z pędzlami w jednej ręce, w drugiej z paletą, nałożoną farbami, ściąga powszechną uwagę. Wartość obrazu sprawiła, że go pomieszczono nisko, à la cimaise, jak tu nazywają pierwszy rząd honorowy, a co więcej znaczy, sąd przyznał malarce złoty medal.

Panna Bilińska najślusniejszemu odniosła tryumf. Natychmiast po zapadłym wyroku, jeden z sędziów Juliusz Lefebure zawiadomił ją telegramem. Nazajutrz, gdy pisma ogłosiły nazwiska laureatów, towarzysze pędzla zasypali ją bukietami i nadesłali mnóstwo kart wizytowych i listów z powinszowaniem. Pięknie to świadczy o koleżeństwie istniejącem tu pomiędzy artystami. Nieznajomi nawet dawali dowody współczucia. Mamy przed sobą trzydzieści sześć dzienników, między nimi trzy angielskie z zaszczytnym wymienieniem pracy panny Bilińskiej. Wszyscy sprawozdawcy podnoszą w niej oryginalność, męską siłę pędzla, śmiałość, poczucie prawdy, harmonię tonów, smak wytrwały, potęgę życia i niezwykłą prostotę, wszyscy wróżą artystce najświetniejszą przyszłość. Pierwszy z krytyków dzisiejszych, Paweł Mantz, wystawia dzielny pędzel młodej polki, zachęca ją, aby zachowała na dal tę szczerłość i swobodę w sztuce, jakiej dała dowody. Towarzyszki pędzla i dłuta, podziękowały pannie Bilińskiej w imieniu kobiet, oddających się pracy artystycznej, my dziękujemy jej w imię narodu, któremu przyniosła zaszczyt, zniewalając sobie uznanie cudzoziemców.

Czternastu zaledwie malarzy polskich znajdujemy zapisanych w katalogu. Pan Siemiradzki nie nadesłał nic z Rzymu, panowie Brandt i Kowalski nie przysłali nic z Monachium. Pan Chełmoński, acz przebywający w Paryżu, nie wystąpił też z niczem, mimo że obrazy jego rodzajowe, tryskające życiem, pełne barwy miejscowej, tak słusznie pozyskały tu rozgłos.

Odnaczają się wśród wielu innych dwa piękne portrety pana Axentowicza. Jeden przedstawia młodą kobietę w balowym stroju, drugi dwunastoletnią panienkę, ubraną białą, w całkowitej postaci

z wielkim psem przy boku. Oba portrety wykonane śmiało, pełne życia, świadczą o biegłości pędzla utalentowanego artysty.

Pan Merwart wystawił „Bachantkę,“ spoczywającą w grocie na skórze tygrysięj; wywiązał się z tak trudnego zadania w sposób delikatny i przyzwoity. Karnacya żywa, biust pięknie wymodelowany, oczy tryskają żarem, przez uśmiechnięte usta widać cały rząd białych zębów. Otwór grotu zwieńczony winogradem. Opodal szafir południowego nieba, zlewa się harmonijnie z błękitem fal Egejskich.

Żałujemy bardzo, że wydawcy katalogu, przez dziwną pomyłkę zaliczyli pana Merwarta, do obcej nam całkiem narodowości.

Pan Jan Styka, krakowianin, uczeń Matejki, wystawił wielki obraz treści biblijnej. Na tle wschodniego krajobrazu widzimy zebranych kapłanów izraelskich, to wystąncey Jozyasza do prorokini Huldy. Natchniona niewiasta w odzieży białej, stoi na pierwszym planie, obie ręce podniosła w górę, na obliczu jej przestrach. Patrzy w przyszłość, widzi klęski, sypiące się na Izraelitów, zanurzonych w bałbochwalstwie. Kapłani słyszą złowrogie słowa, rysy ich wyrażają boleść i grozę. Na parę tygodni przed śmiercią ojciec Semenenko zwiadał pracownię pana Styki, obraz ten poruszył go głęboko.

Wśród pejzażystów tutejszych, których sława uznana w świecie, piękne zajął miejsce pan Artur Gąsowski rodem z Warszawy, od lat wielu zamieszkały w Paryżu. Jego „pasterz z Landów,“ wsparty na wielkich szczudłach, otoczony gromadką owiec zaleca się prostotą i pięknym kolorytem.

Pan Adryan Karbowski urodzony w Paryżu, wystawił część dekoracyi przeznaczoną do zamku pana Cahin. Piękny ten, tak zwany paneau decoratif wyobraża jakąś scenę z zeszłego wieku. Na dziedzińcu zamkowym zajeżdża starożytna karetka. Wśród drzew przechadzają się strojone pary: panie w jedwabnych robrouach z piętrząstą fryzurą, panowie upudrowani, strojni w jedwabne fraki. Całość obrazu lekka i harmonijna.

W dziale rysunków odznacza się aqua forta pana Feliksa Jasińskiego, śliczna główka Wiktoryi Colonney, według obrazu Lefebura.

Przejdźmy nakoniec do ogrodu oszklonego, zapełnionego mnóstwem posągów, grup, popiersi z marmuru, bronzu, z gipsu i terrakoty. W dziale rzeźby panuje wspaniały grobowiec biskupa Dupanloup, dłuta słynnego Chapu, zamówiony przez miasto Orlean, dla zasłużonego pasterza. Mistrz w tym roku wystawił część pomnika, całość nie wykończona dotąd. Zmarły, w kapie z infułą leży na sarkofagu. Piękne rysy oblicza mięko wymodelowane, tchną tym głębokim spokojem, jakiego energiczny zapaśnik Chrystusowy nie zaznał w dni żywota. Sarkofag będzie otoczony czterema symbolicznymi figurami, z tych jedna wystawiona w modelu gipsowym uosabia Odwagę. Do tyłu arcydzieł, jakimi Chapu obdarzył kraj, przybędzie jedno z najpiękniejszych. Odpowiednie dla siebie znajdzie miejsce pod łukowem sklepieniem Katedry orleańskiej.

Na co nie mogli w tym roku zdobyć się mistrze pędzla, zdobył się mistrz dłuta Delaplanche; wykonał dzieło oryginalne pomysłem, pełne prostoty i myśli głęboko religijnej. Mówimy tu o kolosalnej figurze N. Panny (Notre Dame de Brebiere), przeznaczonej do kościoła w Albert w północnej Francji. Jak świadczy sama nazwa, N. Panna de Brebiere, szczególną jest patronką pasterzy. Widzimy u stóp Jęj tulące się owieczki; Dzieciątko Jezus trzyma także baranka. W układzie grupy wdzięk, połączony z wielką prostotą.

Przed laty kilku Delaplanche za inny utwór otrzymał medal honorowy. W tym roku zaszczyt ten spotkał p. Fremiet. Grupa jego, wykonana biegtém dntem, ale przedmiot jęj razi oko i budzi niesmak. Olbrzymi goryl porywa młodą kobietę, trzyma ją silnie w strasznych łapach. Człowiek, któremu porwał towarzyszkę, wypuszcza z łuku strzałę. Ugodzony zwierz, wściekły z bólu, nie porzuca zdobyczy, ale pochwycyca kamień, gotów wystąpić do zapasu. Potworny to dramat. Wielki medal, przyznany artyście prawdziwą był niespodzianką równie dla krytyków, jak i dla publiczności, zwiedzającej wystawę.

W tym dziale sztuki wystąpiło dziewięciu artystów naszych, z samemi niemal popiersiami i medalionami. Znany zaszczytnie p. Cypryan Godebski, przez ciąg zimy, spędzonej w Carrara, pracował nad marmurową grupą, zamówioną do Muzeum luksemburskiego. Przedmiotem jęj brutalna siła, deptająca stopami geniusz. Nie znamy tej grupy, której nasz mistrz nie zdążył wykończyć do salonu. Wystawił za to wielkie popiersie Kraszewskiego z terrakoty. Wymodelował je trzy lata temu, kiedy Kraszewski odwiedził poraz ostatni Paryż. Rysy uderzają podobieństwem, wyraz ich nosi piętno głębokiego cierpienia.

Pan Stefan Bogdański wystąpił z piękném popiersiem księżnej Dominikowej Radziwiłłowej, wykonaném z wielką siłą życia i talentu. Panowie Boryczewski, Gujski i Hegel wystawili medaliony; panowie Kasperowicz, Rygier, Wojdyga i panna Certowiczówna, popiersia spiżowe i gipsowe. Oprócz tego p. Rygier nadesłał z Rzymu znakomitą statuetkę Kopernika, odlaną ze spiżu. Złamany wiekiem i chorobą wielki nasz astronom siedzi w krześle z poręczami, oparty na wezgłowi, odziany w długą do ziemi opończę. Z pod okrągłej czapki wybiegają bujne włosy, przyszyżone nad czołem, po bokach spadające na szyję. Wyraz oblicza pełen głębokiego spokoju w obec niechybnej śmierci. Głowę pochylił, gasnące oczy wlepił w wielką księgę, którą podtrzymuje wychudłemi rękami. Wiadomo, że pierwszy egzemplarz księgi o obrotach ciał niebieskich, otrzymał Kopernik na chwilę za ledwie przed skonem. Dzieło pana Rygiera powszechną zwróciło tu uwagę.

Stynny poeta angielski Tennyson wydał nowy zbiór poezyi, przez który wywołał oburzenie w ziomkach i zażartą obudził polemikę. Go-

rażący nigdy przewodnik szkoły romantycznej, dziś, u schyłku dni występuje w charakterze wystygłego pessimisty, patrzy na świat rozczarowanem okiem, w około widzi tylko ruinę, słowem: rzeka się wszelkich ideałów.

Czterdzieści cztery lat temu Tennyson wyśpiewał poemat pod tytułem „Locksley-Hall.“ Był to gwałtowny wybuch gniewu młodzieńca na kobietę, którą ukochał, gdy ta pogardziła jego miłością a oddała rękę milionowemu lordowi; była to klątwa rzucona w brew społeczeństwu, które upoważniło związki tak sprzeczne z moralną zasadą, oparte wyłącznie na rachubie. Ale w tych szalonych uniesieniach czuć było niezłomną wiarę w lepszą przyszłość, w rychłą zmianę pojęć i stosunków, w niechybny postęp, który zburzy i obali nie jedno, a odbuduje wrzęb gmachu społecznego na nowych i mocnych podwalinach.

Poemat Locksley-Hall napisany był wytwornym i harmonijnym wierszem. Cała Anglia czytała go z uniesieniem, umiała go na pamięć. Generacya, pełna wiary i otuchy, znalazła w nim wyrażone w cudnej formie własne uczucia i dążności.

Czterdzieści lat z górą ubiegło od téj chwili, dwa pokolenia nastąpiły po sobie. Włos poety posiwiął, w mniemaniu jego Anglia także się zestarzała, doświadczenie zmroziło jej wiarę w tryumfalny pochód ludzkości—i owóz Tennyson, dostojny lord Tennyson, zapragnął rozproszyć w niwecz opiewane dotąd utudy! W nowym tomie wydanych dzieł utworów, zamieścił poemat pod tytułem „Locksley-Hall“ w sześćdziesiąt lat później.“ Zawiedziony nigdy, zagniewany na świat kochanek, ma dziś lat osmdziesiąt. Ta, którą ukochał umarła, umarł też jej małżonek,—przebacza im doznany zawód, żałuje dawnych uniesień i zbyt ostrych pocisków, jakie rzucał nigdy na szczęśliwego współzawodnika, przyznaje nawet, że był dość dobrym mężem.

Dawny entuzysta dziś posiwiął starzec, nie opuścił Locksley-Hallu; przez lat sześćdziesiąt spełniał wytrwale codzienne obowiązki, szukał w tém lekarstwa na rozpacz, szukał ochrony przed burzami, czy to praktycznego, czy abstrakcyjnego żywota. Przez lat sześćdziesiąt pomaga wytrwale bliźniemu, służy ubogiemu ludowi, stawia szkoły, osusza bagniska; ale „w miarę jak słońce chyli się do zachodu, chmurki gromadzące się w okół, przyjmują właściwy sobie koloryt od oka, które długo trzymało straż nad życiem.“

Wystygły starzec nie rzuca już wbrew społeczeństwu szalonych skarg ani gorzkich wyrzutów, ale z głęboką boleścią rozmyśla nad obecnym stanem rzeczy. Zdaniem jego, zdobyta wiedza i cały postęp, jakim się ludzie przechwalają, nie zdołały wydobyć nas z grubej ciemnoty, z zastarzałych błędów, z moralnego i fizycznego upadku. „Świat okrąży wielkie koło i częstokroć cofa się wstecz o wiele kroków, słowem jeśli Opatrzność nie wmiecha się w tę sprawę, azaliż te wszystkie ulepszenia uczynią pomyślniejszym los człowieka? azaliż podniosą jego istotną wartość?“

Pessimistyczny ten zwrot słynnego idealisty angielskiego smutne sprawił wrażenie na umysłach współczesników. Krytyka uderzyła nie tylko na pomysł, ale nawet na formę poematu, zarzuciła mu brak życia i kolorytu, słowem odarła z wszelkich zalet. Publiczność w ślad za krytyką surowo potępiła utwór. Aż oto wśród wrzawy powszechnej zabrzmiał poważny głos Gladstonea. W przeglądzie „Nineteenth-Century,” były minister wydrukował obszerną rozprawę. Utrzymuje on, że poemat jest czysto subiektywnym, że Tennyson przez usta fikcyjnego pessimisty, wypowiada uczucia i myśli swoje własne, nie zaś wstrząsające umysłami współczesnych. Temu to pesymiście odpowiada Gladstone na zarzuty, krzywdzące epokę dzisiejszą: rehabilituje ostatnie pięćdziesięciolecie, pokazuje cały szereg pożytecznych reform, dokonanych pod berłem królowej Wiktoryi. Powtarzamy w treści tę ciekawą rozprawę.

„Pierwsze trzy dziesiątki naszego stulecia, mówi krytyk, dalekie były od normalnego stauu; cierpiąły jeszcze równie pod względem moralnym jak politycznym, od wstrząśnień, spowodowanych rewolucją francuską, i od sposobów użytych na jej zwalczenie. Ta epoka obdarza nas chwałą wojenną i żywymi zgłoski wypisuje się w literaturze naszej. W sztukach pięknych, mimo chwilowego zmierzchu, słońce jednak oświeca nasz widnokrąg. Ale rachunek pro contra, wielkie też pokazuje niedostatki. Zgubny wpływ protekcyjnizmu doprowadza przemysł do ostatniego poniżenia. Ztąd deficyt publiczny, zniżający o czwartą część każdą prywatną własność. Nie dosyć na tém: prawo zbożowe, corn-law, zaciężyło nad ludem, prawo biednych, poor-law, upokorzyło go moralnie. Co do Irlandyi, parlament odmawiał przez całą generację spełnienia obietnic rzymsko-katolickiej emancypacji. Podcięto skrzydła tradycyjnej swobodzie ludu. Naród znienawidził też prawa i płomieniami pożarów mścił się za swoje krzywdy. Pod koniec tego trzydziestoletniego peryodu, pojawiły się niejaki aspiracye ku dobremu: zawdzięczamy je głównie prześladowanej mniejszości, przeciw której walczono z dziką niemal zaciętością.

Po roku 1830, dobro poczęło przeważać widocznie na szali, mówi Gladstone, a odpowiadając na zarzuty pessimisty z Locksley-Hall, porównywa stan dzisiejszy z tym, jaki istniał przed pół wiekiem. Weźmy na przykład uliczne dziecko, jak je mamy opisane w poemacie: na takie jedno było ich co najmniej dziesięcioro przed pięćdziesięciu laty. Wiele z tych dzieci uczy się dzisiaj w szkole. Weźmy te setki upadłych moralnie kobiet, zagrzężyłych w ohydnuém bagnisku: jeżeli wówczas jedna z nich, tknięta wyrzutem, szukała schronienia dla biednej głowy, znajdowała je tylko pod skrzydłem płatnych instytucyi; otrzymywała pomoc, lecz nie taką jak dzisiejsza, połączone z pełnym współczuciem milczeniem i serdeczną troskliwością. W tej połowie stulecia księga ludności nową zdobyła kartę; wiara i miłość postąpiły o krok dalej na polu miłosierdzia. Wśród kobiet, znalazły się tak

wielkie, że nie wzgardziły polowaniem na dusze ludzkie. Zapłata robotników, jakkolwiek dziś jeszcze nazbyt szczupła, wyższa jednak niż była dawniej. Jeśli poddasza i lochy, przepełnione nędzaczami, rozsiewają i dziś trujący miazmat, o ileż to—zabiegi publiczne i prywatne ofiary—umniejszą tę plagę, obdarzając miasta zdrowemi mieszkaniami. Działalność każdej parafii, w niesieniu pomocy i błogosławieństwa nieszczęśliwym, tak bardzo się rozszerza, że to, co było dawniej wyjątkiem, dziś stało się regułą!

„Dwadzieścia lat temu, ciągnie krytyk, pod koniec zasłużonego żywota, lord Russel wyrzekł znaczące wyrazy: „Odpocznijmy, a bądźmy wdzięczni!” I dobrze on zasłużył na ten wypoczynek. Ale naród nie spoczął! jako naród pracował wytrwalej niż poprzednio! Prawda, że naród ten ma dziś większą liczbę próżnujących i leniwych ludzi niż pięćdziesiąt lat temu. Niechajże sami obliczą się i powiedzą, jaki był cel ich bytu i jakie zadanie Stwórcy kazał im spełnić na tej wiecznie ruszającej się planecie.”

Lecz odrzuciwszy ich jako mniejszość od sumy ogólnej, uznać musimy, że naród pracuje ciężko, że wynalazł perpetuum mobile, zbudował bowiem potężne państwo i aby je utrzymać, musi wytrwać w swój działalności, jak Syzyf przy swym kamieniu, jak Iksyon na swoim kole!

Przechodzi potem minister na pole prawodawstwa, odpowiada faktami na skargi pesymisty: „Niewolnictwo zostało zniesione, kodeks kryminalny całkiem zreformowany. Prawo, dotyczące układów i kontraktów, które nie pozwalało roboczej ludności żądać wyższej zapłaty za pracę, zostało zupełnie odrzucone. Utrata życia, lub kalectwo w skutek wypadków fabrycznych nie pociągały dawniej do odpowiedzialności, nawet gdy przyczyna ich leżała w niedbalstwie urzędników; dziś życie i zdrowie zagwarantowane prawem a śmierć ofiar, nagrodzona pieniężnym zasiłkiem rodzinie. Dzięki lordowi Shaftesbury, skandale w kopalniach i fabrykach ustały, lub przynajmniej znacznie się zmniejszyły. Mieszkańcy wybrzeży morskich, nie zmuszeni dziś trudnić się kontrabandą jak dawniej, gdy prawo fiskalne doprowadzało ludzi do szału. Lud posiada dziś dobre szkoły w najbliższym obrębie, z obowiązkiem korzystania z nich i łożenia kosztów na ich utrzymanie.

„W kraju, gdzie uczucia rodzinne tak rozwinięte, lud nie pozbawiony dziś wieści od dalekich krewnych przez wysoką taryfę pocztową, jaka dawniej ciążyła na masach, podczas gdy książęta i uprzywilejowane klasy, wolne były od wszelkiej opłaty. Co się zaś tyczy komunikacji, Anglia może posłużyć za wzór światu. Informacje za pomocą prasy, niegdyś do bajecznych cen dochodzące, stały się dziś dostępne wszystkim. Interesa klas biednych zabezpieczone dziś przez wotowanie, a dzięki tajemnicy, w jakiej się odbywa, nikt nie narażony na zemstę. Wstęp do parlamentu przez wrota otwarte ułatwiony dziś skutkiem zniesienia praw własności, jako warunku głosowania.

Słowem, ostatnie pół wieku ten przyniosło rezultat, że ludzie pracują mniej godzin, że za tę mniejszą ilość czasu otrzymują wyższą zapłatę, a za pieniądź zapracowany kupują po cenie niższej każdy przedmiot, prócz tytoniu i wódki."

Przebiega kolejno Gladstone ważne reformy, zaprowadzone na każdym polu, równie w administracji jak marynarce, w wojsku, w zarządzie dalekich kolonii, w stosunkach z Irlandyą. W tym ostatnim względzie — na krótkich ogranicza się słowach, aby uniknąć sporów, przypomina tylko, że dopiero od roku 1829, a głównie w ostatnich latach bieżącej epoki, sprawiedliwość zaczęła mężnie walczyć przeciw niesprawiedliwości w zarządzie Irlandyą.

„Jeżeli, ciągnie dalej, spojrzymy na to, co się dzieje po za obrębem wyspy naszój i na udział Anglii w sprawach zamorskich, widok to pod wielu względami bardzo pocieszający. Z szacunkiem mówić będę o Wschodnio-Indyjskiej kompanii, z uwielbieniem o mężach stanu, wychowanych pod jój opiekuńczym cieniem. Zmiana w zarządzie tych obszernych posiadłości w r. 1858, nie odbyła się bez stron ujemnych, ale w każdym razie, dzięki tój reformie, promień światła padł na kraj zanurzony w pomroku. Kompania posiada zalety i wady instytucyi konserwatywnej. Nowe uczucia i nowe metody zastosowane do tubylców, należą do tych, jakimi ludzkość poszczycić się może. Zawdzięczamy je narodowi i reformom prawodawczym. Zasługa to nie mała, lubo wiele jeszcze pozostaje do czynienia. Postęp objawia się jako procent od długu, którego kredytorami 250,000,000 istot ludzkich a naszych bliźnich."

Przechodzi wreszcie Gladstone do spraw zewnętrznych, rzuca okiem na obce społeczeństwa. Ta pół wiekowa epoka, rzeczce, była także wielką epoką dla Europy. Traktat wiedeński dał popęd reakcyi, zdeptał wszelkie narodowe aspiracye. Gieniusz Kaninga innemi szybował szlakami. Usiłowania jego w Portugalii i Grecyi rozłity nową jutrznię na widnokręgu i podnieciły energiczną działalność lorda Palmerstona. Narody cierpiały w niektórych miejscach i dotąd cierpią jeszcze. Lecz jeśli porównamy tę epokę z innymi okresami historyi, słusnie nazwiemy ją wiekiem o wiele pomyślniejszym. Belgia zdobyła byt samodzielny; Niemcy złane dziś w jedną całość; Portugalia i Hiszpania ciąglą otrzymują pomoc w walkach i dążeniach ku wolności. Włochy wskrzeszone, Węgry korzystają z dawnych praw historycznych. Grecya rozszerzyła się ku wyspom Jońskim i Tessalii. Pod rządem tureckim dziesięć milionów chrześcian z historycznym niegdyś imieniem, odzyskuje kolejno to niepodległość, to postęp, to nadzieję. Oto fakta, o których uroczyste powiemy: „Echo ich rozbrzmiało po wszystkich krajach, głos ich daje się słyszeć aż na krańcach ziemi!"

„Jeżeli to wszystko zarówno dobrém, jak niewątpliwie jest wielkiém, lub jeżeli będąc wielkiém, ma w sobie jakąś cząstkę dobra, z prawdziwą pociechą zaznaczyć powinniśmy, że wszędzie i to w każdej z tych reform, widzimy wpływ Anglii; że w nie jednym z tych

wypadków dzisiejszych, Anglia główną odgrywała rolę; a jeżeli w jednym zabrzmiał fałszywy dysonans, to dla tego, że naród okłamanym został. Pożar wojenny nie zagask: zbyt często hasło trąb bojowych słyszyć się jeszcze daje; a doszło do tego, że same pogłoski o wojnie drażnią zarówno jak niegdyś rzeczywistość. Ale głównie słowem jak i czynem, naród nasz objawia pragnienie lepszego stanu rzeczy!"

Mimochodem potrąca minister o olbrzymi rozwój przemysłu, o wzrost bogactwa powszechnego. Oznacza cyfry, chlubnie świadczące o stanie moralnym kraju. W roku 1870 królestwo W. Brytanii, na ludność 31,700,000, wykazało 13,000 zbrodniarzy; w roku 1884 na 36,000,000, wykazało ich 14,000, to jest jeden na 2,500. „A ponieważ, dodaje, niektórzy uważają Irlandyą, jakoby rodzaj pandemium, nie od rzeczy wspomnieć, że ludność tamtejsza, wynosząca 7,000,000, w roku 1884 liczyła tylko 1573 zbrodniarzy, czyli jednego na 3000!"

Ramy nasze nie pozwalają nam objąć w całości szerokiego obrazu, jaki były minister roztacza przed oczyma narodu swego, dając poznać wszechstronny postęp, dokonany w ciągu lat pięćdziesięciu, w brew zatrwającą wróżbom pessimisty z Locksley-Hall¹⁾. W końcu nakreśla zarys ruchu społecznego i pokazuje w nim nowy zwrot, który świadczy o normalnym rozwoju cywilizacji. Powtarzamy ten pocieszający zarys.

„Rzecz godna uwagi, mówi autor, że owe sporty, organizowane dawniej na olbrzymią skalę, i niemal tchuące okrucieństwem, dziś już prawie znikły z widowni i przestały nosić cechę zabawy narodowej. Tam, gdzie zachowały się dotąd, przedstawiają obraz rzeczywistych ulepszeń. Boksowanie i fechtunek, którym niegdyś trudno było zakreślić granicy między siłą męską a często brutalną, których uroczyste popisy przepełniały dawniej najpoważniejsze czasopisma, dziś w bardzo skromnej formie, ledwie tu i owdzie zapełniają kolumnę jedną w dzienniku. A przecież w sposób mniej męczący i racjonalniejszy, naród cały, większy dziś kładzie nacisk na ćwiczenia fizyczne: gimnastyka wchodzi w program wychowania szkolnego. Dzięki pomyslniejszym warunkom życia i wyrabiającemu się uczuciu godności własnej (self-respect), żebractwo prawie zupełnie znikło, i pojawia się tylko w chwilach wyjątkowych katastrof. Jeżeli wyrobniczy tak zawzięcie walczą o zapłatę, czynią to w wielkiej części, by utrzymać wszystkich członków swego olbrzymiego stowarzyszenia w niezależności od instytucji dobroczynnych. Okazali oni siłę moralną, posuniętą aż do ofiary w sprawie opodatkowania trunków. W okręgach więcej

¹⁾ Bystre spostrzeżenia doktrynera politycznego, nacechowane w wielu szczegółach jednostronną tendencyjnością, odwracające świadomie oczy od brutalnych czynów jawnego gwałtu na polu prawa narodów, wymagałyby wszechstronniejszego zbadania istoty tego postępu. Red.

postępowych wzmocnili solidarną działalność swoją wspomaganiem tych, którzy potrzebują pomocy.

„W wyższych sferach niemniej widoczny postęp. Pojedynki całkiem prawie wyszły ze zwyczaju. Znikły też skandale publiczne. Młodzież z wysokich warstw społecznych, dawniej zaurzona w tradycyjnym próżniactwie, zabrała się do pracy poważnej. Odkrywanie przed światem ran, toczących nasze społeczeństwo, wydało zbawienne owoce, podniosło stan moralny. Wzrastająca liczba instytucji dobroczynnych, pokazuje wymownie, że uprzywilejowane warstwy, zdobyły poczucie obowiązku, jaki nakłada bogactwo, siła i wiedza względem ubóstwa, słabości i ciemnoty. Sumienie publiczne stało się wrażliwszym i tkliwszym na niedolę bliźniego; słowem powiedzieć możemy śmiało o pokoleniach ostatnich lat pięćdziesięciu, że zbierały obfite żniwo, a nie zmarnowały go, że walczyły a nie gnuśniały niedołężnie.

„Ale niezapominajmy, dodaje autor, że każdy medal ma stronę odwrotną: w sferze państwowej, to półstulecie pracowało nad wysołobdzeniem jednostki; w najlepszych jednak reformach tkwi zaród niebezpieczeństwa; prawo wywalczone dla jednych, nie powinno stać się bezprawiem względem przedstawicieli dawnych instytucji, ani też zniwelowanie społeczne nie powinno odbierać czci ku temu, co z przeszłości musi pozostać zawsze świętym.

„Szczujmy dawne zwyczaje i tradycje! pamiętajmy, że w dniu, w którymby duch rycerski miał zagasnąć zupełnie w społeczeństwie, musiałoby skonać to wszystko, co w społeczeństwie nazwać możemy pięknym i podniosłym. Umiarkowanie w postępie, najlepszą jest drogą do prawdziwego postępu.”

Zakończa rozprawę Gladstone, krytycznym poglądem na pesymistyczny poemat: „Chcąc go osądzić sprawiedliwie, mówi on, nie należy szukać w nim wiernego obrazu dzisiejszego społeczeństwa, ale widzieć raczej subiektywną ocenę, świadczącą o rozczarowaniu podszłego i zgryźliwego autora. Co do mnie, dopatruję wielką harmonią indywidualną, pomiędzy dwoma utworami, które dzieli przeciąg lat sześćdziesięciu. Pierwszy obraz w kolorycie jaśniejszym i gorętszym, wypłynął z pod pióra młodzieńczego; drugi zaś chłodniejszy, surowszy z pod pióra człowieka zniechęconego życiem. Oba utwory są czysto subiektywne, nie biorą nic ze świata zewnętrznego. Wszakże oko ludzkie z wrażeń osobistych daje nazwę kolorom, bez względu na to, jaki odcień te kolory mają w rzeczywistości. Jeżeli z tego stanowiska patrzyć będziemy na oba subiektywne utwory, nie opadną nam ręce w obć smutnego poematu, nie ostrygnie wiara nasza w postęp, ani w żywotność wiecznotrwałą naszej starćj a zarazem wiecznie młodćj Anglii. Sprawiedliwość nie pozwala, aby tak tragiczne barwy, miały omroczyć pięćdziesięcioletni jubileusz królówćj naszej.”

Pod tytułem „Mémoires du Prince Adam Czartoryski“ wyszły z druku w pierwszych dniach maja pamiętniki księcia w dwóch dość

obszernych tomach. Pamiętniki te zaczynają się od roku 1776. W pierwszych rozdziałach autor sięga pamięcią w dawno ubiegłe lata dzieciństwa i młodości. Widzimy go kilkoletnim chłopięciem, jak biega po trawnikach, tak wesołych podówczas a dziś tak smutnych Powązek, zamienionych w żałobną nekropolią.

Ani przepyszne Puławy z czarodziejskim ogrodem, ani starożytne rezydencye, rozrzucone po Haliczu, Podolu i innych stronach Polski, nie odbiły się w pamięci księcia tak wdzięcznymi rysami jak ta cicha wioska pod Warszawą. Zobaczmy jak wspomina to miejsce.

„Kiedy zapytam sam siebie, która była najszczęśliwsza epoka w życiu mojem, chwile spędzone w Powązkach, najpiękniej przedstawiają się w mej pamięci. Wieś ta była jakoby zieloną oazą, otoczoną morzem piasku. Każde z nas dzieci miało tu swoją chatkę i ogródek. W pośrodku na niejakiem podniesieniu, matka moja zajmowała większy dom w lasku po nad stawem, z którego wody spływały do małej rzeczutki i ożywiały plantacye.

Dla ozdobienia posiadłości swojej matka urządziła ruiny, słowem nic tu nie brakło. Była na stawie wysepka, na rzeczulce młynek, na wysepce grota i stajnia w kształcie starożytnego amfiteatru; i wielkie podwórze, pełne niezliczonych kur i gołębi: karmiliśmy je wszyscy.

Nie wiele tu bywało obcych gości, ale żyjąc pomiędzy sobą — matka nasza dla dzieci, my dla matki — urządzaliśmy jednak zabawne widowiska. Była to bezustanna idylla, żywy obraz poezyi sielskiej.

Każda chatka kolonii powązkowskiej nosiła osobne godła. Moja siostra Marysia miała ziębę z napisem wesołość. Mnie dano gałązkę dębową, a przy niej napis wytrwałość. Nad domem matki naszój była kura z kurczętami, na chatce siostry Teresy koszyk pełen róż białych z napisem dobroć. Na chatce rządcy pana Wojskiego, pszczoły i wyraz czynność. Panny Narbutówny miały także chatki swoje w Powązkach. Moja matka urządziła to wszystko.

Wstawaliśmy wcześniej. Na śniadanie schodziliśmy się do matki naszój, a niekiedy do pani Wojskiej która częstowała nas wyborną kawą. Potem wszyscy pracowaliśmy w ogródkach. W godzinie obiadowej przyjeżdżał z Warszawy służący Marcin, przyprowadzał osiołka obładowanego dwoma koszami: przyjmowaliśmy to bydłatko z radością, wyglądaliśmy go niecierpliwie. Co dzień zastawiano stół w innym miejscu. Dzwonek chiński powoływał na obiad.

Co niedziela słuchaliśmy Mszy św. w Wawrzyszewie, jedni jeździli na osiołkach, drudzy szli piechotą.“

Po takich to uciechach letnich odbył się zimą najsmutniejszy dramat i na długo okrył żałobą dom książęcy. Przy ogniu kominkowym spłonęła pełna wdzięków księżniczka Teresa, druga z rzędu siostra małego Adama, której śmierć wycisnęła z jego oczu pierwsze łzy prawdziwej boleści.

Przebiega potem książę lata, poświęcone w pałacach mozolnej

pracy, kiedy z młodszym bratem, oddany pod czujny dozór pułkownika Ciesielskiego, bada dzieje narodu z tym światłym przewodnikiem; od Szwajcara Lhuillier uczy się matematyki i historii powszechnej, od Grodka helenizmu, od Książnina literatury polskiej i łaciny, od Francuza ćwiczeń szermierskich. Poważne te prace przerywały latem dalekie lub bliższe wycieczki, to z ojcem na Wołyn i Podole, ogromną karawaną, złożoną z kilkuset koni a nawet i wielbłądów, to z matką do jej ciotki hetmanowej Ogińskiej, której dwór w Siedlcach, przyświecał nowożytnym blaskiem i staropolską gościnnością. Tu jedna z dworskich panienek, urzekła siedemnastoletniego młodziana i pierwsze westchnienie dobyte z młodziuchnej jego piersi.

Na tym miłosnym epizodzie, kończą się ciekawe wspomnienia z lat młodych. Następuje po nich ośmioletnia przerwa aż do chwili, kiedy dwudziestopięcioletni książę Adam, prądem ówczesnych wypadków pchnięty do Petersburga, rozpoczyna drugą seryą pamiętników noszącą przeważnie charakter polityczny. Dociągnął je książę do roku 1805; dyktował je w późnej starości. Drugi tom dzieła obejmuje listy pisane do cesarza Aleksandra.

W zeszłej kronice naszej przytoczyliśmy parę listów Rossiniego, pełnych głębokiej miłości dla żony i starych rodziców. Dodajemy dziś krótkie wspomnienie, nakreślone o nim przyjacielską ręką pana Michotte, w chwili kiedy przeniesienie zwłok mistrza z Paryża do florenckiego przybytku Santa Croce, przypomniato go światu.

Rossini nie lubił mówić o sobie, wpadał w gniew, ilekroć niedyskretni dziennikarze, powtarzali a nieraz przekształcali jego wyrazy. Milczał też uparczywie, czasami jednak, przechadzając się sam na sam z przyjacielem, otwierał mu serce do głębi. Jedno z takich poufnych zwierzeń, żywo charakteryzujące mistrza, spisał i ogłosił p. Michotte. Słowa długo tłumione, płynęły z ust Rossiniego niby wezbrany potok, jedna myśl potraçała drugą. Pobudkę do tego dała mu niespodziewana okoliczność. Nadesłano mu z Włoch nowo odkryty dokument, według którego, jeden z jego przodków miał być senatorem i nosić tytuł hrabiego Rossini. Później rodzina zubożała i rzekła się tytułu niezgodnie z nowym położeniem.

„Co mi potém, wołał z gniewem maestro, trzeba być idyotą żeby mi przysyłać podobne elukubracye! Hrabia Rossini! istnieje jak hrabia Almagiva, albo też hrabia Ori!... Hrabia Rossini!...

„Może to zasłużona kara za to, żeś tych dwóch błaznów zatytułował hrabiami! a przecież trzecia część tak zwanych ludzi inteligentnych, traci drogi czas w pogoni za tytułem, za dekoracją, za prózną sławą!

„Sława!... pomówmy o tém... Nie rozumiałem nigdy wielkiego szczęścia jakie ona zapewnić może swym ulubieńcom a raczej ofiarom swoim. Co do mnie, sława straszliwie mnie zawsze nudziła! Oprócz kilku orderów, które mi posłużyły, gdy przejeżdżał granice i cóż

mi ta sława przyniosła? chyba kilka szpilek do zapinania krawatu, których nigdy nie używałem i kilka niepraktycznych tabakierek... Oto i cała korzyść!..

„Ze sławy przychodzi ludziom toż samo co i z władzy. Kto posiadał jedną albo drugą, zostaje na łasce legionu straszliwszego od luźnożerców... legionu żebraków i natrętnych.“

A przecież iluż to upędma się za krzyżami! Niech tylko zwierzą jakiś wpływ, nachodzą cię, męczą niemiłosiernie. Nigdy im nie dosyć, żadna Kalwarya nasycić ich nie może. Gdyby wymyślono order dwóch łotrów, gotowi ubiegać się o niego.

Nie mało znałem takich sollicytantów. Oddawałem im na usługi moję sławę... Ale nie łatwo ich się pozbyć! Po każdym nowym tryumfie moim, wracają i wiecznie wracają! Nic ich nie zraża, a na domiar pociechy mojej, każda oddana postuga, jakby rzucone w ziemię ziarno, wydaje sto nowych kłosów tego samego rodzaju. Pod tym względem, posiew mój zrodził obfite plony.

„Nie sądz jednakże z tego, com powiedział, abym miał gardzić słusznym hołdem, jaki publiczność składa rzeczywiście zasłudze. Chciałem tylko pokazać rzeczywistą nieudolność moję, do pragnienia takich wysokich względów. Wyznaję też sumiennie z głębi duszy: nigdy nie starałem się o to, by je pozyskać. Od młodych lat bałem się sławy, gdyż wiedziałem, jak drogą opłacać ją potrzeba!

„Biada nieszczęśliwemu, kogo raz opanuje. Skrępuje mu ręce i nogi, włóczy go przed publicznością. A niechże raz biedak okaże się słabym, niechże dzieło jego nie przypadnie do smaku tłumom, nigdy mu tego nie przebaczą!

„Pierwszy lepszy zapłacił za bilet parę franków, staje się nieprzebrąnym sędzią; według chwilowej fantazyi, daje lub odbiera tę upragnioną sławę. Kto się temu zbliska przypatrzył stracił wielką ufność. Wielbiony dziś, sponiewierany jutro, prędzej czy później zapomniany — takie ogólne prawo!

„Mówiłem zawsze do siebie: co mi potem? Dla tego to nie starałem się nigdy o pochlebny artykuł w gazecie; nie płaciłem nigdy dziennikarzom za szczyptę posypanego mi kadzidła... Wyrzucano mi wiecznie dla czego umilkłem po Wilhelmie Tellu... Nazwano mnie sceptykiem, niewdzięcznikiem, fałszywym artystą... i sam nie wiem, czém jeszcze. Niedługo byłem, jak mówiono, posiadać to, co świat nazwał konwencjonalnie geniuszem.

„Oto w tym względzie osobista moja opinia, jeśli mi wolno sądzić się na mój sposób, niech kto chce wierzy mi lub nie wierzy. Powiedziałem to niegdyś Weberowi i dziś powtarzam to samo z sumiennego przekonania.

„Miałem łatwość, miałem trochę smaku, jak myślę, i szczególny instynkt do układania śpiewów ot i wszystko. Niechże to kto nazwie jak zechce.

„Śpiewałem jak ptak śpiewa; było to potrzebą natury mojej;

śpiewałem, nie pytając jak i dla czego. Przyznają mi jako nowatorowi zasługę, w której wola moja nie miała żadnego udziału. Nie myślałem uchodzić za nowatora.

„W początkach zawodu mego, pisząc opery, nie pragnąłem nigdy, by miue ogłoszono Mesyaszem nowej religii, a to z prostej przyczyny, że nie byłem uczonym. Trzeba bowiem bardzo być uczonym i mieć przekonanie o nieograniczonej wyższości swojej, aby przyznawać własnej osobistości dyplom na naczelnika szkoły lub nieomylnego kapłana.

„Ja byłem poprostu dzieckiem natury. Jeśli wniosłem do sztuki mojej formy uznane za nowe, jak na przykład crescendo i felicità, to ztąd jedynie, że w mniemaniu mojem, było z tèm lepij niż bez tego. Ot i rzecz cała!

„Weber posądzał miue o złą wiarę, kiedy mu to mówiłem. Nie dowierzał mi i bardzo się pomylił.

„Zaczem odpowiem na czynione mi zarzuty, chciałbym, aby mi dowiedziono dla czego miałem komponować, kiedy miue chęć odeszła? Czemu tak było, zaraz wytlómaczę. Pragnienie sławy, ani fortuua, nie mogły miue już pociągnąć. O sławie jasno się wyraziłem, a teraz powiem coś o fortunie.

„Od roku 1812 do 1829, napisałem przeszło czterdzieści partycy. Opery moje skomponowane we Włoszech w ciągu lat jedenastu, przyniosły mi około 60,000 franków. Ta zapracowana kwotka, pozwoliła mi sprawić ubogim rodzicom tę przyjemność, że mogli mieć codzienn kawałek mięsa na stole. Co do mnie, wcale się nie uchylałem od zaprosin: zmniejszało to codzienny mój wydatek. A potem wielcy panowie, nieraz mnie obdarzyli szafirowym frakiem ze złotemi guzikami. Blask tych guzików pocieszał miue, że w sakiewce nie często słyszałem brzęk owego metalu.

„Prace moje w Paryżu więcj mi przynosiły. Ale wydawca Troupenn w tych czasach przynajmniej, nie szczególniej wychodził na moich partycyach. Pobyt dopiero pięciomiesięczny w Londynie, stał się początkiem fortuny mojej. Przywiozłem z tej podróży 175,000 franków zarobionych z panną Colbrand: ona śpiewała, ja także śpiewałem i akomponowałem jej na koncertach.

„Arystokracja angielska postanowiła zbierać składkę i ofiarować mi przed wyjazdem, znaczną kwotę pieniężną. Odmówiłem wręcz. Nie oddałem narodowi angielskiemu żadnej usługi, któraby usprawiedliwić mogła podobną szcudrobliwosć. Co więcj, zamiast skomponować coś w Anglii, rozkomponowałem jeden utwór: opowiem zaraz w jaki sposób.

„Zacząłem pisać partycyą na temat pod tytułem La fille de l'air (dziewica powietrzna). Po pierwszym akcie zatrzymałem się dla rozmaitych powodów. Kilka ustępów już wykończonych użyłem w innem miejscu, słusznie więc mówię, że rozkomponowałem operę.

„Za powrotem do Paryża, dzięki oszczędności i dobremu po-

mieszczeniu sumki mojej, mogłem wyrobić sobie niezależne stanowisko na przyszłość. Nie żądałem nigdy nic więcej.

„Rozpatrzmy teraz powód milczenia mego z innej strony. Dowodzą mi, że artysta należy całkiem do sztuki swojej, że nie ma prawa odpocząć. (Powiedzmy tu nawiasem, że w takich razach ci krzyżą najgłośniej, którzy nic z siebie wydobyć nie umieją.)”

Zobaczmy jak ogół rozumuje: „Bawiłeś mnie przez ćwierć wieku, bawże mnie jeszcze.” Odpowiesz na to, że chciałbyś już odpocząć. „Nie masz prawa, zawoła ogół, ja potrzebuję też rozrywki. Jeżeli nie uczynisz mi zadość, oskarżę cię, żeś człowiek zużyty, że nie ukochałeś sztuki twojej.” Znaczy to: że, aby być zupełnym artystą, potrzeba jak clown skakać i skakać bez wytchnienia i pęty skakać aż nakoniec skręcisz kark wśród podskoków! Wtedy dopiero jesteś prawdziwym artystą, ukochałeś nad wszystko sztukę swoją!

„Otoż ja dziękuję za tak bohaterską perspektywę. Wyznaję, że nie ukochałem sztuki mojej do takiej ostateczności. Bo koniec końcem, muzyka moja własna, nie interesuje mnie ostatecznie. Wielbię muzykę... drugich, kiedy jest dobrą i kiedy ją rozumiem.

„Publiczność myli się, gdy sobie wyobraża, że kompozytorowie są w siódmym niebie, słuchając swęj muzyki. Błąd to wielki. Kompozytorowie w takich razach zachwyceni oczyma, które się ku nim zwracają i pochlebnią rolą fetyszów, jaką odgrywają sami, gdy na scenie brzmią ich djezy i bemoles. Zamknij tych ludzi samych w pokoju, zdala od tłumów, sam na sam z ich muzyką... Znajdą, że jest... nieznośna.

„I cóż w tém dziwnego? mówiąc między nami, jakiegoż nowego wrażenia, jakiejże niespodzianki może się spodziewać kompozytor w muzyce, którą sam utworzył, wymyślił, przeistaczał i nakoniec ułożył, a niekiedy poplątał i wytorturował, jak czyni wielu kolegów moich?

„Z natchnieniem w utworze tak się rzecz ma, jak z winnem grobem, z którego wino wyciśnięto. Kiedy sok wyciśnięty z owocu, zostaje tylko skórka. Co do wina, to potrzeba nasamprzód spróbować samemu, czy dobre, zanim je zlejemy w beczki; potem niech drudzy sądzą, czy im do smaku przypadnie.

„Kompozytor rozmiłowany w własnej muzyce, podobny do tych Fakirów indyjskich wiecznie zapatrzonych w swój pępek.

„Co do mnie, czułem zawsze wielką przyjemność w kompozycji, kiedy mogłem pracować bez pośpiechu. Sceny humorystyczne (bouffes) nadzwyczaj mnie bawiły, a sytuacje dramatyczne wprawiały mnie w gorączkę. Brakło mi tchu przy pisaniu Wilhelma Tella; zalewałem się łzami, układając tercet drugiego aktu. Kiedyś komponowałem melodyą do arii: Domku mój dziedziczny! wzruszony byłem w najwyższy sposób. Sytuacja ta przenosiła mnie myślą do ojca, który mieszkał daleko odemnie w Bolonii, sam jeden niepokieszony po śmierci ukochanej matki mojej.”

Ileż tu prostoty w każdym słowie! jakie bogactwo uczucia! I cóż dziwnego, że z tak piękną duszą tak cudne wypływały melodie!

W pogorzałym niedawno teatrze Opery komicznej na kilka dni przed straszną katastrofą, odegrano poraz pierwszy sztukę pod tytułem: *Le roi malgré lui* (król mimowoli). Bez względu na oklaski, jakimi ją publiczność obsypała, byłibyśmy ją zostawili na boku, gdyby nie to, że dotyka ustępu z dziejów naszych: elekcji Henryka Walezyusza. Libreto panów Najac i Burani wcale nie jest oryginalnym utworem. Pięćdziesiąt lat temu, głośny w swoim czasie Ancelot, osnuł na tymże samym temacie komedią, graną w Palais Royal w roku 1836. Libreściści podjęli gotowy kęs, przysolili go tylko i przypieprzyli, stosownie do smaku dzisiejszej publiczności. Muzykę skomponował Emanuel Chabrier. Oto treść libreta w kilku słowach.

Pierwszy akt odbywa się w ogrodzie zimowym magnackiej rezydencji o dwie mile od Krakowa. Panowie francuzcy z orszaku króla Henryka oczekują dnia koronacji. Żaden z dostojników polskich nie przybył jeszcze z hołdem do wybranego przez Sejm elekta, żaden polak nie widział go dotąd na oczy.

Hrabia de Nangis, ulubieniec Henryka, wyprawiony do Krakowa na zwiady, przynosi wieści ze stołecznego grodu. Spotkał tam w domu wojewody Łaskiego, zaciętego wroga Walezyuszów, cudnie piękną niewolnicę Minke. Ta ujęta wdziękiem zalotnego Francuza, przyrzekała zawiadomić go tajemnie, gdyby jakieś niebezpieczeństwo zagrażało królowi. Jakoż Minka przybiega nagle przerażona, husarz bowiem stojący na warcie, zagroził jej nahajką. Nangis występuje w jej obronie; wdzięczna niewolnica upada przed nim na kolana. Umawiają się o schadzkę. W tej chwili nadchodzi król; Nangis ukazuje go dziewczynie jako przyjaciela swego, jednego ze świty królewskiej.

Henryk Walezyusz przemysła o powrocie do Francji, mimo zakazu matki swojej Katarzyny Medyceuszki. Z całą siłą Nangis odwołuje go od tak szalonego zamiaru. Aby zatrzymać króla, rozbudza w sercu jego miłość dla pięknej polki Aleksyny Łowińskiej, którą Henryk upodobał sobie w Wenecji. Aleksyna jest żoną brabiego Fritelli, szambelana, umieszczonego na dworze przez królową Katarzynę.

Podstępnie te nie uszły uwagi Frittellego. Zazdrosny wtoch spiskuje z arcyksięciem austriackim; pragnie oddalić Henryka od pięknej Aleksyny.

Minka tymczasem, szukając Nangisa, spotyka się oko w oko z królem. Przekonana, że widzi prostego dworzauina królewskiego, wyznaje mu tajemnicę, którą miała powierzyć Nangisowi. Spisek ułożony, Henryk w niebezpieczeństwie. Wieść ta napętnia króla radością. Ucieczka niepotrzebna; wypędzony powróci do Francji. Matka przesładować go nie będzie. „Niech żyje Francya,“ wykrzykuje wesoło.

Przywołuje król Fritellego; oznajmia mu, że wie o zdradzie.

Jeżeli szambelan chce ocalić głowę własną, niech go tegoż wieczora wprowadzi pomiędzy spiskowych, pod nazwiskiem hrabięgo Nangis.

Drugi akt wprowadza nas do pałacu wojewody Łaskiego, gdzie pod pozorem świetnej uczy, snują się sprzysiężeni. Henryk, przyjęty zrazu chłodno, zdobywa ufność spiskowych; wyraża się nienawistnie przeciw królowi, przysięga, że pochwyti go sam i odprowadzi do granicy.

Jakimże sposobem król dotrzyma słowa i nie będzie poznanym? Zualazł się na to sposób: wyda im Nangisa zamiast siebie. Fałszywy Nangis odprowadzi do granicy fałszywego Henryka.

Wojewoda Łaski poplątał te szyki logicznym rozumowaniem: „Jeżeli Walezyusz opuści Polskę, może powrócić na czele wielkiej armii. Zabijmy go, to najprostsza sprawa!”

Słyszycy to Henryk, zgadza się na wyrok z udaną spokojnością. Kto wyciągnie los, ten uderzy. Wyciąga los król Henryk. Minka tymczasem ułatwiła ucieczkę Nangisowi. Spiskowi drżą na myśl o zemście Francyi. Henryk uspakaja strwożonych; przysięga, że sam uwolni ich od króla. Pociąga Fritellego, radby spieszyć czem prędzej w drogę.

Trzeci akt rozpoczyna się wiejską zabawą w okolicach Krakowa. Qui pro quo nasuwa śmieszne sceny. Nangis poślubia Minke, która go ocaliła. Księżna Aleksina odjeżdża karyolką z fałszywym Nangisem, to jest z królem polskim; ale wydani mimowoli przez Minke, schwytni, muszą wracać na miejsce. Arcyksiążę austriacki oddaje za wygraną. Na ten raz jeszcze Henryk Walezyusz musi rad nie rad panować nad polakami. Co do Fritellego, król za karę wyprawia go do Paryża z listem do królowej matki.

— Za powrotem—rzecze Henryk—będziesz...

— Czém będę?—przerywa szambelan.

— Będziesz wielkim marszałkiem mego dworu.

Wszyscy wołają chórem—„Niech żyje król Polski.“ Muzyka, zdaniem powszechnym, zbyt poważna dla lekkiego i humorystycznego przedmiotu. Podobały się jednak niektóre aryetki i chóry. W jednym z pism czytamy, że przy wyjściu z teatru, ktoś powtarzał zasłyszaną dopiero zwrotkę, mniej więcej w takich słowach:

Czemu polak francuzowi

Tak się nie podoba?

Francuz nie w smak polakowi?

Gdyż odmienni oba.

Nie śpiewano tak w r. 1836, w wodewilu Ancelota. Musimy tu jednak dodać, że piosenka zakończona ową zwrotką, jeśli z jednej strony złośliwie wymierzona przeciw polakom, z drugiej strony złośliwiej jeszcze sztydzi z francuzów. Śpiewa ją Włoch Fritelli: stawia w niej, tuż obok francuza i polaka, porównywa jednego z drugim i przychodzi do konkluzyi, że lubić się nie mogą. Przytaczamy w prze-

kładzie tę piosenkę, za którą ostatecznie gniewać się nie mamy powodu, bo gorsza niż nam chłosta dostała się francuzom:

Polak smutny, bo go mroczy
W długie zimy noc bez końca,
Francuz wesół, bo mu w oczy
Jasny błyska promyk słońca.

Polak dzikiem wzrokiem bada
Powinności tor wytkniony,
Dla francuza wciąż biesiada
Z trubadurów on zrodzony.

Francuz krzywdy nie pamięta,
Ramionami tylko ruszy,
Polak, sztuka to zawzięta,
Wiecznie ranę kryje w duszy.

Tam koronki i bławaty,
Tu, gdziekolwiek wzrok powiedziem:
Wilczy kożuch, ryś kudłaty,
Tamten małpą—ten niedźwiedziem!

Z dwojga złego: lepiej być niedźwiedziem niż małpą!

W wystawie mnóstwo niedokładności. Ośmieszyli je sprawozdawcy. Mówią, że panowie polscy wystąpili w paradnych szlafrokach (tak nazwano sparadyowane kontusze). Wysztytano też skrzydlatych hussarzy, przezwano ich czarnymi kazuarami. Parodya to umyślna. Są tu przecież polscy archeologowie, którzy wezwani przez dyrekcyjną mogli udzielić dokładniejszych wskazówek i nauczyć, że Husarze używali długich koncerzy nie nahajek, że piosenka rozpoczęta od słów polak smutny, nie zgodna z prawdą historyczną, nie był smutnym polak, kiedy zorza Zygmuntońska połyskała nad krajem, świadczą o tém pieśni Jana Kochanowskiego, które jak źródło wody żywej, tryskają z piersi wezbraną radością i chwałą. Inna była zapewne wesołość ojców naszych od swawoli francuzów z epoki Walezyusza; inne były uczty nasze od ich biesiad, gdzie „krew zwykła się mięszać do bachowych dzbauów,“ bo też odrębny charakter odróżnił dwa narody. Nie darmo woła wielki Jan z Czarnolasu:

Sila wioson i stuleci minie,
Sila wody tybrowej do morza poplynie
Nim będziem wam podobni przed obliczem świata,
Nim obyczajem Gallów shałbi się Sarmata! ¹⁾.

Ubóstwo a raczej skażenie sztuki dramatycznej w Paryżu jest dziś przedmiotem powszechnego utyskiwania. W ciągu zimy ubie-

¹⁾ Odpowiedź Jana Kochanowskiego poccie Delaporte.

głej nie wystawiono ani jednej sztuki, któraby mogła dłuższy czas pozostać na repertuarze. Obrazy zbrodni, brzydot i bezprawii społecznych tak zochydzily dzisiejszy teatr w oczach publiczności, że zażrebana w niepamięci sztuka Georges Sand, „Klaudia,” powtórzona w Odeonie, wywołała zapal powszechny. Sztuka ta należy do owój seryi powieściowych i dramatycznych utworów, które wybiegły z pod pióra autorki, kiedy po burzy rewolucyjnej 1848 r. zamieszkała we wsi Nohant, zżyła się z ludem wieśniaczym, zajrzała w głąb serc prostych i wysnuła z nich wątek pełen świeżej barwy i woni. Dzięki takiemu utworowi jak „Klaudia,” „Trzęsawisko czarcie,” „Franciszek Champi,” Georges Sand przekaza imię swe potomności.

Przedmiot sztuki „Klaudia“ prosty, bez nadzwyczajnych przygód. Młoda dziewczyna wiejska, zwiedziona i nikczemnie opuszczona, okupuje winę swoje życie pracowitem, pełnym poświęceń. Uczciwy chłopiec ocenia ją, przebacza chwilowy obłąd i bierze ją za żonę.

Głębokie wzruszenie publiczności w obec tych scen pełnych prostoty i szczerego uczucia, ważną jest przestroga dla autorów, którzy usiłują sztucznie efektami szarpać raczej nerwy niżli poruszać serca. Ogół żąda dziś prawdy w sztuce, ale prawda nie objawia się tylko w formie szpetnej i wstretnej, w jakiej wyłącznie przedstawia ją dzisiejsza szkoła realistyczna.

Szczególniej zachwycała słuchaczy prześliczna scena dożynkowa, kiedy stuletni ojciec Remy, który całe życie orał pocziwie swój zagon, wita ostatni snop zżęty na polu i tryumfalnie przyniesiony do chaty.

— Witaj błogosławiony snopie!—zawoła starzec!—Ze wszystkich darów, o Boże! oto najbogatszy, ta piękna pszeniczka, ozdoba naszej ziemi, nagroda pracy rolnika! Biedny lud ciężko się mozoli, ale dobry Bóg zsyła mu dobre lata i ulgę mu przynosi. Bogaty pracuje dla swych dzieci, ubodzy to dzieciętki Boże, a więc Bóg rozkazuje słonku, aby dla wszystkich pracowało; niechże Bóg nagradza dobrych bogaczy, niech ich utrzymuje, póki będą ubodzy. Snopie zboża! ty ubielasz włos na głowie naszej, ty pochylasz nam grzbiety, uaginasz ku ziemi kolana. Biedny lud pracuje osmdziesiąt lat, by otrzymać ów snop, co posłuży mu za wezglowie w chwili śmierci, kiedy odda Bogu swą duszę spracowaną.

Słowa te cudnie wypowiedział słynny artysta Monnet i żyły błysły w oczach obecnych. Może te żyły powiedzą autorom, jaką drogą trafić do serca publiczności.

Wydawca Hachette rozpoczyna ważną publikacją pod tytułem: „Wielcy pisarze francuzcy.“ Będzie to druga serya literackich studjów nad dziełami pierwszorzędných pisarzy z wykazaniem wpływu, jaki wywarli na społeczeństwo. Studya te mają być pisane w najżywotniejszy i najpopularniejszy sposób, aby nieuczony ogół mógł z nich korzystać i obznajmić się łatwo z literaturą. Zbiorowa to praca

na wielką skalę. Oddzielny tom poświęcony będzie każdej osobistości. Autorami tych studyów są powiększej części członkowie Akademii francuskiej, lub też najzdolniejsi pisarze z młodej generacji. Cena dzieła bardzo niska ułatwi jego rozpowszechnienie.

W tych dniach wyszedł tom pierwszy, rozpoczynający publikację pod tytułem: „Wiktor Cousin“ przez Juliusza Simon. Życiorys to pełen ciekawych szczegółów, napisany z niepospolitą werwą. Oto tytuły dalszych tomów, które następować będą po sobie: „Pani de Sevigné“ przez Gastona Boissier, profesora kolegium francuskiego; „Paskal“ przez pr. Havet; „Rousseau“ przez Wiktora Cherbulliez członka Akademii; „Sainte-Beuve“ przez pr. Taine; „Turgot“ przez Leona Say; „Villon“ przez pr. Gastona Paris; „Voltaire i Boileau“ przez p. Brunettière; „Georges Sand“ p. profesora Caro ¹⁾; „Musset“ p. Juliusza Lemaitre; „Balzac“ p. Pawła Bourget; „Racine“ p. Anatola France; „Lamartine“ p. hr. de Pomerols; „Montesquieu“ p. Alberta Sorel; „Guizot“ p. Monoda; „D'Aubigne“ p. Wilhelma Guizot; „Jozef de Maistre“ przez Melchiora de Vogüe.

¹⁾ Caro umarł tymczasem.

L I S T Y

POLITYCZNE Z AUSTRO - WĘGIER.

PRZEZ

W. G.

I.

Budapeszt 14-go lipca 1887 r.

Elekcya Ferdynanda ks. Koburskiego na tron bułgarski, jako kwestya austro-węgierska. — Znaczenie polityczne ostatnich wyborów do sejmu węgierskiego. — Wybory chorwackie. — Podróż arcyksięcia Rudolfa do Galicyi.

Nie brak publicystów w Europie, a mianowicie w stolicy Węgier, którzy na seryo głoszą, że najnowszą kwestyą europejską jest „*Ferdynand Koburski, książę bułgarski*.“ Słuszniejby może jeszcze było nazwać wybór nowego księcia Bułgaryi, bez uprzedniego porozumienia się wszystkich mocarstw, podpisanych na traktacie berlińskim, kwestyą przeważnie austro-węgierską, — a to chociażby ze względu na to, że nowowybrany książę, będąc wnukiem księżniczki węgierskiej Kóhary, jako indigena — węgierski oficer honwedów, jest zarazem spokrewniony z cesarzową i królową Elżbietą przez siostrę, zamężną za najmłodszym bratem cesarzowej, przez brata, mającego za żonę starszą siostrę arcyksiężnej Stefanii, z następcą tronu Rudolfem nareszcie, że jest szwagrem arcyksięcia Józefa (zamieszkałego w Węgrzech), głównodowodzącego armią honwedzką. Nie ulega też wątpliwości, że jakkolwiek polityka austro-węgierska, wedle przeświadczenia powszechnego tutaj, nic a nic nie miała wspólnego z wyborem księcia Ferdynanda Koburskiego na książęcy tron Bułgaryi, to jednak

wybór ten sprawi monarchii habsburskiej i polityce austro-węgierskiej najwięcej kłopotu z pomiędzy wszystkich mocarstw europejskich.

Nie jest wszakże zamiarem moim, zajmować się w pierwszym liście tym wyborem, ani przewidywać postanowień polityki monarchii; lecz przekonany, że, mimo pojedynczych usiłowań hr. Kalnoky'go, nie uda się odwrócić od monarchii kłopotów, wynikających z dokonanego wyboru w Tyrnowie, postanowiłem zająć się tymczasem wewnętrznymi jej sprawami, mającymi pierwszorzędne znaczenie dla jej bytu, a będącymi zarazem decydującymi i dla jej polityki nazewnazr. Polityka bieżąca zapoznaje bardzo często znaczenie spraw takich, a nawet do pewnego kresu działa wprost sprzecznie z konsekwencyami, wypływającymi z decydujących wypadków wewnętrznych, chociaż kierunku wytkniętego przez nie porzucić nie zdoła.

W ciągu ubiegłego miesiąca zaszyły w monarchii dwa ważne wypadki, mianowicie: wybory do parlamentu w Węgrzech i podróż arcyksięcia-następcy tronu do Galicyi.

Aby ocenić znaczenie każdego z tych wypadków dla interesów ogólnych monarchii, winienem poprzedzić je uwagami, odnoszącymi się do organizacyi całej monarchii, — co zbyt często fałszywie lub powierzchownie sądzoném bywa — i dla tego w żadnej dziedzinie politycznej nie krąży tyle mylnych pojęć i nie spotyka się tyle zawodów drogo okupywanych w praktyce, jak właśnie w sprawach, odnoszących się do monarchii Austro-węgierskiej.

Wiele się mówi i pisze o znaczeniu Węgier i węgry w monarchii; wszystko to jednak zwykle zabarwione jest kolorem stronnictwym, przywzbronem dla celów specjalnych, pośrednio tylko mających coś łącznego z Węgrami. Są wprawdzie tak naiwni, którzy te teorie i podania ad hoc stawiane, przyjmują za dobrą monetę i dają się pociągać niemi w praktyce wbrew własnym interesom, — zdarza się to nietylko prasie galicyjskiej w jej rozprawach o Węgrzech.

Wedle jednych Węgrzy wszędzie i w każdej rzeczy rządzą całkowicie monarchią i wszelkimi jej sprawami; inni zaś, a raczej ciż sami tylko w innych okolicznościach, działają, jak gdyby w monarchii nie było owych rzekomych wielkorządców. Faktycznie rzeczy się mają wprost odwrotnie: nie ma ani narodu, ani organów tak bardzo odbiegających od wszelkiego wpływu na sprawy wewnętrzne monarchii, jak są węgry i rząd węgierski; lecz natomiast są rzeczy i dążenia w toku spraw monarchii, których przeprowadzić się nie da, gdyby i najsilniej były poparte, z mocy prostego faktu, że Węgry istnieją jako państwo nawskroś konstytucyjne, a złączone z monarchią. Czują to dobrze ci, którym ręce opadają z braku poparcia czynników węgierskich, lub których zamysły rozbijają się o prawny stan rzeczy i narodowy kierunek Węgier. Chcą oni w tém widzieć li tylko formalną zawadę — i ci to prawią z gniewem o wszechpotężde Węgier — po to, aby przy najbliższej sposobności nie baczyć znowu na ich prawa, lub zgoła, aby

próbować czynić zamach bezsilny na te prawa, zamach szkodliwy dla monarchii i powrócić po nieudanej próbie do czczych deklamacji, obalamujących naiwnych i do usiłowań politycznych, jawnie nieprzyznawanych, a polegających na łudzeniu siebie i tych, którzy je popierają. Oto, co zaciemnia jasny obraz publicznych stosunków monarchii, oto, co dążenia jej polityki, płynące z jej istoty, będące błogosławieństwem dla stosunków i przyszłości środkowo-europejskiej—czyni pozornie karykaturalnemi, a często wstrętnemi. Teoretycznie rzeczy biorąc, nie godzi się zatrzymywać na tych objawach szczegółowych i pozornych, bo konieczności decydują w polityce, konieczności, wynikające przedewszystkiem z samej istoty organizmu politycznego, o który chodzi, — one okręt monarchii sprowadzą też zawsze na tory jej właściwe z odmętów i mielizny. Z tego powodu i zadaniem poważnej publicystyki, służącej interesom narodowym, w stosunku do monarchii austro-węgierskiej, przedewszystkiem powinna być znajomość jej istoty i oznaczenie prądów, jakimi polityka jej mimo przeróżnych zawad płynąć musi naprzód, a nie może się w tył cofać.

Stosując te poglądy do czynnika węgierskiego w monarchii, nie można zapominać ani na jedną chwilę o tém, że emancypacja Węgier, inaczej zwana „przywróceniem praw“ w 1867 roku, dwa pociągnęła za sobą następstwa realne dla całej monarchii: 1) że z połowy prawie monarchii zorganizowało się oddzielne państwo z interesami ściśle określonymi, o jednolitem dążeniu; nadto zaś będące organizmem przejętym na wskroś duchem konstytucyjnym, rozwijającym się od związków państwa, a przeto z poczuciem odpowiedzialności narodowej u rządzących; 2) że wskutek połączenia tego emancypowanego organizmu z Austryą, dla pewnych spraw wspólnych monarchii, i wytworzenia w tym celu pewnych organów, odpowiedzialnych pośrednio przed narodem węgierskim, lub podległych wpływowi rządu węgierskiego, nie jest możliwym w samej Austrii inny tryb rządów tylko konstytucyjny, choćby to nawet nie było (tak jak jest) zagwarantowanem, jako warunek połączenia w Ugodzie węgierskiej. Można w Austrii wykრęcać i wyginać formę konstytucyjną rządów, która jest nową, a jej kolebką „patent“ oktrojowany; ale ani improwizacji prawnopolitycznych, ani zamachów stanu być nie może w Austrii, bo teby zdruzgotały jedność monarchii, czyli samą monarchią. Naród węgierski, z drugiej strony znowu, jest do szpiku kości i we wszystkich warstwach dynastyczny, (nawet Kossuth i jego najbliżsi stronnicy są takimi), większość polityków narodowych pragnie utrzymania związku monarchii i wspólnych instytucji, a w imię tej zasady prowadzi ona dalej rozwój państwowy Węgier; lecz niechżeby ktoś dotknął się do tego sanktuarium rojalizmu dynastycznego i zasadniczych podstaw związku całej monarchii, jakie przedstawia państwo Węgierskie, aby je burzyć, tém samem burzyłby związek monarchii i podcinałby korzenie dynastji na Węgrzech. Dlatego to zawsze po awanturach Jantzky'ego następować musi list monarszy do

pana Tiszy, czy do innego odpowiedzialnego rządcy Węgier, wzmacniająca prawa Węgier, bo i w konsekwencji tak drobnej przyczyny, skoro tylko byt państwa Węgierskiego został narażony, chwiele się i potęgą monarchii w podstawach.

Wyjście z takiego fatalistycznego stanu rzeczy w monarchii mogłoby nastąpić przy dwóch jedynie ewentualnościach, nie licząc jakiegś światowej katastrofy, któraby i Austryą zniweczyła wraz z Węgrami, a temi są: gdyby naród węgierski zamarł moralnie lub politycznie sam z siebie, na co się w istocie rzeczy nie zanosi, gdyż on postępuje i rozwija się, albo-li też: gdyby przemocą prawa mu jego i organizacją odebrać, a inne urządzenia zaprowadzić, co przy istnieniu siły zbrojnej węgierskiej, przy organizacji administracyjnej, przy duchu w tej organizacji żyjącym, bez wojny jest niepodobnym, a o wojnie ani myśleć, dopóki interes monarchii ma jakiegokolwiek znaczenie u tych, co (choćby chwilowo) decydować mogą bądź u dworu, bądź w rządach Austrii. Zapoznawanie więc takiego faktycznego stanu rzeczy, opartego na prawach najświętszych, na siłach realnych i na położeniu koniecznościowym, jest nader szkodliwym dla potęgi monarchii na zewnątrz, jest stokroć szkodliwszym niżli największe kolizye między szczegółowymi interesami dwóch potów monarchii; ale to odmiennie istoty rzeczy nie może; owszem, po zamęcie, wywołanym takimi zapoznawaniami, istota stosunków staje się wyraźniejszą i mocniej ugruntowaną.

Przy tej istocie stosunków zapominać nie można, że tradycje rządów zbiorowych monarchii, są dotąd przy dworze, lub w Austrii, a nie w Węgrzech, -- a to niezmiernie wiele znaczy, mianowicie w polityce zagranicznej i w armii, stanowiącej równie jak dyplomacya wspólną Węgier i Austrii instytucją. Utarte drogi, wyrobione wpływy i przygotowane czynniki, wreszcie samo przyzwyczajenie zewnętrznego świata daje tu wielką przewagę dworowi i rządowi austryackim, lub pod ich firmą występującym czynnikom. Stan ten, jakkolwiek na żadnym nie oparty prawie, a często sprzeczny z prawami, zmienia się odpowiednio do istoty stosunków, ale zmienia się nader powoli, tak że końca processu dziś nie można dostrzedz jeszcze. Niegdyś, za czasów rządów hr. Andrassy'ego bądź w Węgrzech, bądź na Ballplatzu wiedeńskim, proces ten bardzo szybko postępował, bo ten maż stanu był pełen inicjatywy genialnej, a poniekąd był inkorporacją monarchicznodualistycznego ustroju monarchii. Od czasu ustąpienia hr. Andrassy'ego od rządów w Węgrzech, a tём więcej od czasów cofnięcia się jego z urzędu spraw zagranicznych, proces ten w szczegółach nie tylko przestał się rozwijać, lecz poniekąd we wsteczny idzie kierunku; w ogóle zaś, rzec można, że powodzenie jego zawisło od dwóch okoliczności: od inicjatywy węgierskiej w dziedzinie spraw wspólnych i od siły materyjalnej, jaką przedstawiają rząd i państwo Węgierskie.

Z analizy tej istoty stosunków monarchii dualistycznej i wpływów, ustalonych we wspólnych instytucjach, lub odgrywających rolę

w przedsięwzięciach, dotyczących ogółu monarchii, wynika, że w dziedzinie polityki zewnętrznej monarchii, jako też w rachubach rozwoju wewnętrznej samej Austrii, czynny wpływ węgierski bywa dotąd sporadyczny tylko i jest w ogóle równający się prawie zeru, natomiast w znaczeniu negatywnym, niedopuszczenia pewnych faktów, aby się stały, faktów, któreby nie licowały bądź z prawami Węgier, bądź z ustrojem dualistycznym monarchii, bądź nawet z dążeniami międzynarodowemi państwa Węgierskiego, wpływ ten jest prawie wszechpotężny. Ani zaprowadzenie rządów nieparlamentarnych w Austrii, ani zawarcie przez monarchią przymierza niezgodnego z dążeniami Węgier, ani żadne przedsięwzięcie międzynarodowe, na któreby się nie zgodził rząd Węgierski, a właściwie mówiąc, reprezentacya narodu węgierskiego—nie są możliwemi, jakiegokolwiek zresztą mogłyby istnieć zabiegi i chęci osób wpływ mających. Są to wszystko kwestye, które w codziennym życiu publicznym monarchii istotnie zachodzą i mają nawet swą wagę, lecz których ostateczny wynik jest z góry zawsze przesądzony,—a tylko naiwni, dający się omamić nadużywanym przestępnie imieniem samego monarchy, stają się ofiarami złudzeń. Zapominają oni, że w stanowczej chwili, monarcha pierwszy stawać musi ze swym wpływem osobistym po stronie konieczności utrzymania wewnętrznej potęgi monarchii i nienarazania jęj sił, opierających się na niewzruszonej i niezakłóconej podstawie jęj stosunków dualistycznych.

W tym stanie stosunków wybory do parlamentu na Węgrzech przedstawiają zawsze w monarchii przedmiot najżywszego zajęcia, nie zależnie od ich krajowej wagi politycznej i niezależnie od dramatyczności całej akcji wyborczej, z jaką zwykle są one tam połączone. Wszyscy, którzy z jakichkolwiek pobudek pragną powrotu do przeszłości i wszyscy, którym rozwój normalny na przyszłość jest nie na rękę, którzy dla urzeczywistnienia swych dążeń radzi liczą na jakieś gwałtowne przewroty — a jest ich dużo jeszcze i u dworu, i w stariej biurokracyi, i między politykami sławiańsko-czeskimi—wszyscy ci z najwyższym pożądaniami oczekują zawsze od wyborów węgierskich, jeśli nie upadku istniejącego gabinetu, to przynajmniej osłabienia rządzącego stronnictwa, oczekują i wyglądają jakiegoś chaosu, któryby Węgry wewnątrz i nazewnątrz skompromitował i ich rozwój powikłał; dla nich bowiem, wcale niezależnie od sympatyj i antypatyj narodowych, Węgry w ich bycie dzisiejszym przedstawiają się jako wielona zawada do urzeczywistnienia własnych dążeń, poza któremi już innych nie widzą. Co do zawady mają niewątpliwie racyą, lecz myślą się, aby ta pierwsza i kapitalna zawada była jedyną i myślą się grubo, muiemając, że przesilenie parlamentarne we Węgrzech, lub nawet chaos parlamentarny chwilowy, usunęłyby im tę zawadę—jaką przedstawia dziś istnienie państwa Węgierskiego w realnym związku monarchii.

Gdy mowa o Monarchii, jako o całości w systemie międzynarodowym Europy, z dwojakiego punktu trzeba się zapatrywać na wybory

we Węgrzech, na ten akt odnawiający samorząd polityczny narodu. Chodzi o to: czy trudności, z jakimi ma do walczenia wewnętrzny rozwój państwa Węgierskiego, zmniejszą się lub powiększą przez rezultat wyborów, i w jaki sposób ukształtuje się w parlamencie w skutek wyborów gra stronnictw węgierskich, od tego bowiem zależy siła polityczna gabinetu węgierskiego i stosunki zewnętrzne narodu, za cząwszy od stosunku z drugą połową monarchii.

Układ stronnictw w Węgrzech, jest jak w każdym kraju, mającym szczególne warunki bytu i mocno rozwinięty typ organizacji narodowej, tylko im właściwy i wymaga specjalnego rozbioru. Dla zrozumienia gry stronnictw na nicby się tu nie przydało szablonowe criterium podziału na stronnictwa mniej lub więcej konserwatywne i mniej lub więcej liberalne. W kraju, gdzie zasadą przyjętą przez wszystkie stronnictwa jest, że państwo Węgierskie powinno być odbiciem ogólnego europejskiego rozwoju, a socjaliści rozpoczynają swój szturm od deklaracji, że państwo Węgierskie ma w nich zyskać nowy filar a patriotyzm węgierski ma w nich posiadać gorących wyznawców, w kraju takim gra stronnictw nie może się odbywać między konserwatywnymi a liberalnymi biegunami. Zresztą kraj, w którym pierwiastek historyczny odgrywa dotąd tak przeważną rolę, iż należy istotnie do kardynalnych podstaw bytu narodowego, nie może mieć w łonie swoim wybitnych stronnictw radykalnych—Węgry nie mają takiego stronnictwa. Z drugiej strony, gdzie zasada jest postęp, jak to już wyżej nadmieniałem, a zasada ta, wskutek zewnętrznych warunków i zadań państwowych, należy także do kardynalnych podstaw bytu narodowego, tam i o stronnictwach konserwatywnych w ścisłym znaczeniu wyrazu mowy być nie może. Przed 1848 rokiem, a nawet jeszcze przed laty 25 istniało w Węgrzech t. z. „stronnictwo staro-konserwatywne,“ lecz i to nie odpowiadało téj nazwie w reszcie Europy;—dziś atoli koryfeusze tego stronnictwa lubią opowiadać sami o sobie, że ich tylko sześciu czy pięciu wyznawców pozostało już w całych Węgrzech. Chwilowo, po wielkiej fuzji stronnictw w 1875 roku, próbowano wytworzyć stronnictwo istotnie „konserwatywne,“ w najlepszym znaczeniu tego wyrazu; próba jednak roku nie przeżyła; najlepszym zaś świadectwem jest jak dalece tego rodzaju ustroj gry stronnictw nie odpowiadałby ani wymaganiom rozwoju politycznego Węgier, ani samój nawet naturze społeczeństwa, jest to, że przewodzczy owój próby z przed lat 12 dziś albo czynią zarzut rządzącemu „stronnictwu liberalnemu“ że nie jest dość liberalnym i stają mu w opozycji, albo też weszli sami w skład jego z hasłem publicznie przed wyborcami podniesioném, że „obecnie, gdy nie ma specjalnie konserwatywnego stronnictwa i jego przewodzca (bar. Sennyey) uznał za stosowne sam sztandar zwinąć, dziś dla wyznawców zasad konserwatywnych nie może być innego miejsca w życiu publiczném tylko w obozie liberalnym, bo tylko on jeden, prawdziwie wolnomyślny, przedstawia rękojmię urzeczywistnienia szlachetnych za-

sad konserwatyzmu“ (Asbóth)... Nazwa téż potężnego w Węgrzech „stronnictwa liberalnego“ nie pochodzi z przeciwieństwa do konserwatyzmu, lecz wypływa z téj zasady, że państwo Węgierskie powinno polegać na podstawach państwa nowożytnego i być z konieczności reprezentantem postępu europejskiego; wybrał zaś tę nazwę pan Tisza Koloman, wiedziony głębokiem zrozumieniem ustroju politycznego swojego narodu, wybrał ją w chwili fuzyi rozbitego stronnictwa deakistowskiego z stronnictwem umiarkowanej opozycji z t. z. lewem centrum, aby z nich stworzyć silną partya rządzącą. Naród w ówczesnych komisjach wyborczych zatwierdził i tę fuzyę, i nazwę i program nowego stronnictwa. Inne kwestye, ekonomiczne i administracyjne, dzielące wielkie stronnictwa polityczne w staréj Europie, albo się jeszcze nie wyrobiły dostatecznie w Węgrzech, albo téż z goła nie mają żadnej racyi bytu w odziedziczonym ustroju społecznym.

Historya torysów i whigów angielskich, bo z Anglią szczególnie lubią porównywać swe życie konstytucyjne Węgrzy, sięga czasów Wilhelma III. Historya stronnictw węgierskich jest nader świeżej daty, sięga ona 1879-go roku, po okupacy Bośni i Hercegowiny; a początki jéj kryją się w czasach ugody austro-węgierskiej, uwieńczonej tryumfem Deáka. Wówczas zgrupowały się stronnictwa, wedle uznawania téj ugody, lub nieuznawania jéj w pewnym większym lub mniejszym stopniu. Było więc stronnictwo deakistowskie zwycięskie, rządzące i broniące ugody, samo jedno, i były stronnictwa nieuznające jéj: lewego centrum z pp. Ghyczy i Tiszą, stojące na podstawie punktów biharskich, czyli mniej więcej na podstawie unii personalnej; daléj stronnictwo niepodległości, stronnictwo praw 1848 r. (jak gdyby tych nie przywróciła wszystkim przysięga królewska) i były nawet próby stronnictwa radykalnego i republikańskiego. Wszystkie tu wymienione stronnictwa, nie uznające ugody za ostateczny wyraz aspiracyi narodowych, stały wszakże wraz z deakistowskiem na gruncie państwa węgierskiego i wszystkie, nie wyjmując radykalnego, oprócz paru koryfeuszów, ludzi książkowych, były szczerze konstytucyjne i zupełnie monarchiczne, czyli raczej dynastyczne. Po za niemi stał zastęp nie uznający ani państwa węgierskiego, ani konstytucyi, zastęp ten składał się z reprezentantów saskich i z grupy narodowościowej, czyli połączonych serbów i wołochów, a także i słynnego hofratha Dobrjańskiego, reprezentującego wówczas rzekomo słowaków nie rusinów. „Starokonserwatyci,“ czyli inaczej mówiąc, partya węgierska dworska, całkiem się wówczas z gry politycznej cofnęła. Walka toczyła się właściwie między stronnictwami stojącymi szczerze na gruncie państwowym i konstytucyjnym, zajmującymi w Izbie deputowanych cztery piąte krzesel;—inne stronnictwa zostawały poza sceną, jako chór zakłócający harmoniá.—Ile razy zaś chodziło o sprawy organiczne, jakie wtedy co miesiąc, rzec można, decydowały się, bratały się z wielkimi stronnictwami, najczęściéj opozycyjnemi. Dziś nie chodzi o ugodę w jéj formalném

znaczeniu, stronnictwo deakistowskie skończyło przed śmiercią wielkiego swego męża stanu, który swój aprobaty udzielił jeszcze nowemu utworowi. Na gruncie państwowym i konstytucyjnym stoją dziś (w parlamencie przynajmniej) wszystkie stronnictwa, z wyjątkiem jedyne go Mohikana generała i deputowanego Doda, a jednak w istocie rzeczy chodzi o to samo w walce stronictw od 1879 roku, o co chodziło w 1867 r. o atrybucyje państwa węgierskiego, o jego siłę na zewnątrz i o jego rozwój wewnętrzny. Jestem też przekonany, że gdy się wyczerpią motywa walki terażniejszej, nowe ugrupowanie będzie znowu tylko rozwinięciem obecnego, z podciągnięciem nowych tematów, może wielkiej międzynarodowej polityki, ale zawsze z tegoż samego stanowiska atrybutów historycznych i siły nowoczesnego państwa Węgier, ocenianych (ze stanowiska „idei państwowej węgierskiej,” jak mówią na Węgrzech), zawsze na podstawie najszerszej konstytucyjnej wolności, a być może, pod temiż samemi, co dziś nazwami.

W tej mierze są szczególnie pouczającemi tegoroczne wybory. Tém większą zaś wagę przywiązywać do nich trzeba, że odbyły się w wyjątkowo niepomyślnych dla kraju koniunkturach, że odbyły się świeżo, po odnowieniu ugody finansowo-ekonomicznej z Austryą, która nigdzie szczególnego zadowolenia nie obudziła, przy przyznaniu się przez rząd do złego stanu finansowego i do potrzeby ponownego odwołania się do ofiarności kontrybuentów, że wybory nareszcie poraz pierwszy odbywały się na lat pięć, zamiast trzech tylko dotychczasowych, a agitacya wyborcza trwała już od roku, — co szczególnie dodawało wyborom zaciętości stronnictwej i sprowadziło do urny prawie całe, bo w dziewięciu dziesiątych częściach ciała wyborcze, liczące 900,000 głosów, a kraj cały rozogniło, jak nigdy przed tém. Z takich to wyborów wyszło tryumfujące jedno tylko stronnictwo i jedno tylko znowu wyszło obronną ręką, to jest „stronnictwo liberalne“ (szabadelvüpart), posiadało ono 260 mandatów, zyskując 30, mimo mimo że walka okropnie musiała być zacięta, skoro straciło 40 okręgów dawniej posiadanych, a zatem musiało zdobywać nowych 70. Drugiem jest „stronnictwo niepodległości i 48 roku“ (függetlenségipárt), które posiadało 80 mandatów, zwiększając ich liczbę o 6 i zyskując te okręgi na „stronnictwie liberalném.“ Wielka liczba nowych i młodych deputowanych (30%) przypada też na te stronnictwa. Inne stronnictwa wyszły z walki więcej niż zdziśiatkowane, rozbite rzecz można. Szczególniej stosuje się to do stronnictwa najliczniejszego po tamtych w parlamencie, które pretendowało i pretenduje do władzy bez zmian zasadniczych, zwyczajnym bojem parlamentarnym, stosuje się do stronnictwa „umiarkowanej opozycyi“ (mersékelt ellenzékipárt), z wielce utalentowanym przywódcą (hr. Appónyi'm Albertem), bo ono także na Węgrzech bardzo dużo znaczy: liczyć ono będzie 40 głosów, a straciło 16 mandatów.

Na przodzie sceny konstytucyjno-parlamentarnej zostaną więc faktycznie dwa stronnictwa: „liberalne“ i „niepodległości.“

Czémże jest stronnictwo liberalne ze stanowiska zasadniczego stronnictw, to jest ze stanowiska państwowego? Powstało ono, jak wiadomo, z fuzji deakistów, uznających nietylko pełną prawność ugody z 1867 r., ale i jej użyteczność — oraz ze stronnictwa lewego centrum, które pod przewodem pana Tiszy zawiesiło swą walkę przeciw Ugodzie ze względów oportunistycznych, z przekonania o konieczności ratowania państwa przed bankructwem finansowem i systemu parlamentarnego przed anarchią a stronnictwa rządzącego przed rozkładem. Dzieło pana Tiszy powitano wówczas jako akt najwyższego patryotyzmu, a pan Tisza i jego stronnicy zapanowali w stronnictwie połączonem. „Stronnictwo liberalne“ stoi więc na podstawie związku z Austryą, określonego Ugodą 1867 i późniejszymi umowami ekonomicznymi i na téj podstawie dąży do rozwoju państwa i jego instytucyi w kierunku nowoczesnym i postępowym.

Stronnictwo niepodległości i 48 roku (druga nazwa pochodzi ze zlania się najpoważniejszych frakcyi dawniej lewicy skrajnej) nie uznaje Ugody i poczytuje związek realny z Austryą nietylko za ograniczenie niepodległości Węgier, lecz za zawadę pomyślnego rozwoju państwa i dobrobytu narodowego. Stronnictwo to, wedle określenia Kosutha, (który protegując je, z niem się bynajmniej nie solidaryzując) stoi na podstawie zasady zaprzysiężonej przez Karola VI, że państwo Węgierskie ma być niezawisłym i niczém nieograniczonem, do którego spraw zadne obce czynniki mieszać się nie powinny. Ze względu na urzędzenia społeczne, stronnictwo to poczytuje postępowość za swój szczególny atrybut i chciałoby być liberalniejszym i demokratyczniejszym od innych stronnictw; lecz dążenia w tym kierunku nie stanowią ani jego racyi bytu, ani nie są jego zasadą czynną, która niem kieruje. Stronnictwo to jest całkowicie monarchicznem i dynastycznem, niektóre odcienia jego starają się nawet rywalizować pod tym ostatnim względem ze stronnictwem rządzącem. Nie trzeba sobie także wyobrażać, aby nieuznanie Ugody z 1867, chciało Ugodę tę rewolucyjnie lub choćby tylko jednostronnie obalić; owszém, niejednokrotnie występowało ono z deklaracją, że Ugoda może być tylko uchyloną za zgodą wszystkich trzech czynników, które ją zawarły t. j. parlamentu węgierskiego, Rady państwa austriackiej i Korony; na téj téż drodze dąży to stronnictwo do najbliższych swych postulatów konkretnych t. j. do rozdziału armii monarchii, do zniesienia instytutu delegacyi i do rozwiązania unii celnej, nie stanowiącej zresztą integralnej części Ugody, a odnawianej co lat 10. Przed dwoma laty stronnictwo to przebywało nawet wewnętrzne przesilenie z powodu, że niektórzy jego członkowie pragnęli wejść do znienawidzonej delegacyi dla spraw wspólnych, co nawet pan Tisza, za czasów swój opozycyi przeciw Ugodzie, poczytywał za karygodną herezję.

Podczas tegorocznych wyborów, oba stronnictwa stojące na pod-

stawie ugody (liberalne i opozycyjni umiarkowanŃ), ulegając snać panującemu prądowi, występowały przed wyborcami z zapewnieniem, że dążenia stronnictwa niepodległości uważają za patriotyczne, za szlachetne, koryfeuszów zaś jego „za ludzi mądrych i wykształconych” (słowa ministra Treforta), ale że dążenia jego są narazie niedopuszczalne, lub szkodliwe, lub zgoła niebezpieczne—nigdy zaś bezprawne. Najgruntowniej wszakże, zdaniem mojem, trafił w sedno rzeczy hr. Andrassy Tivadar, syn byłego ministra, który w swęj mowie wyborczej, mówiąc o stronnictwach (zalicza się sam do liberalnego) powiedział: „za stabi jesteŃmy do spełnienia mocarstwowych zadań, o które nam chodzi; stając na podstawie dążeń stronnictwa niepodległości, musielibyŃmy się wyrzec przewodniej roli pomiędzy narodami na Wschodzie, i lękam się bardzo, że większa niezawisłość prawnopolityczna sprowadziłaby koniecznie zależność polityczną.“ Że zaś i pod tym względem stronnictwa węgierskie nie odbiegają od jednéj zasady, a ostateczności wiążą się ze sobą, interesującym jest przytoczyć list Kossutha, pisany przed samemi wyborami do hrabiego Károlyi Gabora, w którym winszuje mu ofiarowanęj mu kandydatury od wyborców stronnictwa niepodległości (br. Károlyi został też następnie wybrany znaczną większością) i życzy powodzenia przy wéjściu do polityki bojującej „bo jakkolwiek, powiada Kossuth, dążenia waszego stronnictwa nie są mojęmi dążeniami, a to nietylko z powodu osobistego mojego stanowiska, to jednak przyznaję, że osiągnięcie waszych celów, (i tu daje charakterystykę tych dążeń zamieszczoną powyżej) byłoby tak wielkiem dobrem dla narodu, takiem zabezpieczeniem jego bytu, że wówczas tylko jedynie wolnoby było zadowolnić się celem osiągniętem, aby nie narażać państwa na szwank przy spełnieniu dalszych zadań narodowych. Te „dalsze zadania,“ to znowu toż samo powołanie państwa węgierskiego do spełnienia pośredniczącej roli między Zachodem a Wschodem europejskim, czyli jak hr. Andrassy Tivadar nazywa: „przewodnią rolę Węgier pomiędzy narodami na Wschodzie.“ Kossuthowi rola ta błyszczy przed oczami, jak gwiazda coraz bardziej ginąca pod zastoną jakichkolwiek bądź związków z Austryą, które też usunąć należy, aby ta gwiazda Węgier zajaśniała całym blaskiem w oczach wszystkich. Andrassy'emu zaś przyświeca ona spotęgowana związkiem z Austryą, otoczona aureolą Monarchii habsburskiej i jęj związków europejskich. Słabością stronnictwa niepodległości jest też niezawodnie, a nie siłą, że się zamyka dziś w odpornym programie państwowości węgierskiej, chociażby wyposażonęj wszelakimi atrybutami. Pomyślą zaś szansę stronnictwa liberalnego, przynoszącą mu wciąż nowe siły jest znowu ta okoliczność, że się nie wyklucza od zadań wielkiej polityki, i pielęgnując ideę państwa węgierskiego, w warunkach częstokroć ciężkich, utrzymuje ją wciąż w prądzie rozwoju europejskiego.

Dopełniając obrazu gry stronnictw węgierskich winienem przytoczyć pozostałe 4 stronnictwa, które odgrywały pewną rolę na palących

arenach wyborczych i które zaznaczą się też wyraźnie w przyszłym parlamencie.

Pierwsze miejsce należy się tu „stronictwu umiarkowanej opozycji,“ które mimo jego porażki, zaliczać trzeba przecież do wielkich stronictw, jako trzecie — bo przyszłość rządowa nie jest przed niem zamknięta. Stronictwo to, stojąc na tejże samej prawnopolitycznej podstawie, co stronictwo liberalne, zarzuca ostatniemu, że niedość ściśle przestrzega utrzymania atrybucyi i niezawisłości państwa węgierskiego, że nie jest należycie liberalnym, pomimo swojego nazwiska, że nie rozwija mianowicie instytucyi państwowych zgodnie z postulatami państwa liberalnego, że przez popularność swoją wobec Austrii pogrąża kraj w nędzy materialnej. Słabością tego stonictwa, składającego się z samych koryfuszów parlamentarnych lub ludzi znacznych pozycji społecznych, jest to, że program jego nie jest jasny dla ogółu, nie ma cech ogólnokrajowych; samo zaś stronictwo w parlamencie wygląda jako sztab świetny bez armii w kraju, a przez to pozbawionem jest realnej politycznej potęgi. Drugą słabą stroną stonictwa tego jest zbyt daleko posunięta osobista polityka anti-tiszowska: obalenie pana Tiszy—oto postulat pierwszy działalności, postulat zaciemniający nawet własne cele i kompromitujący przyszłość stronictwa, co wcale wszakże nie wyklucza, że przy zwykłym trybie zmiany rzeczy ludzkich, a bez wielkich państwowych przesileń, stronictwo to mogłoby się znaleźć u steru.

Dalej następuje grupa stojących „poza stronictwami“ (pártonkirüliek), ale nie t. zw. dzikich, gdyż są to politycy stojący prawie bez wyjątku na zasadach programu stronictwa liberalnego, lecz nie chcący podlegać dyktaturze pana Tiszy: są to—pessymiści stronictwa liberalnego, rzeczyby można. Składają się zaś bardziej jeszcze niż opozycja umiarkowana ze znakomitości parlamentarnych, znanych w życiu publicznym Węgier, a są pomiędzy nimi tacy mężowie stanu, których samo nazwisko wystarcza za program, jak Horváth Baltazar b. minister sprawiedliwości, jak Széll Koloman, słynny minister finansów pierwszego gabinetu Tiszy, który już raz wyprowadził skarb węgierski z toni, i inni. Razem jest ich wszakże 9 tylko, a wśród wielkich przesileń osobiście tylko rolę mniej lub więcej zbawienną dla kraju odegrać mogą i odegrają z pewnością, lecz nie jako stronictwo.

Dalej, jako piątą grupę zaznaczyć trzeba nieszczęsne „stronictwo antisemickie“ (antiszemita párt). Stronictwo to liczyć będzie w nowój Izbie 11 deputowanych, gdyż 5 mandatów utraciło, a pomiędzy inuemi nie został wybrany baron Andreánszky, jedyna polityczna głowa stronictwa. Natomiast zajęło ono w różnych komitatach, przed wyborami i podczas wyborów, okręgi, w których wyznawcy stronictwa odznaczali się w krwawych bijatykach i pożogach: w Verbasz trzeba było wstrzymać sam akt wyborczy, rzecz nie legalna i niestychana na Węgrzech, bo lokal wyborczy podpalono; w Czegled nie pomogły zaklęcia Kossutha, aby odprowadzić wyborców od antisemityzmu i usunąć kandy-

daturę zuchwałego demagoga Verhovay'a. Przez kilka zaś dni po upadku tego ostatniego wojsko było konsygnowane i ostrożności zachowane jak wobec groźby krwawego wybuchu. Stronnictwo antisemickie, składające się w parlamencie z b. członków wszystkich trzech wielkich stronnictw, wykluczonych za antisemityzm, jako sprzeczny z zasadami i prawami 1848 r. (równouprawnienia szczepów i wyznań), poczytuje siebie obecnie za stronnictwo, stojące także na podstawie państwowej, a mianowicie twierdzi, że dla niezawisłości państwa węgierskiego i dla zabezpieczenia na przyszłość jego rozwoju, potrzeba przede wszystkim przeprowadzić prawodawczo postulatą antisemityzmu; wszystkie zaś inne dążenia zawiesić tak jak pan Tisza zawiesił swój program, dla ratowania państwa węgierskiego przed finansowem bankructwem. Dziś zmieniają oni, być może, swój program w obec doznanej porażki, gdyż niez mordowany inicjator antisemityzmu p. Istóczy wystąpił już z propozycją zmiany nazwy na „stronnictwo ludowe.“ Ani zmiana nazwy, ani spotęgowana zaciełość w obłędzie nie ocalą wszakże, zdaje mi się, tego stronnictwa. Przez pięć lat, do nowych wyborów, antisemityzm nie będzie kierowany środkami antisemickiego programu, lecz zapowiedzianem przez rząd otwieraniem szkół dla żydów marmaroskich i t. zw. „żydów polskich,“ oraz przez reakcją w obec ciągle napływającej fali proletaryatu żydowskiego z północy. Jeśli zaś jest prawda, co twierdził pan Trefort przed wyborcami, że umysł ludzkie w Europie muszą dwukrotnie w ciągu każdego wieku przechodzić przez chorobę antisemityzmu, to przez lat pięć, można mieć nadzieję, iż ta choroba, a z nią i stronnictwo całkowicie wyginą. Dziś zasługą jest wszystkich wielkich stronnictw politycznych, że chorobę zwalczały energicznie i ocaliły przez to organizm polityczny narodu od zarazy i rozkładu.

Pozostaje nareszcie ostatnie „stronnictwo narodowościowe“ (nemzetiségipárt). Niegdyś liczyło ono w parlamencie 40 głosów i dzieliło się na kilka grup. Następnie połączone w jedną partycją rozporządzało prawie 30 głosami. Z obecnych wyborów wyniosło tylko 9 mandatów. Deputowani ci prawie wszyscy (7) są sasami i zaliczają się wśród saskiej ludności Siedmiogrodu do tak zwanego „stronnictwa niemiecko-ludowego.“ Jeden już tylko z deputowanych, wchodzących w skład stronnictwa narodowościowego (jen. Doda-Wołoch) ma na ustach jeszcze słowa jawnego buntu, co mu w błogosławionych Węgrzech wolno czynić bezkarnie i bez mandatu poselskiego; inni oświadczają obecnie w swych programach, że uznają państwo węgierskie i ugodę austro-węgierską, lecz walczą o specjalne przywileje narodowościowe, jak np. Sasi, albo też im idzie o przeróbkę organizacji administracyjnej, wedle statystyki narodowościowej. Te głośne zapewnienia nie ocaliły od upadku na arenie wyborczej takich heroldów walki jak pp. Polit lub Babesiu, którzy niegdyś w parlamencie węgierskim zapowiadali spotkanie rządowi węgierskiemu—pod Filippi; niektórzy zaś z dawnych przewodców stronnictwa, mający istotnie na

względnie pomyślność narodowości, cieszących się zresztą na Węgrzech pełnem uznaniem i posiadających równe prawa i szacowne instytucje. jako punkta oparcia prawem zapewnione, bez rozkładu politycznego lub społecznego państwa, weszli w skład wielkich stronnictw, i pod tym sztandarem utrzymali zaufanie wyborców.

Do czynników politycznych stronnictw węgierskich trudno jest zaliczać Chorwacyą lub delegacyą sejmu chorwackiego, jakkolwiek ona we wszystkich sprawach wspólnych bierze udział w pracach i postanowieniach parlamentu węgierskiego, ponieważ to, co się dzieje w Chorwacyi, wobec zasadniczych kwestyi bytu państwa Węgierskiego, będących podstawą ugrupowań stronnictw węgierskich, wcale na te ugrupowania nie oddziaływa; rząd zaś państwowy, któryby większość swą parlamentarną miał stale zawdzięczać 40 głosom delegacyi chorwackiej, nie jest możliwy — chociaż staćby się mogło, że klęska zadana gabinetowi w kwestyi zaufania, przy współudziale głosów chorwackich, spowodowałaby, jak każda inna, przesilenie gabinetowe, lub nawet parlamentarne. Z tego ostatniego powodu, jak również z przyczyny nowego faktu, który zaszedł przy ostatnich wyborach do sejmu chorwackiego, odbytych właśnie na krótko przed wyborami węgierskimi, winien jest wspomnieć także o wyborach chorwackich w stosunku do nowego parlamentu węgierskiego. Wybory te wypadły z niezmiernym tryumfem dla stronnictwa narodowego,“ czyli dotychczasowej większości rządowej w Chorwacyi: na 110 członków sejmu zagrzebskiego, „stronnictwo narodowe“ pozyskało 80 mandatów, dodawszy do tego 5 głosów wirylnych, widzimy, że ban i stronnictwo rządowe liczyć mogą na $\frac{3}{5}$ większości w sejmie. Aż do tego punktu—większej lub mniejszej większości w sejmie—jestto sprawa czysto wewnętrzna chorwacka, co wszakże ją czyni sprawą węgierską zarazem, to jest fakt nowy, że zwycięstwo odniesiono w tej chwili, gdy „stronnictwo narodowe“ wystąpiło poraz pierwszy z otwartym manifestem wyborczym, gdy wypowiedziało, że nie tylko stoi całkowicie na gruncie ugody chorwacko-węgierskiej, ale nadto że uznaje ideę państwa węgierskiego za swoją, i o nią oparte chce urzeczywistnić wszystkie dążenia narodowe. Z tym manifestem, wcale nie przewidywanym przez opozycyą chorwacką, wystąpiło do walki wyborczej „stronnictwo narodowe,“ i odniosło zwycięstwo takie, jak nigdy dotąd. Teraz dopiero można powiedzieć, że „biały arkusz,“ podany przez Deąka Chorwatom dla spisania ich życzeń, czyli ugoda chorwacko-węgierska zaczyna przynosić owoce. Wprawdzie dawne illyryjskie stronnictwo, niegdyś nadzieja narodowa chorwatów, zeszło dziś na grunt otwarcie panslawistyczny i stanowi pewne niebezpieczeństwo równie dla Chorwacyi, jak i dla całej monarchii, ale natomiast skończyła się epoka, w której pod pokrywką dążeń narodowych, przy uznaniu nawet Ugody chorwacko-węgierskiej za legalną, starano się jedynie o podkopanie niezawisłości Węgier, na czem najgorzej wychodziła sama Chorwacya i jej rozwój narodowy i autonomiczny. któ-

remu ze strony Węgier nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Stan taki, pomimo ugody stanowił ranę otwartą państwa węgierskiego, nie mogącego, mimo wszelkich ustępstw i poświęceń, znaleźć innego oparcia w Chorwacji, tylko pozorne i nieszczerze, któreby zawiodło i zawodziło w każdym krytycznym momencie. Jeżeli więc z jednej strony zwycięstwo, jakie odniosło „stronnictwo liberalne“ w Węgrzech, zabezpiecza rządzące stronnictwo węgierskie i gabinet od porażki, możliwój przy przechyleniu się delegacji chorwackiej do opozycji w parlamencie (260 bowiem głosów na 453 członków Izby deputowanych węgierskich (wraz z delegacją chorwacką) czyni większość niezależną od wspomnianego wypadku, i wychodzi na pożytek gabinetu Tiszy), to przyjęcie przez „stronnictwo narodowe“ chorwackie idei państwa węgierskiego za podstawę rozwoju narodowego chorwackiego, jest zamknięciem rany państwowej w Chorwacji, jest wielkim tryumfem Węgier w monarchii i wielką szansą dla ogólnej węgierskiej polityki.

Mówiąc o korzyściach odniesionych przez gabinet Tiszy w tych wyborach, wspomniałem pobieżnie tylko o największej zapewne z punktu realnej polityki, która atoli i kryje w sobie największe niebezpieczeństwo dla niego. Stan skarbu węgierskiego jest opłakany, a położenie pod względem skrabowym mało co lepsze od położenia w 1875 roku. Deficyt roczny wynosi jak wówczas 40 milionów guldenów, długi państwowe wzrosły do półtora miliarda—a jeżeli rząd na obronę swoje przytacza wielkie wydatki wojskowe i szerokie inwestycje dla podniesienia pomyślności ogólnej, jeżeli utrzymuje, że położenie znacznie się poprawiło, skoro dawniej przy wydatkach 230 milionów był deficyt 40 milionów, a dziś tenże sam deficyt zachodzi przy wydatkach 320 milionów i kredyt państwowy dotąd zachwiany nie jest, (złota renta węgierska utrzymuje się stale w granicach 102—103%), to nie mniej jest to faktem, że deficyt trwa nie zmniejszony, po zaprowadzeniu nowych i podniesieniu się starych podatków do sumy 20 milionów rocznie, że z deficytem 40 milionowym stałym iść naprzód niepodobna, ani go usunąć oszczędnościami choćby najskrupulatniejszymi bez dezorganizacji państwowej; gdy tymczasem każde wielkie ewentualne niepowodzenie naraża na katastrofę finansową, a sam kredyt jeśli zachwianym nie jest, łatwo zachwiać się może i przyspieszyć katastrofę. Cała ta ponura sytuacja finansowa została wytoczoną przed sąd wyborców. Rząd nie ukrywał wcale smutnych stron położenia, a jeżeli utrzymywał, broniąc położenia, że zasadniczą przyczyną złego stanu finansów są ugody finansowo-cłowe z Austryą, wspólność celna, potulnie i źle zawierane umowy i w ogólności zła polityka równie wobec Austrii jak i w monarchii, jeżeli utrzymywał, że wspólnością celną z Austryą, podczas ogólnego przesilenia zbożowego, chroni rolnicze Węgry od ruiny, a przemysł i dobrobyt krajowy pomimo tej wspólności rozwinął i nie ma przyczyny do przewidywania katastrofy, to z drugiej strony nie tań, iż naprawa skarbowa możliwą jest jedynie

przez powiększenie dochodów, czyli przez nowe powiększenie ciężarów publicznych, i że takiemu powiększeniu związku i ugody zawarte z Austryją nie staną na zawadzie. Sprawa była szeroko traktowaną, jak powiedziałem, na wszystkich polach wyborczych, a zwycięstwo rządowe w takich warunkach potęguje się przez to w znaczeniu swoim. Uchwalenie konieczności obłożenia się większymi ciężarami dla utrzymania kredytu narodowego i stawienia czoła wymaganiom chwili jest niezaprzeczenie tryumfem idei państwowej, i pozostanie chlubnym świadectwem patryotyzmu, gdy nawet opozycja prawopolityczna nie znalazła nic do zarzucenia olbrzymim wydatkom na armię wspólną, lecz przeciwnie, krytykując pod każdym względem użycie, przyznawała, że o powściągnięciu tych wydatków na teraz myśleć nie można i myśleć się nie godzi. Jest też podwójnym niejako zaufaniem do obecnego gabinetu, jeśli jemu, t. j. temu właśnie gabinetowi, który do podobnego stanu winą swoją czy bez winy doprowadził finanse państwa, większość narodowa wotuje upoważnienie do podniesienia ciężarów publicznych. Pod zwycięstwem i niezachwianą ufnością kryje się wszakże i niebezpieczeństwo dla gabinetu: zostały bowiem zaciągnięte przez gabinet pewne zobowiązania w obec wyborców i narodu. I tak: finanse krajowe muszą być uregulowane, a jednak inwestycje ekonomiczne niezbędne są dla podniesienia pomyślności ogólnej kraju, nie mają być powstrzymane podatki bezpośrednie, ciężące na produkcyi, nie mają być podniesione — ba, kandydaci — sekretarze stanu poszli nawet tak daleko w przyrzeczeniach poprawy, że ideę zaprowadzenia podatku właściwie dochodowego (income tax) w razie ostatecznym, ideę podniesioną przez p. Szélla, na którego kraj cały patrzy jak na największego znawcę finansów i źródeł finansowych Węgier, nazwali pomysłem zbytecznym i ideą szkodliwą. Wszyscy, nie wyłączając kandydatów ministrów, przyznawali konieczność większego wyzyskania podatków spożywczych, lecz podczas, gdy opozycja zarzucała większości, że skrupowawszy sobie ręce nową Ugodą finansowo-ekonomiczną z Austryją, czyniącą zgromadzenie podatków pośrednich zależnym od wspólnego porozumienia, nie można będzie podatków spożywczych wyzyskać, komisarze rządowi utrzymywali, że i bez zaprowadzenia granicy konsumcyjnej, źródła dochodów pośrednich dadzą się na wielką skalę wyzyskać. Zobowiązania te są ciężkie i trudne, ratunek finansowy nastąpić musi rychło — zaraz, gdy sprawa jawnie podniesiona i zapewne gabinet nie zamyka sobie wcale oczów na to, że niezaradzenie złemu w najkrótszym czasie, to jest zaprzestanie dalszego gospodarowania kredytami dodatkowymi i pożyczkami w czasach nie wojennych, albo też złamanie zobowiązań zaciągniętych przed wyborcami, prowadziłoby do upadku gabinetu wraz z systemem dzisiejszym.

Tryumf gabinetu Tiszy i „stronnictwa liberalnego,“ osiągnięty przez wybory, jest więc prawdziwie wielki, a pożytek ztąd dla monar-

chii niezmierny. Wydaje się Austria po tej nowej próbie na Węgrzech, a w przeddzień zawikłań europejskich, jak gdyby opartą o grunt państwa Węgierskiego, z którego się podnoszą ognie patryotyczne, przenikające starą i zasobną monarchią. Nie granit to nawet, ale r o c h e r d e b r o n z e, wytopiony w tym ogniu, bo naród, który obok „wojsk węgierskich“ w armii, stworzył drugą armią krajową, nie ustępującą pierwszjej i cieszy się nadto, że w czasie pokoju organizować może „pospolite ruszenie,“ przygotowując każdego obywatela na żołnierza, zastępuje na takie miano i przetrwa wszelkie burze i nawałnice.

Nieroztropnością więc najbardziej lekkomyślną, albo-li też podstępą hypokryzją, pod maską lojalności austriackiej, być tylko mogło wyczekiwanie przez pewne koła w Austrii powiniecia się nogi gabinetowi Tiszy i rządzącemu systemowi na Węgrzech przy wyborach do nowego parlamentu węgierskiego.

Co się wszakże nie stało przy wyborach, to stać się może i bez wyborów w normalnym niejako toku rzeczy: tylko, że, zdaniem mojem, mylą się grubo niezyczliwi, co do następstw takiego „powiniecia się nogi“ systemowi rządzącemu. Niepowodzenie polityki zewnętrznej, kompromitujące stanowisko mocarstwowe monarchii, przywiódłoby z pewnością gabinet pana Tiszy a z nim i system do upadku, boć prawo ugodowe i stanowisko polityczne dają mu środki wpływu na politykę zagraniczną, a naród, nie tylko większość rządząca lecz i opozycja, podejmuje dobrowolnie najcięższe ofiary dla podtrzymania właśnie tego mocarstwowego stanowiska monarchii. Jeszcze łatwiej niemal niepowodzenie finansowe może system obalić, boć pan Tisza, prowadzący prowizorycznie finanse, jak sam utrzymuje, nie jest finansistą fachowym, a jego podsekretarz stanu pan Waekerle, który przy wielkiej ścisłości i fachowości gruntownej, nie zdradził także dotąd wyjątkowej pomysłowości, mogą się tedy łądzić co do środków ratunku finansowego. — Przesilenie najostrzejszego rodzaju, dla którego nazwa przesilenia parlamentarnego byłaby czystym eufonizmem, jest więc zawsze możliwem i to w najbliższym rozwoju politycznym Węgier; tylko co do skutków jego dla Węgier i monarchii, tych obliczyć nie podobna na razie.

Przesilenie takie zachwiałoby niewątpliwie chwilowo kredytem politycznym i finansowym monarchii, bo dziś państwo Węgierskie stanowi podstawę gotyckiego jój gmachu. Przebieg przesilenia byłby również krytyczny, a dla Austrii kłopotliwszy zapewne niż dla samych Węgier. Koniec wszakże niewątpliwy, bo tam, gdzie naród chce ratować swoje państwo ofiarą prywatnego mienia, życia i wszelakich przekonań stronnicych—tam tylko dziesięćkroć przemożna siła zewnętrzna jest w stanie ratunkowi przeszkodzić. Rezultatem politycznym przesilenia węgierskiego dla monarchii, mogłoby być jedynie nowo jakieś ugrupowanie się stronnictw na podstawie systemu konstytucyjnego Węgier, przy którym wyschnąby musiały źródła dochodów państwowych

i rozwoju materialnego, wyptywające z umów austrowęgierskich i powiększonych atrybucji państwa Węgierskiego.

Wielkim byłoby więc błędem w rachunku polityki międzynarodowej Europy, gdyby ktoś liczył na słabnięcie sił monarchii Austrowęgierskiej: monarchia ta, krzepiąc się w swój nowój podstawie, silniejszą tylko stawać się może równie w regularnym biegu rzeczy, jak i po każdym przesileniu. W miarę zaś tego, jak proces jój przeobrażenia posuwać się będzie, będą ustępować wewnętrzne w niej sprzeczności i prostować się będzie jój polityka na zewnątrz. Proces to długi niezawodnie, obejmujący pokolenia całe, nadewszystko zaś powiązany ze wszystkimi niemal kwestyami równowagi europejskiej i dla tego mierzący swe stadya na kryzysy europejskie, a dojrzewający w konwulsjach światowego sił narodowych układu, jak to już rok 1866 wykazał. Dopóki wszakże zdrowe jądro monarchii zgwieconém nie zostanie, dopóki siła jej żywotna utrzymuje rozwój w kierunku, jaki tój monarchii został zaszczerpionym przez Ugodę węgierską, nie można o tём wątpić, że sformuje się z niej potęga ochronna dla cywilizacyjnego rozwoju wszystkich narodów wschodu europejskiego. Na teraz powiedzieć można, że monarchia Austrowęgierska, wskutek ostatniego odwołania się do ludu w wyborach węgierskich stanęła moralnie i politycznie silniejszą, i że na zewnątrz daje więcej rękojmi dla świata niż kilka miesięcy temu.

Nader szczęśliwym pomysłem cesarza i króla Franciszka-Józefa było wyprawienie swego utalentowanego syna do Galicyi.

Kraj ten o wielkiej przeszłości, stanowiący dzisiaj przedmurze Węgier, przejęty jest obecnie cały uczuciem homagiálnej lojalności dla cesarza i to we wszystkich warstwach swój ludności. Przekonaniem jest powszechném w Galicyi, nie podlegającym dyskusyi, że wszystkie dobrodziejstwa i zdobycze narodowe, któremi się cieszy, wszystkie instytucye narodowe, które posiada możliwość racjonalnego rozwoju organów życia publicznego, samo bezpieczeństwo osoby, a nawet pewność własności i swobodniejsze powietrze—wszystko to zawdzięcza Galicya jedyńie i wyłącznie wspaniałomyślnemu i dobremu monarsze obecnie panującemu. Uczucie to wezbrało tak wysoko, że prawie zaemiło energią wiary w siły i obowiązki własne, w nietykalność praw swoich, co jest wynikiem tego faktu, że społeczeństwo polskie, wykarmione na smutnych doświadczeniach, a przez to w nastroju ultrapessymistycznym, nie czuło się w żadnym względzie zabezpieczone na przyszłość; stronniczym zaś, zasadniczo nieprzyjaznym wpływom, zwalczającym się w monarchii, powiodło się przy takim usposobieniu zaszczerpić u polityków galicyjskich przekonanie, że młody i postępowy a energiczny następca tronu nie żywi dla jój mieszkańców tychże samych uczuć, co ojciec i nie przedstawia rękojmi ciągłości w rządach, że przeto z śmiercią cesarza skończy się w każdym razie dla niej obecny patryarchalno-łaskawy stosunek. Zbliżenie się w takim stanie rzeczy następcy tronu do kraju by-

ło wskazanem przez względy ogólnej polityki monarchii, że zaś zbliżenie przyszło tak prędko do skutku — i w terminieznaczonym, to trzeba poczytać za zasługę ludzi, kierujących w danej chwili nawą państwową pod poważnem berłem Habsburgów.

Młody książe cesarski, przy lojalnem nawskroś usposobieniu mieszkańców Galicyi, mógł być z góry pewnym najświetniejszego przyjęcia: co przemawia wszakże na korzyść jego samego i pożytku jego podróży to, że umiał wyzyskać, w najlepszem znaczeniu wyrazu, sprzyjające usposobienie, a podróż swą zamienił w pochód moralnie zdobywczy. Od pierwszej chwili, u granic kraju, ogłaszając, że jest dziedzicem usposobień i uczuć ojca dla kraju, otworzył sobie serca odrazu, jedynym talizmanem możliwym stworzył atmosferę, w której już wszystko przyjaźnie wyglądało, grunt zaś, na którym stanął, uczynił sprzyjającym dla swojego posiewu przez pokłon oddany „przeszłości.”

Posiew to nowoczesny i praktyczny przedewszystkiem, lecz tem nie mniej szlachetny i jeśliby dojrzał należycie z pewnością nikt z uprawnionych na nimy nie stracił. Ciekawem pod tym względem byłoby zregestrowanie wszystkich przemówień publicznych arcyksięcia Rudolfa od Krakowa do Sniatynia. Wszędzie, we wszystkich momentach celnych jego podróży, trzy tylko przebijają motywa i trzy brzmia hasła ponad konwencyonalne monarsze formuły i uczuciowe wylewy: wzajemne szanowanie i uznawanie praw ludności i korony, przy pielęgnowaniu cywilizacji i tradycji narodowych, jako pożądanego i istotnego węzła kraju z monarchią;—postęp pod względem kultury kraju w obydwóch narodowościach (misja cywilizacyjna);—wreszcie zgodna wspólna praca obydwóch narodowości dla kraju a przez to i dla monarchii.—Oto te trzy motywa i hasła, które brzmią wciąż i wciąż przez całą podróż, coraz z większą siłą w miarę posuwania się na wschód i ku końcowi wyprawy— aż w przemowie do lwowskiego uniwersytetu: „nie zapominać panowie, że jesteście najdalej prawie wysuniętą na wschód pochodnią cywilizacji” brzmią już jak fanfara, być może i z tego powodu, że są odpowiedzią na przemowę niezmiernie lojalną, lecz nader skromną co do treści i rozmiłowaną w terażniejszości rektora lwowskiej almae matris.

Galicya ani poczuła, jak się znalazła w całkiem nowej sytuacji po tej manifestacji uczuć lojalności i przywiązania, upragnionej i wydającej się jej arcy-naturalną. Same nawet przewidywania polityczne popularne i rozumowania jej polityków będą się musiały mienić odtąd, wskutek faktów dokonanych i wskutek zadzierzgniętych nowych węzłów, a zmiana ta wyjdzie całkowicie na korzyść monarchii i jej stanowiska. Gdyby zaś w tym kraju była wiara w siebie i ufność w swe prawa i siły przyrodzone — u obu narodowości, podróż cesarzewicza możnaby nazwać zarazem krokiem naprzód w ogólnym postępie politycznym i w historii tego kraju.

Niestety wśród homagialnych prezentacji wszelakich stanów,

wyznań, profesyi, narodowości i osobliwości nie dało się nigdzie spozstrzedz krajowej syntezy i nie było też widać nigdzie sejmu galicyjskiego, czyli jedynej legalnej reprezentancyi kraju, a sam tylko marszałek krajowy, przewodniczący sejmu i naczelnik wydziału krajowego figurował wszędzie, jako naczelny reprezentant i mówca sejmowy. Przy zapomnieniu o sejmie, bolesném tylko dla samych krajowców, uderzyć musiało bystrego i nowoczesnego księcia następcę tronu Austrii, zatarcie przy podobnej absencyi i bytu koła polskiego w austriackiej reprezentacyi, chociaż pan Smolka, prezes Izby deputowanych Rady państwa, wszędzie był obecnym — nazywam zatarciem, gdyż wice-prezes Koła, zastępujący w Wiedniu chorego prezesa, był obecny przy licznych okolicznościach i w rozmaitym charakterze, tylko nie w charakterze przewodniczącego galicyjskich deputowanych. Gdy przy poruszeniu mas stutysięcznych, jeśli nie milionowych i przy wylewie uczuć, jakiego w tym kraju od lat nie widziano, przedstawia się wszystko w stanie analizy politycznej, nie można twierdzić, żeby istniała rękojmia, iż sam organizm krajowy przerobi w sobie i dla siebie wrzucone weń nasiona zdrowe podczas głębokiego poruszenia, czyli, że wizyta księcia cesarskiego i królewskiego w Galicyi, która stworzyła nowe węzły między jej ludnością i monarchią, będzie zarazem krokiem naprzód w rozwoju tego kraju, błogostawionym dla niego samego i jego dziejowego posłannictwa.

Rękojmi tej nie ma, ale się znaleźć może, gdy tak zechcą roztropni przywódcy obydwóch narodowości, bo kraj ten poniewolnie a raczej przez wylew własnych uczuć lojalności, stał się nieodwołalnie żywym przedmurzem i przednią placówką monarchii. To swoje powołanie coraz on mocniej poczuje; a tymczasem monarchia i na tym punkcie stoi wzmocniona wobec otwierających się kwestyi— austro-węgierskich na Wschodzie.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Starosta Zygwulski przez Adama Krechowieckiego. Lwów,
1887.

I.

Historyczne powieściopisarstwo wymaga oprócz niemałych studyów dziejowych ogólnych i poszczególnych, znajomości zwyczajów i obyczajów danej epoki, kraju i opisywanych miejscowości, dużo pomysłowości, dużo zapału dla idei, przenikających daną epokę, kombinacji ducha faktów pojedynczych — tudzież niepośledniej łatwości literackiej. Należałoby tedy sądzić, że p. Adam Krechowiecki, przystępując do napisania takiego utworu, czuł się na siłach do sprostania temu zadaniu, a chociażby nawet i nie był pewien tego, iż powieść jego odpowie wszystkim wymaganiom, to powinien był w każdym razie być panem głównego zadania, mianowicie: historii danej epoki, charakterów przedstawianych osób i dokładnej znajomości miejsc opisywanych, miarkując twórczość fantazji swojej okolicznościami faktów, gdyż inaczej czytelnika nie tylko niczego nie uczy, lecz nadto w błąd wprowadza.

Wiadomą jest rzeczą, że w literaturze naszej stosunek powieści do dzieł naukowych jest taki, że się chętniej bierzemy za powieść, niż za dzieło naukowe. Powieść dla każdego jest rozrywką ponętą i chyba tylko wyjątkowo, umysł nierozwinięty lub w pewnym fachowym kierunku pracujący, rozrywką tą gardzi. Otóż z uwagi na te okoliczności powieściopisarze nasi, jak J. I. Kraszewski, T. T. Jeż, Z. Kaczkowski, Henryk Sienkiewicz i i., niemałe zasługi położyli, popularyzując znajomość dziejów naszych w formie powieści historycznych.

W miarę rozbudzającego się zamiłowania do czytania, zamiło-

wanie to rosło i potężniała poczytność powieści, która wstąpiwszy do pokojów naszych sióstr i córek, weszła do buduaru pań, do gabinetu panna, do pracowni artysty lub rzemieślnika, do warsztatu i garderoby, rzucając różnokolorowe promienie swego światła i pojęć, kształcąc umysł i uszlachetniając ducha. Obok zalet, jakie powieść posiada w ogólnie cywilizacyjnej pracy, zaprzeczyć nie można, że ma ona i strony ujemne, które szerzą zarazę moralną, głęboko wkorzeniającą się w umysły nieoświecone i nierozwinięte, które łapczywie pochłaniają takie powieści jak Borna, Gaboriou, Timmego i t. d. Powieść, a mianowicie historyczna, nie jest pozbawioną znaczenia pedagogicznego, bo wypełnia choć w części to, co zaniedbano w przeszłości, tém bardziej, że obecna nasza historyografia nie zaspakaja potrzeb wychowawczych naszego społeczeństwa. Powieść historyczna więc uczy i jest pożyteczną; lecz w takim tylko razie, jeżeli fakta w niej przedstawione są zgodne z prawdą, przekazaną nam przez dzieje, jeżeli dane pole działalności, zwyczaje, obyczaje i pojęcia są wiernie przedstawione, wedle źródeł, rzucających jasne i wyraźne światło na daną epokę. Lekceważenie tych kardynalnych podstaw powieści historycznych, a nadto pozostawienie faktów i opisów danych miejscowości na łasce bujnej fantazy piszącego — jest błędem i to niepośledniej natury, bo w takim razie powieść szerzy fałsz, który głęboko wdraża się w umysł przeciętnego a mniej wykształconego czytelnika, który cały zasób swój wiedzy czerpie w beletrystyce, jako przystępniej jego umysłowi.

P. A. Krechowiecki, pisząc „Starostę Zygwulskiego” miał na myśli jedynie wysnucie efektownego obrazu na temat historyczny, nie troszcząc się bynajmniej o to, czy opisy są zgodne z prawdą i czy tym sposobem zamiastu czyć, nie szerzy fałszu.

Od powieściopisarza historycznego nie można żądać, aby był historykiem tego pokroju co Naruszewicz, Lelewel lub Kalinka, lecz wymagać należy stanowczo, aby faktów historycznych nie przekręcał i nie fałszował, a nadto: aby ile możliwości szedł za najświetlejszymi rezultatami badań historycznych.

Powieściopisarz historyczny nie powinien tworzyć rzeczy nie bywałych. Toż samo odnosi się i do osób działających, których przygody, występujące w powieści, historycznie stwierdzić trzeba, a nawet głównej chwili działalności pod względem chronologicznym fałszywie wskazywać nie można. Byłyby to fałsze, których nie można wybaczyć powieści historycznej, od której żądamy czegoś więcej aniżeli samej tylko mniéj lub więcej zręcznie przeprowadzonej fabuły powieściowej. Samo zacytowanie nazwisk i faktów historycznych oraz przeprowadzenie akcyj na podstawie jakiegoś epizodu historycznego, stanowczo nie nadaje takiej powieści prawa do nazwania jej historyczną. Od powieści historycznej wymagamy aby nie tylko bawiła, lecz nadto i uczyła.

Czy tym warunkom p. Adam Krechowiecki odpowiedział?

Tom I Starosty Zygwulskiego stanowi niejako prolog do właściwej opowieści, przez co powieść p. A. Krehowieckiego sprawia wrażenie pracy, nie zupełnie wykończonój, a raczej nagle i zbyt pośpiesznie ku zakończeniu popchniętj. Zbyt długi wstęp, w którym autor opowiada, co się działo na lat kilkadziesiąt przed chwilą, w której opowieść jego się zaczyna, nie odpowiada rozmiarom samj opowieści.

R. 1605 do Lublina przybył przez nikogo prawie nieznanj Jan Szornel Dołęga, rotmistrz królewski, dziewięćdziesięcioletni starzec, który zamieszkał u Wojciecha Żegoty, mającego swój dworek wśród posiadłości Mikołajaj Stawskiego, cześnika chełmskiego, Jakóbowskich, Dąbrowskich i innych, którzy zaintrygowani tajemniczą postacią Szornela i jego nocnymi wycieczkami na cmentarz, poczęli go śledzić i sądzić o różne heretyckie praktyki. Raz też w noc ciemną i burzliwą całą kupą pociągnęli za Szornelem. Nie dowiedziawszy się niczego jednak ruszyli z odwrotem, gdy oto Szornel, opuściwszy także cmentarz padł zemdlony. Stawski i Brzechwa pośpieszyli mu na pomoc — i otrzeźwiwszy go, zanieśli do dworku Żegoty, gdzie Szornel, oprzytomniawszy zażądał księdza i po spowiedzi opowiedział obecnym, że miał syna, którego Mateusz Stadnicki, pan na Dubiecku, z którym żył niegdys w wielkiej przyjaźni, porwał i wychował w herezy — że syna wyklął, gdy nie chciał wrócić na łono religii prawowitj — i że tēm wszystkiēm tak jest zgnębiony, że teraz umiera. Gdy konający kończył opowiadanie swoje, do dworku Żegoty, mającego córkę Reginę, ulubienicę Szornela, wpadł przyjaciel i towarzysz Stanisławaj Stadnickiego Dyabła, znany pod nazwą rycerza Dołęgi — szukając uchodzących przed nim dworzan Łukasza Opalińskiego. Przybyły, ujrzawszy Szornela konającego, padł u łóża jego na kolana i Szornel z radością poznał w nim syna swego, a uściskawszy go błogostawiacz skonał. Po oddaleniu się Dołęgi i zarządzeniu przez niego pogrzebu, przyjaciel zmarłego, Żegota, opowiedział Stawskiemu i Brzechwie, całe jego życie. Z opowiadania tego, stanowiącego niejako drugą powieść w powieści, której bohaterem jest Dyabeł Stadnicki, Stawski i Brzechwa dowiedzieli się jak nieszczęśliwym był zmarły Jan Szornel. Przyjaciel i druch młodości Mateusza Stadnickiego, pana na Dubiecku, któremu w pewnej wyprawie na tatarów życie uratował, mimo, iż Mateusz stał się heretykiem i otoczył się Aryanami i mimo, że był wyklęty przez biskupa Przemyskiego, to jednak ciągle przebywał przy nim, mitygując go uieraz w jego szaleństwach i gniewie, którym wybuchał. Druga żona Mateusza „błądzą panią” zwana, opiekunka Zofii Wołczkówny, podstolanki chełmskiej, w której Jan Szornel się kochał i z którą się ożenił, powiła r. 1553 upragnionego potomka, którego Mateusz pod żadnym pozorem chrzcic nie pozwolił, chcąc, aby był ochrzczony dopiero w dojrzałym wieku nie jako papista, lecz jako antitrynitarz. Postanowienie to gnębiło straszliwie „błądzą panią,” która ubłagała Jana, iż sprowadził potajemnie nocą księdza katolickiego, który dziecko ochrzcił, lecz w chwili těj Mateusz powiado-

miony o tém, co się dzieje, przez Wretskiego, wroga Szornela, wpadł do komnaty swęj małżonki i Szornela, zastaniającego sobą dziecko i księdza, dopełniającego obrządu chrztu, ciął w rękę, tak iż odciął mu cztery palce, przyczém krew zalała dziecko, które ojciec od matki porwał, mianując je „dyablem.” Mateusz w najwyższym będąc uniesieniu poprzysiągł wtedy, że kiedy Jan syna jego chciał zrobić papieżnikiem — to on jego syna zrobi znouu aryjaninem. Jako téż niebawem potém synek Szornela, imieniem Jerzy, został gwałtem porwany pod niebytność Jana w domu i uwieziony do Węgier, gdzie go oddano pod opiekę i na wychowanie Blandrata, który był zarazem i wychowawcą Stanisława Dyabła, syna Mateusza. Po wielu latach umarła Szornelowi żona, on sam zaś kilkakrotnie spotykał się z synem, zaciętym aryjaninem, wielkim przyjacielem i towarzyszem „Dyabła,” z którym i na chwilę się nie rozstawał, a który napomnień ojca, nietylko że nie słuchał, lecz nadto im urągał. Po latach wielu, Jerzy zobaczył ojca na łożu śmiertelném, a obok niego i Reginkę, mającą zamiar wstąpić do klasztoru.

Dyabeł, który od dłuższego już czasu był w zażartej walce z Łukaszem Opalińskim, sąsiadem swoim, przybył teraz do Lublina celem porozumienia się z szlachtą dla obalenia tronu Zygmunta III, w czém liczył na pomoc Sebastyana Niezabitowskiego, mającego wielki mir u panów braci. W Górce téż u panów Niezabitowskich odbywały się liczne zjazdy i narady, po których Dyabeł z chorążym Sebastyanem zjechał do Lublina, aby czasu kadencyi trybunałskięj szlachtę dla swęj sprawy kaptować, aczkolwiek chorąży Niezabitowski był temu przeciwny i stawiał opór. W skutek tego przyszło do nieporozumień i zerwania z chorążym — a Dyabeł, podniecony przez to straszliwie, napadł na Opalińskiego, będącego pod ten czas w Lublinie i zaprzysiągł mu odwet za zrządzone jakoby krzywdy. Po śmierci Jana Szornela, Jerzy syn jego oddał się z Lublina, opuszczając na czas pewien Stadnickiego, a dziękując Żegocie za opiekę i przyjaźń, jaką okazał ojcu jego — prosił, aby Reginka chciała o nim pamiętać i za niego się modliła.

II.

Zakończywszy tom pierwszy sceną spotkania Dyabła z Opalińskim przed gmachem trybunałskim w Lublinie r. 1605, autor w drugim tomie cofa się do chwili, w której po śmierci Stanisława Mateusza Stadnickiego, małżonka jego zajęta była wychowaniem dwóch młodych synów: Marcina i Andrzeja. Tegoż jeszcze roku, bo 1568 (?), zaraz po śmierci ojca, Stanisław Dyabeł wraca do Dubiecka, wedle słów autora „dorosłym młodzieńcem,” gdy tymczasem wedle obliczenia jak najprostszęj natury ów „dorosły młodzieńiec” nie liczył więcéj pod tę porę nad lat 15-cie — i poznaje tu Hannę Pilecką, wychowanicę

jego matki, w której zaczyna się kochać szalenie! Stanisław, od młodu będąc ducha burzliwego, w obec panny jest pokornym i uległym. Niedługo jednak zabawił w domu „Dyabeł,” bo ruszył wnet na wyprawę, licząc lat 24, w czasie której r. 1577 z Janem Zborowskim walczył pod Tczewem i Gdańskiem, dokazując cudów waleczności już jako rotmistrz królewski. Po wyprawie tej, wróciwszy do Dubiecka, okazał się gwałtowniejszym niż był przedtém; wybuchy te jednak łagodzieć umiała drobna rączka Hanny, przeznaczonej przez Mateusza, zmarłego ojca Stanisława, na jego małżonkę, a która, mimo wpływu, jaki na Dyable wywierała, drażniła go swą obojętnością. Roku 1579, gnany żądzą nadzwyczajnych czynów, Stanisław na czele świetnego pochodu ruszył na wyprawę moskiewską, zaprzysięgając Hannie, iż, gdyby go nie miłowała, to stanie się winną srogiego nieszczęścia i że wtedy przed żadną zbrodnią się nie cofnie. Podczas tej wyprawy powaśnił się z hetmanem Zamojskim, który wymagał karności i posłuszeństwa, i od tej chwili Stanisław nienawiścią zapłonął ku hetmanowi. Po bitwie pod Zawołoczem doszła do Stanisława wieść, iż matka jego żywot zakończyła. Przeraziło go to wielce, témbardziej, że nie wiedział, co się dzieje z Hanną. Pospieszył więc do Dubiecka; Hannę zastał wielce zmieioną i zamieszkałą w Tyczynie jej majątności, pod opieką krewnej Korniaktowej. Mimo, że Hanna wzbroniła na czas załoby przystępu do siebie Stanisławowi, to tenże, chcąc być bliżej niej, nabył dobra Łańcuckie i tam zamieszkał. Nadeszła tymczasem wyprawa Pskowska i Stanisław ruszył, pozostawiając list do Hanny, w którym oświadczył, iż idzie raz jeszcze krew przelewać za ojczyznę, byle cel upragniony osiągnąć za powrotem do kraju. Pod Pskowem wraz z przyjacielem i druhem swoim, Jerzym Dołęgą Szornelem, dokazywał cudów waleczności, które i Zamojskiego i ojca Jerzego w zdumienie wprawiły. Mimo to jednak przyszło do starcia między Stanisławem i Zamojskim, który czynił mu wymówki za jego samowolę i niekarności. Po spełnieniu wyroku sądu wojennego na Wścieklicy za to, iż był nieposłuszny rozkazom hetmana, Stadnicki srodze rozgniewany na Zamojskiego wraz z Dołęgą, opuścił obóz i z początkiem 1582 r. podążył do Łańcuta, zkąd pospieszył do Tyczyna. Lecz tu nie zastał już Hanny, która tymczasem, ulegając namowom Korniaktowej i zabiegom Kostków, wyszła za mąż za Kostkę, starostę kościerzynskiego. Rozszalały i rozwścieczony tą wieścią Stadnicki, dworzec Tyczyński, i całą włość zamienił w kupę popiołów, mordując kto tylko popadł mu w rękę. Toż samo uczynił i z Korniaktowem, gdzie przesiadywał powinowaty Korniaktowej, niejaki książę Marcin Kozieka, który wśród ogólnego popłochu i zamieszania z paru tysiącami dukatów w trzosie, umknąć zdołał. Wróciwszy do Łańcuta zabawił tam zaledwo dzień jeden i zaraz z Dołęgą pomknął na Węgry, gdzie jak „serdeczny junak“ walczył z turekami. Od czasu do czasu zjeżdżał do Łańcuta w otoczeniu zbrojnej drużyny, drwiąc sobie z srogich

wyroków, jakie nań zapadły za spalenie i zburzenie Tyczyna i Koroniakowa. Każda taka bytność Stanisława w Łańcucie nacechowana była nowym gwałtem, nowymi zbrodniami, na co sumienie Dołęgi nie raz się oburzało i dręczyło go srogimi wyrzutami, mimo czego jednak nie miał siły zerwać węzły przyjaźni, jakimi z Stanisławem był związany. Sypały się też kondemnaty za kondemnatami, które Stanisław odpłacał nowemi najzdamami na posiadłości Hanny lub sąsiednie starostwa leżajskiego.

Stadnickiego gniewało niezmiernie, że Opalińscy żyli w łaskach królewskich i że równie Łukasz, starosta leżajski, jako też Piotr i Andrzej, zaszczytzeni byli koronnemi dostojenstwami, żadnych czynów bohaterских nie dokonawszy,—a on mimo swęj waleczności i krwi przelanej, niczém wynadgradzany nie był. Największą nienawiść czuł do Łukasza, który jako młodzieniaszek był już starostą leżajskim i dnia pewnego, gdy Łukasz, wróciwszy z zagranicy w otoczeniu świetnego pocztu objeżdżając swe starostwo dotarł aż pod Łańcut, napadł go i zmusił do ucieczki. Nie skończyło się jednak na tem, bo od dnia tego poczęły się ciągłe najazdy i napady na dobra leżajskie. Tak trawiąc życie Stanisław doczekał się roku 1586, w którym Stefan Batory zeszedł ze świata. Na wieść o śmierci króla, Stadnicki z liczną drużyną znikł z Łańcuta i nieślazou już o nim więcéj aż się pojawił pod Wolą na polu elekcyjnym, zkąd, wyprawiwszy straszną burdę, w czasie której zabitym został kanonik Brzeziński, uciekł do Łańcuta a ztąd po dokonanej już elekcji, jak wichher pognał na Szląsk, łącząc się z Zborowskiimi i Górką, celem poparcia arcyksięcia Maksymiliana. Pod Krakowem rozbitý przez Zamoyskiego ledwo że z Dołęgą uszedł z życiem. Pod Byczyną zaś zmuszony był sromotnie uchodzić z pola walki, ścigauy przez pogoń hetmana. Po poddaniu się Byczyny, Stadnicki osiadł na Szląsku w Zieniatyczach u Sambora Ziemeckiego, który miał córkę Hannę, również urodziwą jak i Hanna Pilecka. W rok przeszło po byczyńskiej batalii, który to czas Stadnicki spędził beczynnje w Zieniatyczach, doszły doń wieści z kraju, że Hanna z Pileckich owdowiała. Wysłał też niezwłocznie listy—jeden do Górki, drugi do Hanny, oczekując niecierpliwie odpowiedzi, a gdy ta nie nadchodziła postanowił osobiście upomnieć się o nią i w tym celu wysłał Jerzego Szornela na Węgry, aby dopełniwszy werbunku junaków, przybył z nimi co rychléj. Po odjeździe Jerzego, Stanisław rozchorował się straszliwie i Hanna Ziemecka pielęgnowała go, coraz większą ku niemu miłością pałając. Ciężką i długą była choroba Stanisława i gdy się z nięj już podźwignął wtedy nadeszła odpowiedź od Górki, która wiele go ucieszyła. Z przybyciem Jerzego z Węgier, gdzie się był spotkał z ojcem swoim, Stanisław oznajmił mu, iż jak to pisał Górka, król, przebacząc wszystkie winy, wzywa go na swe gody weselne, a przy téj sposobności napomknął mu o Hannie Ziemeckiej... że uczciwą mogłaby być żoną i matką dzielnych i zdrowych synów... przytém dał do zrozumienia, że nie myśli pozostać wieczyście w beżeństwie, dla tego, że tamta go zdra-

dziła. Niebawem Stanisław z Jerzym i dwoma pacholikami poprosiwszy Hannę, by pamiętała o nim, gdyż niebawem znów powróci i o dobre słowo prosić ją będzie—ruszył do Polski, wystawszy Sabatánów do Łańcuta. Przybywszy do Krakowa na zaślubiny królewskie i zasiągnąwszy języka, dowiedział się o walce Zamoyskiego z królem i w tem upatrzył pole do swego działania w nadziei, iż nad nienawistnym sobie Zamoyskim odniesie zwycięztwo. Równocześnie dowiedział się także, iż Hanna z Pileckich jest w klasztorze panien Dominikanek i że o jej rękę czyni zabiegi Łukasz Opaliński. Wiadomość ta strasznie wzburzyła Stanisława, który zażądał rozmowy z Hanną — na co się ona zgodziła. Rozmowa Stanisława z Hanną wypadła bardzo niepomyślnie, bo Hanna odepchnęła go od siebie — i Stanisław na jutrz opuścił Kraków, osiadając w Łańcucie, z kąd nowe napady szcególniej na Leżajsk się rozpoczęły. I znów posypały się infamie i banicye, z których Dyabeł śmiał się i uragał. Ta ciągła walka jednak, to szamotanie się z prawem i swemi wrogami sprawiły, iż Stanisław dnia pewnego z Jerzym podążyli na Szlążk, gdzie Stanisław oświadczył się o rękę Hanny Ziemeckiej i w parę tygodni połączył się z nią węzłem małżeńskim. Z śmiercią Zamoyskiego, Stadnicki, który przedtem jeszcze Łańcut oddał w zawiadywanie Dołędze Szornelowi, zachęcony przykładem buntu Bocskaja, postanowił porozumieć się z Gabryelem Batorym, aby połączywszy się z rokoszami Zebrzydowskiego, zdetronizować Zygmunta i uterować Gabryelowi drogę do tronu. W trakcie tego, król konferował mu starostwo Zygwulskie, które przyjął nie jako łaskę, lecz dla tego, aby syn jego wiedział jak krwawe zasługi ojca były nagradzane. Stanisław ruszył też do Polski, by jednać sobie stronników w celu przeprowadzenia powziętego raz zamiaru i w tedy przybył do Lublina, jak to nam wiadomo z wstępu do tej powieści, o którym autor powiada, iż działo się to jesienią 1605 roku, — tu zaś pisze: „jakeśmy to już widzieli w początkach roku 1606!!!”

Wszystko, cośmy dotąd w skróceniu jako treść omawianej powieści podali, jest przygotowaniem do opowieści, która teraz zacząćby się powinna, a która faktycznie zawarta jest na 48 stronicach, będąc raczej gawędą bezładną, a bynajmniej o powiadanie powieściowém.

Podczas gdy, Stadnicki przy pomocy Kozieki podburzał szlachtę do rokoszu, Jerzy Szornel opuścił Łańcut i zjechał do Lublina, gdzie, nie mogąc znaleźć spokoju i chcąc zmazać swe winy, idąc za wzorem i radą Reginki, córki Żegoty, która wstąpiła do klasztoru, również wstąpił do zakonu Jezuitów. O czém dowiedziawszy się Stanisław „Dyabeł” straszliwie się rozgniewał. Po bitwie pod Janowcem, Stadnicki osiadł w Łańcucie i nie brał już udziału w bitwie Guzowskićj, lecz za to wiódł ciągłą wojnę na własną rękę z Łukaszem Opalińskim, przyczém z Gabryelem Batorym ciągle się znosił. Gdy już miarka czynów jego się przebrała, Opaliński, biorąc odwet za spalony Leżajsk napadł z nienacka na Łańcut spalił i zburzył go, zmuszając „Dyabła” do ucieczki. Teraz starosta Zygwulski osiadł w Woju-

tyczach, rozmyślając nad t \acute{e} m, jak wzi \acute{e} ć odwet na Opalińskim. Wśród tych rozmyślań, Kozi \acute{e} ka doniósł mu, iż Doł \acute{e} ga jako zakonnik wracając z jeńcami wykupionymi z niewoli znajdował się niedaleko w Rybotyczach i że można go łatwo pojmać i do Wojuty \acute{c} z dostawić. Stadni \acute{c} ki, po krótkim namyśle polecił Kozi \acute{e} ce, aby Doł \acute{e} gę pojmał i stawił przed nim. W chwili t \acute{e} j jednak gwardya Jarostawska, księżn \acute{e} j Ostrogski \acute{e} j, okrążywszy Wojuty \acute{c} ze uderzyła na dworzec i blokhausy. „Dyabeł” skoczył do obrony, w \acute{p} ierw jednak oddał do r \acute{a} k Kozi \acute{e} ki pismo zapieczętowane z poleceniem, aby jeżeli zginie wręczył je Doł \acute{e} dze. Była to ostatnia jego wola. Kozi \acute{e} ka, czyniąc zadosyć woli starosty, wymknał się niezwłocznie — a parę chwil później zawrzała straszna bitwa, w której Stadni \acute{c} ki cięty w szyję padł śmiertelnie ranny.

Ciało ciężko rannego starosty złożono na tapczanie w chacie: nad ranem u tego łoża stanął O. Jerzy, któremu Kozi \acute{e} ka doręczył już był testament starosty. W objęciach też dawnego drucha swego, Stanisław zakończył życie.

Na t \acute{e} m kończy się gawęda, powieścią historyczną nazwana.

III.

Poznawszy treść powieści, pytamy się: czy autor dopełnił wszystkich warunków, jakie cechują powieści historyczne. Autor „Starosty Zygwulskiego” myli się, czyniąc ojcem Stanisława zwanego „Dyabłem” Stadni \acute{c} kiego starosty Zygwulskiego: Stanisława Mateusza dw. im. pana na Niedźwiedziu, kiedy nim był Marek ze Żmigroda, dziedzic na Dubiecku i Niedźwiedziu, ożeniony z Barbarą z Zborowskich, z którą prócz Stanisława „Dyabła,” ur. r. 1553 miał jeszcze trzech innych synów, a nie dwóch jak to p. A. K. pisze, a mianowicie: Jana, Andrzeja i Marcina kasztelana Sanockiego, dziedzica na Niedźwiedziu. Dalej tenże starosta Zygwulski Stanisław „Dyabeł,” napadłszy na Leżajsk pojmał Opalińskiego Łukasza, a nie Korniakta i osadził w więzieniu Łańcuckim, zkąd dopiero na wstawiennictwo króla wypuścił. Opaliński zaś, wetując swe krzywdy r. 1610 napadł na Wojuty \acute{c} ze, które spalił. Dnia zaś 14-go sierpnia r. 1610, „Dyabeł” wyruszywszy jak na wojnę przeciw wojskom Opalińskiego i księżn \acute{e} j Ostrogski \acute{e} j, pod wsią Tarnowcem oskrzydłony przez te wojska, w bitwie którą stoczył w kark postrzelony, a nie cięty, poległ na placu boju. Dalej: Jan Szornel herbu Doł \acute{e} ga w r. 1528 rotmistrz a później pułkownik królewski, od r. 1550 aż do r. 1605 we wszystkich potrzebach mężnie stawał i przez hetmana Zamoyskiego był wielce szanowany i kochany, zeszedł zaś z tego świata w r. 1628 mając lat 91, — a nie roku 1605. Syn tegoż, Jerzy, był sędzią ziemskim lubelskim, autorem dziełka „Poriophemia” i umarł r. 1677 w Lublinie, gdzie też w kościele OO. Jezuitów pochowany został. Inny to Jerzy, jak się zdaje wnuk Jana, a syn Jerzego sędziego, będąc Jezuitą i misyonarzem w Tataryi, był rektorem jezuitów w Kamieńcu Po-

dolskim, z niewoli tureckiej wielu jeńców polskich wykupił i r. 1702 życie zakończył. Widzimy więc z tego, że ów Jerzy Szornel, o którym pisze p. A. K., jest osobistością wysnioną przez autora,—i niema nic wspólnego z synem i wnukiem Jana Szornela, rotmistrza królewskiego. Przypuściwszy nawet, że Jerzy, o którym pisze p. A. K. był synem Jana i urodził się r. 1565 jak to autor „Starosty Zygwulskiego“ domyślać się każe, mówiąc, że licząc lat dwa r. 1567 „z kołyski“ porwanym był przez Wreńskiego, to w takim razie sędzia ziemi Lubelskiej, umierając roku 1677, liczyłby lat 112. Jezuita zaś umierając r. 1702 liczyłby lat 137!! Zachodzi więc teraz pytanie: o jakim to Jerzym Szornelu pisze p. A. K., bo o ile przekonujemy się z różnych dokumentów, to w rodzinie Szornelów niebyło ani jednego Jerzego, który by był najpierw rotmistrem król. a następnie jezuitą. Jerzy Szornel Dołęga, sędzia lubelski, którego ciało spoczywa w podziemiach dawnego kościoła w Lublinie, posiadał Popkowice w Urzędowskim powiecie, był więc ziemianinem województwa lubelskiego i umarł r. 1677; rotmistrem zaś nigdy nie był i r. 1605 był niewątpliwie jeszcze dzieckiem, liczącem lat 5 lub 10 najwyżej! wskutek tego ani przyjacielem, ani długoletnim towarzyszem Stanisława Stadnickiego nie był i być nie mógł. Idźmy dalej: autor „Starosty Zygwulskiego,” jak to wyżej wykazaliśmy, robiąc Mateusza ojcem „Dyabła” (który to Mateusz mówiąc nawiasem wcale nie istniał) każe mu umierać r. 1568, gdy tymczasem ów wrzekomy Mateusz a właściwie *Stanisław ze Żmigroda* pan na Dubiecku *kasztelan przemyski*, arianin wyklęty 1601—1607 r. przez biskupa przemyskiego Pstrokońskiego, a nie Dziaduskiego, napastnik Drohojewskich i Herburtów, a nakoniec i marszałek tryb. koronnego (r. 1608) umarł bezzennie i bezdzietnie r. 1611 w obozie pod Smoleńskiem. Jan Dziaduski, biskup przemyski, o którym pisze autor, że rzucił kłatwę na ojca Stanisława Dyabła, a więc na Marka, na stolicy biskupiej zasiadał od r. 1545—1549 i tegoż roku umarł, kłatwy więc na Marka, czy Mateusza, rzucać nie mógł i nie rzucał. *Pstrokoński* to, a nie Dziaduski rzucił kłatwę lecz nie na ojca „Dyabła” to jest jak autor pisze „na Stadnickiego i innych, którzy napadłszy Drohojewskiego Jana starostę przemyskiego,” stoczyli bitwę na cmentarzu katedry przemyskiej podczas której Drohojewski poległ, ale na Stanisława ze Żmigrodu pana na Dubiecku *Kasztelana* na przemyskiego i marszałka trybunału.

Stanisława „Dyabła“ Stadnickiego po raz pierwszy spotykamy w Lublinie r. 1606, gdy w czerwcu przybył na zjazd, lecz wtedy żadnych gwałtów się nie dopuścił, dokonał ich szczęśny Herburt r. 1607, który poważniony z „Dyabłem“ na podtrzymanie swęj sprawy ściągał podatki i wpadłszy do Lublina zajął miasto, i na kupcach wymógł znaczny okup. P. K. podaje rzeczy niebывałe za fakta historyczne.

Wedle lustracji starostwa lubelskiego r. 1602, w mieście samém ze szlachty posiadali kamienice: Suchodolscy, Gorajscy, Orzechowscy, Żorawski, Lubomelski, na przedmieściach zaś dwory i dworki: Stoińscy, Urowieccy, Orzechowski, podkomorzy chełmski, Myszkowski, Oza-

rowski, książę Zasławski, Pszonkowie, Dębiński, Lasocki, Lubieniecki, Firlej, Zebrzydowski i Sobieski. Widzimy tedy, że Mikołaj Stawski, cześnik chełmski, żadnego domu w mieście a więc i dworku nie miał koło kościoła Panny Maryi, który należąc pod onczas do zakonu Brygidek, wznosił się po za bramą Krakowską i murami miasta. Mógł St. mieć w mieście kamienicę tę, na której do dziś od ulicy Jezuickiej (powstałej dopiero r. 1613 w miejscu murów miejskich), znajduje się kamień pamiątkowy z napisem: „rok 1525 M. S. i herb Tępa podkowa.” Czy miał ją jednak po tę porę t. j. w r. 1605? Wątpliwość to wielka, tembardziej, że Stawscy są herbu Belina, osiedli w Chełmskiem, i herbu Korczak, a nigdy Tępa podkowa, a jak uczą nas dokumenta archiwum lubelskiego, pomienioną kamienicę, oznaczoną dziś nr. 16, a ozdobioną od strony ulicy Jezuickiej wyżej wspomnianym kamieniem, roku 1605 posiadał Jakób Żędzian, mieszczanin lubelski, który nabył ją około r. 1540. Wątpić więc należy, aby kamienica ta była własnością Mikołaja Stawskiego, cześnika chełmskiego. Nie koniec na tém, p. A. Krechowicki pisze, iż kościół Panny Maryi był parafialnym i że plebanem tego kościoła był ksiądz Krescenty Modliński, gdy tymczasem, jak już zaznaczyliśmy, kościół ów był klasztornym kościołem PP. Brygidek i znajdował się w polu, po za miastem, przeoryszą zaś tego klasztoru pod on czas była Agnieszka Jastkowska, a księdza Krescentego Modlińskiego nie tylko przy kościele Panny Maryi, ale nawet przy żadnym innym, w spisach duchowieństwa ówczesnego nie znajdujemy. Pisze dalej p. A. K., że Jana Szornela pochowano na cmentarzu owego kościoła, gdy tymczasem, jak to już wiemy, Jerzy a nie Jan pochowanym jest w byłym kościele OO. Jezuitów, dzisiejszej katedrze. Cmentarze grzebalne zaś były w owym czasie przy kościołach Św. Michała, w środku miasta; Św. Ducha tuż za bramą krakowską i przy kościele OO. Bernardynów również za bramą krakowską; innych cmentarzy w Lublinie nie było, tak jak niemniej i żadnego starego cmentaryska koło „starej baszty“ (?), będącej w pobliżu dworku Stawskiego! W owym czasie t. j. w roku 1605-ym Lublin był opasany jeszcze murami i między bramą Krakowską a furtą Jezuitów, obok której wznosił się kościół Jezuitów, w pobliżu domu dziś oznaczonego nr. 16-ym, o którym wyżej, wznosiła się baszta, stanowiąca łączność z murami miejskimi i będąca również tak starą jak i one; ulicy zaś Jezuickiej, o jakiej w innym miejscu p. K. pisze, nie było jeszcze wcale roku 1605, bo dopiero, jak to już nadmieniliśmy, powstawać poczęła r. 1613. Przypuszczamy, że p. K., mówiąc o starej baszcie, miał na myśli ową basztę, która do dziś jeszcze wznosi się po za rogatkami dzisiejszego miasta w otwartém polu, w pobliżu Wieniawy, — lecz i tam cmentarza nie było, a zresztą baszta owa od murów miasta bliżko pół mili jest odległą!

Pytamy dalej p. K., jakim to cudem Stanisław Mateusz Stadnicki, mając nogę prawie zgruchotaną (str. 52, I), ratując Jana Szornela „leciał” na pobojowisko? a dalej „mając nogę szpetnie stłuczoną i le-

dwie włączając za sobą" (str. 54, I) poszedł pieszo ku pobojuwisku, gdzie „razem z innemi dźwignęli rannego i na barkach zaniesli do poblizkiej wioski" Pomijamy liczne dziwolągi językowe: za wzd y zam. za w s z e, już, straszliwie i t. d. Co do samej budowy powieści, to jest to bezładna gawęda, a nie powieść historyczna, brak w niej bowiem jednolitej myśli przewodniej. P. A. Krechowiecki w „Staroście Zygwulskim" dał wielce fantastyczny życiorys Dyabła Stadnickiego. Nie poruszając pytania: co skłoniło Jerzego do wstąpienia do zakonu, ani też: dla czego zgodził się na to, aby ta, którą ukochał także w celi klasztornej się zamknęła, bo wszystko to jest nie wytłómaczone, poprzestajemy na tych uwagach, życząc, aby autor w przyszłych pracach swoich ściślej trzymał się historii i poprawniej pisał po polsku, niż to — w „Staroście" uczynił.

Wład. Korn. Zieliński.

„Urkundliche Geschichte des ehemaligen Cistercienser Klosters zu Paradies. Eine Beigabe zu der am fünfzigsten Stiftungsfeste des Königlichen Schullehrer-Seminars zu Paradies herausgegebenen Festschrift von dr. Theodor Warmiński, Königlichen Seminar-Direktor.“ Mit 4 Lichtdruck-Bildern. Meseritz 1886, str. XV, 307, 8-0.

Dr. Th. Warmiński. „Das Koenigliche Schullehrer-Seminar zu Paradies im ersten Halbjahrhundert seines Bestehens.“ Meseritz 1886, 8-0, str. 134.

Sam tytuł tego okolicznościowego wydania, powyżej w całości przywiedziony, wskazuje stosunki, wśród których ks. dr. Warmiński, dyrektor seminarium nauczycielskiego w Paradyżu w W. Ks. Poznańskim, ogłosił w Międzyrzeczu r. z. w języku niemieckim urzędową „historią dawniejszego klasztoru Cystersów w Paradyżu," dołączając ją do pisma, poświęconego 50-letniemu jubileuszowi seminarium nauczycielskiego, założonego na ruinach tego wielkopolskiego klasztoru cystersów.

Praca ks. Warmińskiego została w ogóle dosyć przychylnie przyjęta przez prasę niemiecką, bo chociaż wytykano autorowi niedokładność badania metodologicznego ¹⁾, to pochwalano hołd, złożony kulturze i cywilizacji niemieckiej ²⁾, bez takiej bowiem rekomendacji trudno

1) Perlbach w „Kwartalniku histor. lwowskim.“ Zesz. I, str. 98 i 99.

2) Litterarisches Centralblatt 1887, nr. 11. Zeitschrift d. deutschen histor. Gesellschaft d. Prov. Posen, 1886, str. 336 i 1887, I, str. 126.

się dziś ostać dziełu historycznemu w obec najnowszej krytyki niemieckiej. Nie tylko w rzeczach militaryzmu i supremacji politycznej, ale i na polu aspiracji cywilizacyjnych uwydatniają się nieposkromione niczém tendencje do prymatu między narodami oświeconemi.

Z pisarzów polskich podał pobieżną relacyą o tój książce K. Jarochowski, zaznaczając stanowisko autora czysto niemieckie a nawet pod względem katolickim bardzo chłodne ¹⁾. Najbardziej szczegółowy rozbiór ze stanowiska polemiczno-naukowego ogłosił E. Callier w „Dzienniku poznańskim.“

Nad rzeczką Paklicą, wpadającą do Odry, wśród jezior, łąk i lasów odwiecznych w okolicy Łagowa, Świebodzina, Brojec, o półtoręj mili na południowy zachód od Międzyrzecza (dziś Meseritz) na pograniczu Szlązka i Brandenburgii, rozpościerało się dziedzictwo Komesa Bronisza,—Gościkowem zwane. Tu Komes Bronisz, którego podanie klasztorne wojewodą mieni, postanowił założyć klasztor na cześć P. Boga, N. M. Panny i św. Marcina dla uzyskania odpuszczenia grzechów i żywota wiecznego, z życzeniem, aby ten klasztor nazywał się *Paradyżem*. W tym celu nadał 29 stycznia 1230 r. wieś swoją dziedziczną Gościkowo, gdzie musiał już istnieć kościół, (występuje przy tym akcie pleban gościkowski, Wilhelm)—Henrykowi, opatowi klasztoru cysterskiego w Łaninie. Równocześnie z zezwoleniem panującego księcia szlązkiego Władysława Odonicza, biskupa poznańskiego, i kapituły, tudzież brata swego Sędziwoja, bratanka Jarosta, żony i krewnych swoich, zapisał zakładającemu się klasztorowi cały swój majątek ruchomy i nieruchomy, oraz wsie swoje dziedziczne: Chrząstów, Górkę, Konarskie, Kotowo, Olbrachtów, Polwice, Sroczewo, Zakrzew i Zaborowo, a biskup poznański Paweł przekazał klasztorowi całą dziesięcinę z Gościkowa. Po dopełnieniu tych postanowień stanął w Gościkowie klasztor, w którym osiedli sprowadzeni z Łanina Cystersi, prawdopodobnie sami Niemcy, albo ziemczeni Słowianie. W r. 1234 postarał się opat paradyzki o potwierdzenie nadań Broniszowych przez książąt szlązkich, Henryków, Brodatego i Młodszeo, a w następnym roku o szczególną opiekę Władysława Odonicza.

Zabezpieczywszy sobie tym sposobem posiadanie nadanych dóbr, pracowali Cystersi paradyzcy nad ich pomnożeniem—nad uzyskaniem coraz większych praw i wolności, łatwo w wiekach średnich zdobywanych—i nad sprowadzeniem Niemców do kraju. Tacy zakonnicy nie brali udziału w życiu publiczném, nie zlewali się z narodem, który ich przygarnął do łona swego; przez kilka wieków żyli tylko dla siebie i dla Niemców. To też świadectwa piśmienne z tych czasów o ich istnieniu na ziemiach polskich ograniczają się na przywilejach i dokumentach rządowych, odnoszących się do posiadłości klasztornych.

Klasztor paradyzki (*Monasterium paradisi b. Mariae*) fundowany w r. 1230 przez Komesa Bronisza, jako filia brandenburskiego

¹⁾ „Przewodnik naukowy.“ Lwów, 1887, maj, str. 474—477.

Lehnina (dawn. Łanina), położonego w zgermanizowanym kraju Wendorów, wytępionych przez kulturę niemiecką, zniesiony w r. 1834-ym ma przeszłość pod wielu względami dosyć ciekawą nie tylko w historii klasztorów wielkopolskich, ale i w dziejach seminariów Wielkiego Księstwa Poznańskiego—nie mniej i na arenie zatargów sąsiedzkich tudzież antagonizmów politycznych, które przenikają zachodnie pogranicze dawniej Polski, gdzie obok aspiracji cesarstwa niemieckiego pod Habsburgami, odzywa się najezdnicza brutalna polityka margrabiów brandenburskich, wyrosłych niebawem na królów pruskich, przy słabszej nierównie reakcji obronnej ze strony Rzeczypospolity polskiej, w której granicach klasztor był położony.

W ostatnich latach zebrano obfity materiał źródłowy do historii zakonu Cystersów w Polsce. Z pomiędzy 19-tu klasztorów św. Bernarda (15 męzkich, 4 żeńskie), jakie powstały do końca wieku XIII-go w metropolii gnieźnieńskiej, posiada Mogiła pod Krakowem (Clara Tumba) osobny dyplomatarysz Janoty (1865) sięgający do XVIII-go wieku; klasztory małopolskie: Jędrzejów, Sulejów, Wąchock, Koprzywnica i Szczyrzec znajdują swoje dokumenty aż do r. 1387 w Piekosińskiego „Codex diplomaticus minorii Poloniae (1876); fundacje wielkopolskie: Łekno, Łąd, Paradyż, Obra, Bledzewo, Przemęt, Ołobok i Owińsko w Zakrzewskiego „Codex diplomaticus Majoris Poloniae“ aż do r. 1400. Dr. Hockenbek ogłosił sporo materiału źródłowego o Łeknie (Wągrowcu) w kilku programach gimnazjum wągrowieckiego; do dziejów klasztoru w Łądzie podał ważne dokumenty M. Perlbach w dziele pod tyt. „Mittheilungen aus dem Kölner Stadtarchiv.“ I, 2. Dzieło ks. Warmińskiego pomnaża ten materiał bogatszą jeszcze, jakkolwiek naukowo nie opracowaną treścią tak, że pracy jego nie można uważać za historią klasztoru paradyżkiego, a tém mniej za ustęp historii Cystersów polskich.

Po pobieżnym rzucie oka na zakon Cystersów w ogólności (str. 6—14), na rozszerzenie się jego w Polsce (17—22), na źródła do historii Paradyża 25—27), następuje kronika klasztoru do r. 1303, oparta na kronikarzu wieku XVII, przeorze Augustynie Dobrowolskim, którego kronika znajduje się w kopii w bibl. Raczyńskich w Rogalinie. Resztę zaś książki wypełniają regesta dokumentów klasztornych, uporządkowanych chronologicznie, przerywane opowieścią niektórych zbyt brutalnych wybuchów sąsiedztwa brandenburskiego, oraz obrazem działalności literackiej opata Jakóba II (1425—1435). W ostatnich tych sprawach mógł autor korzystać co do Jakóba II z pracy H. Kellera (Tübinger theolog. Quartalschrift, 1866), a co do napadu wojska pruskiego w r. 1740 na klasztor, z pracy K. Webera (Aus vier Jahrhunderten, t. II). Oprócz Kodeksu dypl. Majoris Poloniae, korzystał autor z katalogu biblioteki Raczyńskich w Poznaniu (t. I, str. CCCLVII—CCCXCVI), którego spis dosłownie przedrukował, z akt państwowych archiwów w Berlinie, Wrocławiu i Poznaniu. Do tego dodał autor kilka wiadomości archiwalnych z XVI do XVIII wie-

ku, a mianowicie o zastawieniu przez cesarza Ferdynanda dóbr klasztor-nych na pięć lat Kacprowi z Szczañca za 1000 złotych węgierskich, (1544), o napadzie i złupieniu przez brandenburczyków opata Mate-usza, wracającego do Paradyża (1546), o napadzie kozaków polskich w r. 1630, o poselstwie do komendanta szwedzkiego w Szczecinie (1646), o sekwestracji dóbr szlązkich i t. p.

Zostająca w związku z tém dziełem historia seminaryum nau-czycielskiego („Das Koenigliche Schullehrer-Seminar zu Paradies im ersten Halbjahrhundert seines Bestehens.“ Meseritz, 1886, 8-o str. 134) w Paradyżu zawiera ciekawy materyał do historii seminaryów nauczy-cielskich, które położyły nie małe zasługi około podniesienia nauki ele-mentarnej w W. Ks. Poznańskim, zwichniętej i skarykaturowanej po r. 1872-im, gdy wśród walki o tak zwaną kulturę, sponiewierano naukę religii, a z wyrzuceniem nauki języka ojczystego z planu szkol-nego, zamieniono szkołę na organ policyjny z zadaniem agitacyi po-lytycznej, podniecającej zawiści i niechęci rasowe, plemienne. W. Ks. Poznańskie posiada oprócz 2-óch seminaryów nauczycielek, w Pozna-niu i Bydgoszczy, 5 seminaryów nauczycielskich, kształcących nau-czycieli elementarnych, miejskich i wiejskich. Najstarsze poznań-skie (1804) zostało przed 10-iu laty przeniesione do Rawicza; w r. 1819 powstało seminaryum w Bydgoszczy, 1836 w Paradyżu, w r. 1865 w Kcyni i Koźminie. W r. 1872-im napisał prof. Giebe w języku nie-mieckim „Historjya król. seminaryum nauczycielskiego w Bydgoszczy“ („Das Koenigliche Schullehrer-Seminar zu Bromberg“). Praca War-mińskiego o „Seminaryum w Paradyżu“ z bogactwem materyał do tych smutnych dziejów. Seminaryum paradyżkie, którego dyrektorami bywali księża, znani na polu pedagogii, utworzone zostało w gmachu klasztornym dn. 14 lipca 1836 r. z 4-ma nauczycielami i 18 ucznia-mi. W r. 1886-ym pracowało 9 nauczycieli i 93 seminarystów. Pod okiem 8 dyrektorów, 40 profesorów przysposobiło 1316 seminarystów do stanu nauczycielskiego. Rozkład nauk według pierwotnego planu nie upośledzał języka polskiego, bo przyznawał mu równą (a nawet z początku większą) liczbę godzin z językiem niemieckim, chociaż przy wykładzie samym była przewaga po stronie języka niemieckiego. W r. 1862 zrównano liczbę lekcyi obydwóch języków — i tak było aż po reskrypt z dn. 15 października 1872 r.

W pracy tej znajdujemy wiele informacji co do rozkładu nauk, metody nauczania, porządku domowego — kursów przygotowawczych i t. p. ważnych kwestyi pedagogicznych.

Lecz wróćmy do znaczenia historyczno-politycznego klasztoru Cy-stersów w Paradyżu, któremu kilka uwag poświęcić zamierzylimy.

Z przywiedzionych już wyżej faktów musimy wyciągnąć ten wniosek, że jeszcze w wieku XV-ym wyobrażał klasztor w Paradyżu z całą swoją organizacją kolonią zupełnie niemiecką na zachod-niem pograniczu Polski, wśród rzadkiej ludności polskiej, uprawiającej swoje niwy obok mnożących się przybyszów niemieckich. Ks. War-

miński, idąc bezmyślnie za propagowaną z naukowym zapalem doktryną Tschoppy'ch i Sztenciów, Wuttkich, Meyerów, Grünhagenów i w. i. apostołów jedynéj ewangelii cywilizacyjnej, jaką ma być germanizacya, podsuwa tendecyjnie zakonowi już w owych odległych wiekach takie pobudki działalności klasztornej, na które się dopiero cywilizacya nowsza zdobyć potrafiła, przy pomocy władzy policyjnej niekrępowanej żadnym prawem. Ks. Warmiński krzywdzi pamięć Bronisza, gdy w giermańskim zapale głosi, iż „nie podlega żadnej wątpliwości i ten fakt jeszcze, że fundator klasztoru chciał i pragnął, ażeby klasztor paradyzki przyniósł całej okolicy kulturę niemiecką, jak to uczyniła macierz jego t. j. klasztor Lehnin (Łanin), darząc Wendów kulturą niemiecką,“ — a przytém wystawia sobie świadectwo zaniedbanego kapłana, gdy nie rozumie ducha, nie rozumie powołania, nie pojmuje misji zakonów w wiekach średnich. Piosnkę tę intonowaną wprawdzie dosyć dawno, śpiewają coraz głośniej wszyscy siepacze agitacyi politycznej na dawnych ziemiach polskich, która, zachęcając do coraz nowych podbojów, pragnie płachtą dziurawéj kultury zakrywać niezręcznie wyrządzone nam na każdym kroku krzywdy. Kolonizacya niemiecka wieku XII, XIII, XIV i XV-go nie nosiła na sobie tych znamion zawiści rasowej, téj nieprzyjaźni, téj zawziętości plemiennéj, którą rozzuchwaliły daleko później namiętności fanatyzmu religijnego, a którą pod wpływem pesymizmu państwowego spotęgowały jeszcze bardziej w naszych czasach namiętności fanatyzmu politycznego i socjalistycznego. Wieki średnie stanowią w dziejach tę epokę, w której się dopiero formują nowsze narody i nowsze państwa. Formacje te nie opierają się na jedności rasy, ale starają się o to, aby napływające do żyniejszych okolic różne z pochodzenia rody i plemiona asymilować, nie ujarzmiac; nie ścigać je, jako wrogie, ale dobrodziejstwami wabić, opieką prawa a nawet przywilejów osłaniać. Pod tém ożywczém technieniem widzimy téż w dziejach wszystkich narodów europejskich, że różne plemiona spływają do jednego organizmu, bo narody się nie rodzą, ale się dopiero wśród dziejów formują, jakeśmy to przy innéj sposobności obszerniej dowodzili ¹⁾. Ta różnaitość pochodzenia, odzywająca się z początku nawet i językiem odmiennym, nie psuje atoli, po pewnym przeciagu czasu, po przebyciu równych kolei dziejowych, nie psuje, mówię, harmonii jedności narodowej; ale milknie zupełnie, tak, że przy obcém brzmieniu nazwiska, zdradzającym kolebkę praocjów, wyrobił się duch zupełnie narodowy, oddychający atmosferą tych uczuć swojskich, atmosferą téj ziemi gościnnéj, która go w dawnéj generacyi do łona swego przytulita. Przykro nam przypominać księdzu Warmińskiemu zasadę, nie podlegającą żadnej wątpliwości, że klasztory zakładano w wiekach średnich w celach li tylko religijnych, ale nie politycznych; nie w celu szczepienia kultury niemieckiej, nie w celu germanizacyi. Faktycznie mogły niektóre klasztory, przeważnie z niem-

¹⁾ Zob. Bibl. Warsz., 1886. Zesz. za m. maj t. II str. 282—285.

ców złożone, szerzyć niemczyznę, wcale nie wrogą żywiotowi obcemu, bo nie występującą nieprzyjaźnie, ale głównem ich zadaniem, postanowieniem, misją, nie mogły być pobudki tak barbarzyńskie, pobudki czysto policyjne, jakie im podsuwają dzisiejsi patryoci protestancy. Osadnicy niemieccy w Polsce przed reformacją uważali się za polaków, jeżeli nie w pierwszym to w następnem pokoleniu, albo téż dorobiwszy się chleba, wychodzili z kraju. Ks. Warmiński przejęty jest tak dalece bałwochwalstwem kultury niemieckiej, że uważa nawet uwolnienie klasztoru paradyckiego w odnośnym przywileju Władysława Odonicza z r. 1236-o za rzecz wyjątkową dla klasztoru, który „popieranie kultury niemieckiej za swoje poczytywał zadanie,” jak gdyby którykolwiek klasztor—daleki zupełnie od misji takiego apostołstwa—nie cieszył się gdziekolwiek podobnemi przywilejami i dobrodziejstwami. Ludność niemiecka, niepokojona w swoim mieniu i na swoich osobach przez „raubrytterów” w Niemczech, szukała chętnie cichego pola pracy na ziemi, ciesząc się większem bezpieczeństwem publicznem nie tylko pod chorągwią klasztorów i królów, ale i w dobrach prywatnych i chroniła się pod swoje prawo tego kraju. Charakterystyczny dokument urzędowy z zakresu tych idei powołuje prof. Lewicki przy rozbiorze IX-go tomu „Deutsche Reichstags-Acten“ wyd. przez Dietr. Kerlera w 3-cim zeszytce „Kwartalnika historycznego“ lwowskiego str. 482. Oto kiedy w r. 1428-ym sejm niemiecki wezwał między innemi miasto Frankfurt nad Odrą do złożenia podatku hussyckiego na wyprawę przeciwko Czechom, oświadczył burmistrz frankfurcki miejscowemu pasterzowi, biskupowi lubuskiemu, że ponieważ dyecezya lubuska należy do archidyecezyi gnieźnieńskiej, przeto miasto dopiero wtenczas zapłaci podatek żądany, gdy je zawezwie do tego arcybiskup gnieźnieński.

Do czasów reformacji nie troszczył się rząd krajowy o Niemców po klasztorach; lecz gdy z postępem reformacji odezwały się wrogie organizmowi narodowemu aspiracye, nie mogła indywidualność narodowa, przy wyrobionem już poczuciu swojskiej samodzielności politycznej, patrzeć obojętnem okiem na taką wyłączność niemiecką kolonii, jaka się pod skrzydłami klasztoru sformowała. W r. 1538 postanowiono na sejmie zaczętem w Piotrkowie, a skończonym w Krakowie ¹⁾, żeby odtąd tylko Polacy mogli być opatami klasztorów; mimo to obrano w Paradyżu Niemca Mateusza, którego Zygmunt I-szy, ulegając prósbom wpływowych doradców potwierdził; lecz w każdym razie zamyka Mateusz liczbę opatów Niemców w Paradyżu. W epoce téj zaczynają rządy cesarsko-niemieckie mieszać się do spraw klasztornych, a to z powodu dóbr, które klasztor posiadał na Szląsku. W roku 1549-ym przybył legat papieżki, komisarz zakonu cysterskiego, Andrzej, sufragan i kanonik krakowski, opat wąchocki i mogiński do klasztoru i odbył w nim lustrację. Przy téj sposobności polecił

¹⁾ Acta Tomiciana, t. III.

opatowi paradyskiemu, aby co rok wysyłał jednego zakonnika dla dalszego kształcenia się na wszechnicę krakowską i postanowił, ażeby do profesury klasztornej przypuszczano Polaków, Rusinów i Niemców. W roku 1558-ym, po rezygnacji opata Mateusza, objął rządy opackie Stanisław Wierzbński, pierwszy opat Polak w Paradyżu; następcami jego byli: Peregryn Kurski (1592), Stanisław Romiszewski (1600), Daniel Domaradzki (1611), Marek Łętowski (1617), Tobiasz Małachowski (1630), Paweł Gosławski (1670), Mikołaj z Roksic Ruszkowski (1646), Jan z Leszna Leszczyński (1651), Stefan Wierzbowski (1656), Mikołaj Wierzbowski (1663), Zygmunt Czyżowski (1664), Kazimierz Szczuka (1666), Paweł Bernard Sapieha (1699), Franciszek Mikołaj Zaleski, Piotr z Czekarzewic Tarło (1718), Józef Górczyński (1722), Andrzej Stanisław Załuski (1742), Władysław Aleksander Łubieński (1746), Jan Gabryel Podoski (1767) i Tomasz d'Antici od r. 1777 do 1812.

W roku 1617-ym przed wyborem nowego opata, odzywają się znów w klasztorze paradyskim uroszczenia rządów cesarskich, ażeby ze względu na dobra Szląskie zakonnicy wybrali opatem Niemca, życzliwego cesarzowi, mimo to wybrano Marka Łętowskiego. Odtąd mieszają się rządy cesarskie, a później brandenbursko-pruskie do każdego wyboru i żądają od nich przysięgi homagiinalnej. Nadmienić tu wypada, że niektóre dobra klasztorne leżały w Brandenburgii, że po wojnie siedmioletniej, przeszedł Śląsk pod panowanie królów Pruskich. Z dawnych dziejów notuje jeszcze ks. Warmiński fakta następujące:

W roku 1630 najeżdża oddział Brandenburczyków położone w Polsce posiadłości klasztorne i uprowadza mnóstwo bydła, prawem odwetu za takie postępowanie Kozaków polskich, którzy furazowali w Żyrsku, Templewie, Długopolu i Boryszynie, wsiach należących do komandoryi Łagowskićj. R. 1646 wydobyl opat Ruszkowski z sekwestru szwedzkiego leżące w powiecie Świebodzińskim dobra klasztorne. W r. 1720 przed wyborem nowego opata, występuje znowu rząd cesarsko-niemiecki z żądaniem, ażeby na przemiań raz Niemca drugi raz Polaka powoływano na opactwo. Mnichy paradyscy, Niemcy, zamierzają wynieść się z Paradyża i nowy założyć klasztor na Szląsku w posiadłościach klasztornych, które rząd niemiecki obłożył sekwestrem i trzymał do roku 1736. Sekwestracji takich dopuszczał się później także rząd Pruski. Protestacye rządu polskiego nie odnosiły pożądaných skutków, ponieważ nie były popierane jedynym przekonywającym argumentem, jakim w oczach Niemców zawsze była i jest szabla.

W szeregu co tylko wymienionych opatów klasztoru paradyskiego, spotykamy imiona, znane zaszczytnie w dziejach Kościoła, życia publicznego, niemińć i piśmiennictwa polskiego (Andrzej Załuski, historyk, Władysław Łubieński, „Świat we wszystkich swoich częściach“ i t. d. Wrocław, 1740, jest to pierwsza Geografia powszechna w języku polskim); lecz najwybitniejszą nietylko pod względem administracyjnym,

ale politycznym postacią, jest ks. opat Kazimierz Szczuka (1666—1669), brat znanego z czasów Augusta II i Stan. Leszczyńskiego, podkanclerzego litewskiego. Ks. Szczuka cieszy się wielkiem uznaniem u króla i najwyższych dostojników Rzeczypospolitej, tudzież u starosty cesarskiego w Głogowie i u najwyższej izby cesarskiej we Wrocławiu, niemniej i u elektora brandenburskiego, Fryderyka Wilhelma i syna jego, z którymi zostaje w poufnj korespondencyi. Szeroko bardzo przedstawia ks. Warmiński jeden z owych barbarzyńskich najazdów króla pruskiego, Fryderyka Wilhelma I-go, za pomocą których ten bohater wojny siedmioletniej łowił na pograniczu Polski chłopów wysokiego wzrostu do swojej gwardyi. Za opactwa ks. Józefa Górczyńskiego, we wsi Wyszanowie, należącej do dóbr klasztornych, znajdował się sołtys wysokiego wzrostu, Melchior Klinke, z rodziny niemieckiego pochodzenia, ale dawno spolszczonj, cieszący się pewnemi względami u opata i zarządu klasztornego. Werbownicy pruscy polowali dawno na niego, ale napróżno, aż nareszcie w początku roku 1740-go, nie szanując granic państwa Polskiego, wpadli w nocy do mieszkania Klinkego, i depcząc wszelkie prawa ludzkości, niby rozbójnicy, wywlekli go od chorj żony, która po przebytj niedawno słabości z przestachu niebawem umarła, i uwięzili go jako zdobycz do marchii brandenburskiej. Wszelkie starania opata, aby Klinkego, poddanego klasztoru, wydobyć z rąk niemieckiego władcy Brandenburgii okazały się bezskuteczne. Zbywany, na swoje energiczne przedstawienia pogardliwą nawet odmową, postanowił ks. opat Górczyński uciec się do odwetu i kazał przytrzymać dwóch kupców z Cylichowa na terytoryum brandenburskiem, przejeżdżających na jarmark do polskiego miasteczka Brojec. Pochwyconych trzymano w klasztorze w przywoitym areszcie, kładąc za warunek ich uwolnienia: odstawienie przez władze brandenburskie Melchiora Klinka. Na groźną magistratu cylichowskiego odezwę, odpowiedział ks. opat Górczyński słowy, które charakteryzują dokładnie sytuacją, dlatego je przytaczamy: „Pytam, czyż nie każdy znajduje się w swoim domu, pośród swojej rodziny, pod opieką prawa natury, prawa narodów, prawa cywilnego; czyż nie wolno tego, który to prawo nadwęży, mniejsza o to, czy się mieni złodziejem, łupieżcą, rozbójnikiem, na mocy tegoż prawa zabić? Jakżeto postąpiono sobie z rodziną naszego klasztornego poddanego, sołtysa z Wyszanowa? Czyście uszanowali święte prawo tój rodziny? Czyście go nie obrazili, i to, przy najniegodziwszém rozpustném lekceważeniu wszelkich zobowiązań sąsiedzkich, w sposób burzający i haniebny? A więc Wam ma być wolno napadać obce granice, pokój zakłócać, bawić się w rabunek i kradzież? Nam zaś, zamieszkałym na miejscu i obrażonym, ma być wzbrownioném żądać zwrotu tego, co nasze? Powiedźcie, czyż kiedybądź z mojej lub moich poddanych strony zostały stosunki graniczne zakłócone? Nie, z pewnością nie. Przestrzegaliśmy zawsze jaknajstaranniej wszelkich stosunków sąsiedzkich; z waszej strony natomiast popełniono nieskończone gwałty przeciw zgodzie i pokojowi sąsiedz-

kjemu. Ze strony waszej, wy burzyciele pokoju, wy w zuchwalstwie niepohamowani sąsiedzi, nie pozostawiono natomiast nigdy w pokoju i w bezpieczeństwie ani chat naszych, ani trzód naszych z ich pastierzami na polach, ani naszych włościan podczas ich robót w polu, ani spokojnych mieszkań naszych osób duchownych!“ W odpowiedzi na te podniosłe słowa kapłana, sprawującego zwierzchnictwo nad klasztorem i dobrami wraz z ludnością w nich zamieszkałą, wydał Fryderyk Wilhelm I-szy, król pruski, dnia 21 marca 1740 go r. rozgłosny, a nawet na owe brutalne czasy haniebnny rozkaz najechania zbrojno klasztoru paradyzkiego. Bezbronni Cystersi nie mogli naturalnie stawić skutecznego oporu zbrojnej kompanii brandenburskiej piechoty, oraz szwadronowi huzarów brandenburskich. Sam klasztor ucierpiał nie mało, bo znaczna część jego ruchomości została zrabowana lub zniszczona przez chciwe łupu żołdactwo. Dzielnym opat spełnił godnie swój obowiązek dobrego obywatela, kapłana i opiekuna swych poddanych; ale Rzeczpospolita nie umiała spełnić swojego: puściła mimo tak szyderczą obelgę swego terytorium, bo kilku deklamacyi na sejmie nawet za poważny protest urzędowy uważać nie można.

Z dalszych dziejów klasztoru nadmieniamy, że dobra klasztorne, leżące po dokonanych podziałach poza granicami Polski, zostały skonfiskowane przez rząd pruski, mianowicie w r. 1796 — 1798 te, które leżały w granicach tak zw. Prus południowych, a za Księstwa Warszawskiego r. 1810 te, które się znajdowały na Szląsku. Wskutek czego rząd Księstwa obłożył sekwestrem dobra Klarysek głogowskich, położone w powiecie wschowskim. Rozporządzeniem królewskim z dn. 31 marca 1833 r. zniósł rząd pruski wszystkie klasztory w W. Księstwie Poznańskim, a w dniu 1 stycznia 1834 r. zamknęto klasztor paradyzki, w którym następnie założono seminaryum nauczyielskie.

Rodzina Skrzetuskich, dziedzicząca dobra po Broniszu, upominała się w r. 1837-ym o zabrane przez rząd dobra klasztorne, ale bezskutecznie; to samo czynili również bezskutecznie w latach 1850 — 1860 osiedli w powiecie wrzesińskim Broniszowie, którzy odurzeni tożsamością nazwy genealogicznej, zapomnieli rachować się z historią — i poczęli sobie dodawać przydomek „de Paradyż.“ Tymczasem nazwa „Paradyż“ była przywiązana tylko do klasztoru, który nie był gniazdem rodzinnym Broniszów, ale fundacją dziedzica Gościkowa, Bronisza, znanego w wieku XIII-ym dostojnika wielkopolskiego (Comes). Okoliczności, wśród których rodzina ta znikła z dziejów, nie są bliżej znane. Ze wzrostem włości klasztornych przeniosła się wreszcie nazwa klasztorna na całą osadę, zacierając nazwę pierwotną Gościkowa, chociaż znachodzimy ją jeszcze pod r. 1426.

Książka ks. Warmińskiego nie odpowiada pod względem naukowym warunkom dzieła historycznego, ponieważ nierównomiernie w wysokim stopniu nie opiera się też na studiach krytycznych; ale re-

gestruje przeważnie dany materyał historyczny, nie wniknąwszy dokładnie w istotę rzeczy, ani w poruszające ten materyał idee historyczne. Z chwilą, gdy się kończy przedziwna relacya przeora Augustyna Dobrowolskiego (r. 1303), przerywa się nić opowieści historycznej i znowu przechodzimy przeważnie regestr wyciągów z różnych dokumentów bez krytycznego ich zgłębienia, zamiast pożądanego z bogactwa ciekawych dziejów części zachodnich krajów wielkopolskiej dzielnicy.

J. K. P.

KRONIKA MIESIĘCZNA

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Rzut oka na sytuację polityczną w Europie. — Przerazający upadek ducha obywatelskiego w W. Ks. Poznańskim. — Rozporządzenia ministra oświaty w Petersburgu: a) O szkołach miejskich w okręgu naukowym warszawskim; b) O przyjmowaniu kandydatów do uniwersytetu petersburskiego. — Pogłoski o obostrzeniu egzaminów dojrzałości w szkołach średnich. — Przegląd ważniejszych faktów na polu życia naukowego: I. Z Akademii umiejętności w Krakowie: 1) Posiedzenie komisji fizyograficznej z dn. 4 czerwca; 2) Posiedzenie komisji antropologicznej dn. 15 czerwca; 3) Posiedzenie komisji archeologicznej dn. 17 czerwca; 4) Projekt założenia „Towarzystwa przyrodniczego“ w Krakowie, przedstawiony i podpisany na posiedzeniu Komisji fizyograficznej Akademii umiej. w Krakowie dn. 24 czerwca r. b.; 5) Posiedzenie wydziału matematyczno-przyrodniczego dn. 30 czerwca; 6) Odezwa komisji fizyograficznej w interesie badania dzikich źródeł w Galicyi d. 9 lipca. — Z „Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu,“ Ks. Korytkowski: O arcybiskupie Gamracie; K. Jarochoński: O Pamiętnikach ks. Ad. Czartoryskiego; Wł. Łebski: O wykopaliskach archeologicznych w Rzeszynie nad Gopłem w W. Ks. Poznańskim. — Sprawozdanie z czynności na posiedzeniu ogólnym dn. 30 czerwca. — Rozprawa Aug. hr. Cieszkowskiego p. t. „Z epoki odrodzenia nauk historycznych.“ — Sprawozdanie „Macierzy“ cieszyńskiej. — Wprowadzenie ubiorów akademickich dla profesorów w uniwersytecie lwowskim. — XXI-sze walne Zgromadzenie galicyjskiego Towarzystwa pedagogicznego w Stanisławowie dn. 18 i 19-go lipca r. b. — Z dziedziny sztuki: Sprawa pomnika Adama Mickiewicza. — Konkurs Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskim na popiersie ś. p. Feliksa Gebethnera. — Napisy na stariej kolumnie Zygmunta III-go w Warszawie. — Stowarzyszenie litowskie „Żelmo“ w Paryżu. — Szkoła historyczna watykańska. — Z ekonomiki: Obrady w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu: a) Wniosek Kułakowskiego co do założenia w kraju fabryki przetworów chemicznych, a głównie owocowych; b) Sprawy cukrownictwa: kwestya fabrykacji oraz kwestya „Słownika polskiego“ w cukrownictwie. — Wnioski redakcyi „Pamiętnika fizyograficznego;“ — Centralna stacya meteorologiczna. — Wybory. — Narady delegacyi przemysłowo-rolniczej pod przewodnictwem p. Ludwika Górskiego: Sprawa

dróg bitych; kredytu rolnego; znaczenie portu libawskiego dla handlu produktami rolnymi; wniosek co do zmiany terminu jarmarku wełnianego. — Rzut oka na postęp siły ościłości angielskiej za panowania królowej Wiktorji z powodu 50-letniego jubileuszu jej rządów. — Wspomnienie pośmiertne: ś. p. Elme Maryan Caro, akademik francuzki; ś. p. Michał Pavlinović, patriota chorwacki.

Publicyści europejscy malują na widnokrepu politycznym horoskop nieuniknionego starcia groźnych a coraz rosnących potęg militarnych. Umysły wrażliwsze dostrzegają wśród nagromadzonych dotychczas chmur gęstych i ciemnych już nawet zjawiska błyskawic na wschodzie i zachodzie; lecz przy tym wszystkiemu nie zdaje się być jeszcze blizką chwila, w którejby paść mogły pierwsze gromy, mające odświeżyć duszącą atmosferę polityczną. Horoskop bowiem owego nieuniknionego starcia opiera się na przypuszczeniu „niezbędnej i nieodwołalnej solidarności zamiarów Rosji i Francji.“ Pozorów tej solidarności nie brak wprawdzie ani w kwestji bułgarskiej, ani w sprawie egipskiej; ale faktów konkretnych, któreby zapowiadały gotowość akcji, nie można dostrzedz ani wśród napaści brutalnych Niemiec na naród francuzki, ani też wśród mściwej, a w skutkach swoich nader szkodliwej wojny ekonomicznej i finansowej, jaką w ostatnim czasie z niepoahomowaną energią prowadzą Niemcy przeciwko Rosji oraz przeciwko finansom rosyjskim.

Zgromadzenie narodowe bułgarskie wybrało w dniu 7-ym lipca jednomyślnie Ferdynanda Koburskiego księciem bułgarskim. Książę podziękował za wybór, oświadczył gotowość swoją poświęcenia się dla dobra narodu bułgarskiego; ale równocześnie przypomniał bułgarom obowiązek wdzięczności dla Cesarza rosyjskiego i traktat berliński, a obok zatwierdzenia W. Porty, potrzebę wyjednania zgody wszystkich wielkich mocarstw, któreby tę elekcję zaaprobowały. Chwila obecna poświęcona jest właśnie na to, aby tym warunkom stało się zadość. Sprawa bułgarska nie postąpiła tedy ani na krok ze swego zakłętego koła tymczasowości, która wszelką akcją samodzielniejszą krępuje i demoralizuje.

Konwencyi angielsko-tureckiej w sprawie egipskiej sułtan nie mógł ratyfikować i kwestya ta pozostaje nadal na stanowisku, na jakim się już od paru lat znajduje, wprawdzie bez szkody dla Anglii, ale z uszczerbkiem interesów ogólnoeuropejskich.

Z Wielkiego Księstwa Poznańskiego coraz groźniejsze dochodzą nas wiadomości. Akcja już nie germanizacyi, ale wytopienia narodowości polskiej, przypominająca eksterminacyą Wendów, Obotrytów i Lutyków, rozwija się coraz silniej i coraz brutalniej, ponieważ nie

znajduje żadnego poważnego, racjonalnego oporu ze strony polskiej; ale owszem, spotyka pohopną gotowość Polaków, pragnących jak najspieszniej wyprzedać resztę ojcowizny. Czytając w gazetach te niemiłkące doniesienia, jak Polacy w W. Ks. Poznańskim spieszą do komisji kolonizacyjnej ze swojemi ofertami sprzedaży ziemi, możnaby przypuszczać, że w Wielkopolsce przebudził się straszny, potworny duch satyryka Krzysztofa Opalińskiego, wojewody poznańskiego, i rozpuszcza swoje szeregi pancerne z pod Uścia (1655 r.) na harce łupienia ziemi ojczystej. Wartoby wykazać w obrazie statystycznym dotychczasowe rezultaty owęj karygodnej roboty, „kurczenia ojczyzny“ przez tych najmłodszych opalińszczyków. Gromadząc odpowiedni materiał do następującego zeszytu, zawieszamy obecnie wszelkie w tej sprawie uwagi, bo nawoływanie do upamiętania ludzi, którzy jak gdyby się wyzwili z wszelkich uczuć obywatelskich — praktycznego skutku osiągnąć nie może! Są chwile w życiu społeczeństw, wymagające tak doraźnych środków ratunku, że wszelkie morały tylko drażnią, ale niczego nie uczą!

Ministryum oświaty w Petersburgu wydało już lub zapowiada wydanie rozporządzeń, znamionujących pewne zmiany w systemie wychowania. „Praw. wiestn.“ ogłasza świeżo zatwierdzone przepisy o szkołach miejskich w warszawskim okręgu naukowym, zawierające następujące rozporządzenia: utrzymanie szkół miejskich należy bądź do rządu, bądź do miast, bądź też do osób prywatnych. Całkowity kurs nauk we wszystkich szkołach miejskich ustanowiony został na lat sześć, przy czém szkoły jednoklasowe będą miały po trzy oddziały, z kursem dwuletnim w każdym, szkoły trzyklasowe trzy klasy z kursem dwuletnim w każdej, a w szkołach czteroklasowych w pierwszych dwóch klasach kurs dwuletni, w dwóch wyższych jednoroczny. We wszystkich szkołach miejskich wskazano 13 obowiązkowych przedmiotów: religia, czytanie i pisanie, język rosyjski i czytanie cerkiewno-słowiańskie z tłumaczeniem na język rosyjski, arytmetyka, geometrya praktyczna, geografia i historia Rosyi, wiadomości z historii naturalnej i fizyki, kaligrafia i rysunki, śpiew i gimnastyka. Prócz tych przedmiotów mogą być jeszcze dodane inne w klasach wyższych szkół dwuklasowych, trzyklasowych i czteroklasowych za zezwoleniem ministra oświaty. W każdej szkole ma być etatowy nauczyciel religii prawosławnej, jeżeli w szkole są uczniowie tego wyznania, i nauczyciel tej religii chrześcijańskiej, do której należy większość uczniów. Prócz nauczycieli religii ma być w każdej szkole tylu nauczycieli etatowych, ile jest klas, przyczém dla każdej szkoły jednoklasowej, mającej więcej nad 50 uczniów, mają być pomocnicy nauczycieli na każde 30 uczniów. Jednego z nauczycieli, na przedstawienie dyrekcji naukowej na prowincyi, a w Warszawie inspektora szkół miasta Warszawy, kurator okręgu naukowego mianuje przełożonym szkoły, przyczém przełożeni szkół trzyklasowych i czteroklasowych nazywać się mają inspektorami. Każ-

dy nauczyciel wykładać ma wszystkie przedmioty w swęj klasie, prócz religii. Przy każdęj szkole powinna być biblioteka, kolekcye historii naturalnęj i inne pomoce naukowe. Przy każdęj szkole miejskięj mogą być na żądanie i na koszt miasta, za pozwoleniem kuratora okręgu naukowego, kursa wieczorne dla dorosłych, oraz przy każdęj szkole mogą być kosztem miasta lub instytucyj dobroczynnych urządzone pensyonaty lub ogólne mieszkania dla uczniów, wedle planów, roztrząśniętych przez radę pedagogiczną szkoły i zatwierdzonych przez kuratora okręgu naukowego.

Podług nowych przepisów do uniwersytetu petersburskiego, przyjmowani tylko będą kandydaci, którzy ukończyli kurs ze świadectwem dojrzałości w gimnazyach okręgu petersburskiego i których dobre prowadzenie się, i przekonania (błahonadiożuost') zaświadczone będą przez władzę gimnazyalną. Osoby postronne, które uzyskały świadectwo dojrzałości, mogą być przyjmowane tylko wtedy, jeśli poprzednio kształciły się w którymkolwiek zakładzie w guberniach petersburskiego okręgu lub zamieszkiwały w pomienionych guberniach. Z liczby uczniów innych gimnazyów mogą być przyjmowani kandydaci, których rodzice, krewni lub osoby, zastępujący ich miejsce, stale zamieszkują w Petersburgu, przy czém osoby wzmiankowane powinny złożyć deklaracyą, iż czuwać będą nad studentem. W takim razie student winien zamieszkać u nich. Przyjmowanie studentów do uniwersytetu petersburskiego z innych uniwersytetów lub równych im wyższych zakładów naukowych, może być dozwoloném tylko w obec ważnych okoliczności rodzinnych i w tym tylko wypadku, jeżeli rodzice, krewni lub osoby, zastępujące ich miejsce, zobowiążą się piśmiennie czuwać nad studentem, który winien bezwarunkowo zamieszkać u nich. Osoby wyznania mojżeszowego przyjmowane będą do uniwersytetu petersburskiego tylko w liczbie, nie przenoszącej 30 % ogólnęj liczby studentów. Opłata za naukę w uniwersytecie petersburskim pobierana będzie od sierpnia r. b. w stosunku 25 rs. za każde półrocze. Opłata za lekcye, obracana na honorarium dla profesorów, pozostaje też sama dla studentów wszystkich semestrów. Studenci, którzy zapisali się do uniwersytetu przed sierpniem r. b. wnoszą dawną opłatę 5 rs. na korzyść uniwersytetu.

Gazety petersburskie ogłaszają wieść, jakoby ministerstwo oświecenia zamierzało obostrzyć warunki składania egzaminów dojrzałości w szkołach gimnazyalnych, a to w ten sposób, że ma być z każdego przedmiotu, jaki się wykłada w kl. VIII-ęj, składany egzamin ustny i piśmienny. Nie przypuszczamy takiego rozporządzenia, sprzeciwiającego się zupełnie pojęciom i zasadom naukowym najnowszęj pedagogii.— Egzamina miały swoje wielkie znaczenie jako popisy uroczystości szkolnych, które nastęrczały i rodzicom i publiczności sposobność zetknięcia się bliżęj ze szkołą, z nauczycielami i działwą; środkiem atoli rozsze-

rzania wiedzy nigdy nie były i być nie mogą. Dla tego też podnoszą się mianowicie w Niemczech głosy przeciwko egzaminom w ogóle równie jak i przeciwko egzaminom maturitatis w szczególności, jako stracie czasu i mitrędze umysłu, szkodliwej dla młodzieży. Głosy te powinnyby na tém pilniejszą uwagę zasługiwać u nas, gdzie, przy różnorodnych świątach galowych i kalendarzowych różnych wyznań, czas nauki do minimum dui się redukuje, a każdy egzamin, nawet klasowy otoczony jest tylu formalnościami, że szkoła staje się już i tak instytucją tylko egzaminującą, a nie nauczającą. W tej zaś najważniejszej robocie nauczania muszą ją wyręczać korepetytorowie. — Z tego płyną skutki jak najsmutniejsze, a przedewszystkiem brak samodzielnej pracy, płytkość nauki i sądu — chęć do łatwego mędrkowania i t. d. A kogo nie stać na korepetytora, ten złamany ginie. Sędzią rozwoju umysłowego ucznia powinien być sumienny nauczyciel; egzamin na pytania losem wyciągnięte sędzią takim nie będzie nigdy! Dla tych powodów sądzimy, że wieść, co tylko powołana, sprawdzić się nie powinna.

W Akademii umiejętności w Krakowie odbyło się d. 4 czerwca posiedzenie administracyjne Komisji fizyograficznej pod przewodnictwem prof. dr. Rostafińskiego. Przewodniczący wspominał o stracie, jaką poniosła Komisya przez śmierć d-ra T. Żebrowskiego, który w pracach jój czynny brał udział i zbiory jój wzbogacił piękną kolekcją motyli. Pamięć zmarłego uczcili obecni przez powstanie. Następnie zawiadomił przewodniczący, że z map geologicznych, wykonanych przez d-ra Zubera, których wydanie Wydział krajowy powierzył Akademii umiej., część w skład 2-go zeszytu atlasu geologicznego Galicyi wejść mająca, jest na ukończeniu. Druk tekstu do tego zeszytu rozpocznie się w najkrótszym czasie. Z wydawnictw Komisji tom XXI jest na ukończeniu. „W sprawie niezmiarki,” która znowu daje się we znaki gospodarzom w Galicyi, udał się przewodniczący Komisji z prośbą do prof. Nowickiego o napisanie rozprawy popularnej, która z pomocą Wydziału krajowego wydana zostanie w wielkiej ilości egzemplarzy i użytą do rozszerzenia w kraju wiadomości o środkach zaradczych przeciw grożącej klęsce. Sprawa rękopisów pozostałych po ś. p. Andrzejowskim, któremi Komisya zajmuje się od dłuższego czasu, zbliża się do pomyślnego zakończenia, hr. Ksawery Branicki ofiarował bowiem Wydziałowi mat. przyr. kwotę potrzebną na ich wykupienie. Do Komisji fizyograf. udało się Towarzystwo lekarskie krakowskie z prośbą o badanie źródeł na Podkarpaciu. Czynnicażadość wezwaniu temu wprowadziła Komisya na ten cel w budżet na r. b. kwotę 150 złr. i postanowiła udać się do obywateli kraju z prośbą o nadsyłanie wody ze wszystkich źródeł, o których przypuszczać można, że jako źródła mineralne z korzyścią mogłyby być używane. Zarząd Akademii um. postanowił, za wstawieniem się przewodniczącego Komisji, wydawać sprawozdania z naukowych posiedzeń Komisji w osobnych

odbiciach dla użytku członków Komisji. — Sekretarz Komisji wymienił następnie: *a)* Prace złożone Komisji, przeznaczone do ogłoszenia drukiem: 1) p. Wierzbowskiego, Ryby Bystrzycy Nadwórmiańskiej; 2) p. Boberskiego, Drugi przyczynek do lichenologii Pienin; 3) p. Raciborskiego, *Caltha palustris* w Polsce; 4) Tegoż Przyczynek do znajomości wątrobowców Galicyi i 5) Przyczynek do flory glonów Polski; 6) p. Krupy, Zapiski mykologiczne z okolic Lwowa i Podtatrza; 7) dra Wierzejskiego, O mszywiolach (Bryozoa) krajowych; *b)* Sprawozdania z wycieczek: 1) p. Wołoszczaka z wycieczki w r. 1886 we wschodnie Karpaty; 2) p. Trusza z wycieczki na prawy brzeg Bugu; *c)* Zbiory złożone do Muzeum fizyograficznego: 1) p. Wołoszczaka zielnik z gór Stanisławowskich i z Howerli; 2) p. Błockiego zielnik z różnych okolic Galicyi, *d)* Dary: 1) Zbiór grzybów z okolic Lwowa i z Tatr od p. J. Krupy; 2) Zbiór wątrobowców z różnych okolic Galicyi od p. M. Raciborskiego; 3) Szczeka dolna mamuta ze Smoszewa w Płockiem od p. Jana Zielińskiego za pośrednictwem p. G. Ossowskiego; 4) Wapień naciekowy z Wesołej pod Baryczem od p. Magierowskiego; 5) Zbiór przeszło 200 kryształów gipsu z Podgórze od dra S. Zaręcznego; 6) p. Błockiego: Einige Bemerkungen über dr. Zimmersers Abhandlung: Die europ. Arten der Gatt. *Potentilla*, od autora; 7) Pamiętnika fizyograficznego tom VI od Redakcyi; 8) Roczników centr. Zakładu meteorologicznego w Wiedniu tom XXII od Redakcyi, 9) *Annuaire géologique universel* i *Guide du géologie* p. Dagincourt od autora; 10) Zbiór pajaków, zebranych na Kamczatce złożony Akademii umiej. w darze przez prof. dra B. Dybowskiego a oddany przez Akademią Komisji fiz. — Przyjęto następnie sprawozdanie rachunkowe Komisji za rok 1886-ty, sprawdzone przez prof. Kuczyńskiego i p. J. N. Sadowskiego. Przedłożony projekt budżetu Komisji na r. b. i program prac, ułożone przez Komitet administracyjny, przyjęto jednomyślnie. W programie prac zawarte są: badania geologiczne na Podolu (p. F. Bieniasz), w okolicy Tarnopola (dr. Teisseyre) i w jaskini Wierzchowskiej górnej (p. G. Ossowski), botaniczne w Nowotarckim (p. Raciborski), w górach stryjskich (p. Kruppa), w Karpatach na granicy Bukowiny (p. Wołoszczak), faunistyczne koło Krakowa (p. Jelski), na Podolu (p. Stobiecki), w okolicy Kołomyi (p. Dziędzielewicz). — Przyjęto następnie dwóch kandydatów na członków Komisji przedstawionych przez Komitet administracyjny, których wybór przedłożonym będzie do zatwierdzenia Wydziałowi mat.-przyr. Wreszcie obrano na r. b. przewodniczącym Komisji prof. dra Rostafińskiego, skrutatorami dra Kuczyńskiego i dra Ściborowskiego, zastępcami skrutatorów dra Kopernickiego i p. J. N. Sadowskiego.

Na posiedzeniu Komisji antropologicznój w Akademii Umiejętności, odbytym pod przewodnictwem d-ra Majera w dniu 15-ym czerwca, dr. Kopernicki zawiadomił o ofiarowaniu przez dra Dudrewicza z Warszawy różnych przedmiotów, pochodzących z grobów przed-

historycznych w Żarnowcu na Podlasiu, tudzież dwóch bransolet bronzowych z rysunkiem i piękną starożytną patyną z Lubina, powiatu lipnowskiego. Oprócz tego przedstawił rękopis p. J. Kolessy, zawierający część obszernego zbioru pieśni ludowych ruskich ze wsi Chodorowic, powiatu stryjskiego, które, uzupełnione przez autora, wejdą do sprawozdań komisyjnych.—Złożywszy wreszcie własną pracę „O czaszkach przedmieszkańskich krakowskich z w. XVII i XVIII,” doniósł o zamiarze dra Jul. Fallko Ilgowskiego Hryncewicza zbierania wiadomości o przesądach i praktykach lekarskich ludu ukraińskiego, z przeznaczeniem tej pracy do użytku komisji antropologicznej. Ofiarowane przez Hryncewicza, wykopaliska z kurhanów pod miasteczkiem Ryżanówką w powiecie Zwinogradzkim na Ukrainie, pomiędzy którymi naczynia gliniane z ozdobami biało inkrustowanymi, przedstawił p. G. Ossowski. Na jego wniosek postanowiła komisja poprzec w możliwy sposób dalsze poszukiwania dra Hryncewicza. W końcu p. Ziemięcki odczytał sprawozdanie z poszukiwań archeologicznych, dokonanych przez siebie w r. 1886 w okolicy Halicza, objaśniając rzecz obrazami zdobytych tamże przedmiotów.

Komisja archeologiczna Akademii umiejętności, na odbytym dnia 17-go czerwca r. b. posiedzeniu, zajmowała się dyskusją w sprawie użycia funduszów swoich na dalsze wydawnictwa publikacyj: „Monumenta epigraphica cracoviensia medii aevi” (prof. Łepkowski); „Zabytki przedhistoryczne ziem polskich” (G. Ossowskiego), i „Spisów wykopalisk”—naddo przedstawił p. Ossowski rzecz o zabytkach z Ryżanówki i z Iskryna na Ukrainie.

Dnia 24 czerwca zgromadzili się w gmachu Akademii umiejętności zaproszeni przez przewodniczącego komisji fizyograficznej, prof. dra Rostańskiego: prezes Akademii dr. J. Majer, profesorowie i docenci uniwersytetu, profesorowie szkół średnich, zajmujący się naukami przyrodniczymi, wreszcie członkowie komisji fizyograficznej, w ogólnej liczbie 31. Jako cel zgromadzenia przedstawił prof. dr. Rostański zawiązanie „Towarzystwa przyrodniczego,” którego zadaniem byłoby zapoznanie społeczeństwa naszego z naturą kraju i rozszerzenie wiadomości z zakresu nauk przyrodniczych, zwłaszcza przez wydawanie pisma popularnego. Przedłożywszy projekt statutów zawiązać się mającego Towarzystwa, prosił prof. Rostański zgromadzonych o podanie na piśmie zuian, jakie w nich wydawałyby się potrzebne. Po możliwem uwzględnieniu wyrażonych opinij przesłane zostaną statuta Wys. Namiestnictwu do zatwierdzenia. Sam akt założenia „Tow. przyrodniczego” opiewa:

Działo się w Krakowie, w gmachu Akademii umiejętności, dnia 24 czerwca 1887 r. Niżej podpisani członkowie komisji fizyograficznej oraz zaproszeni przez jej przewodniczącego goście, uważając, że dla rozbudzenia wśród naszego społeczeństwa zamiłowania do przy-

rody i dla szerzenia wśród niego wiadomości przyrodniczych, nieodzownym jest skupienie się ludzi dobrej woli, postanowili w celu gorliwego popierania tych zadań, zawiązać „Towarzystwo przyrodnicze.”

Podpisali: dr. Majer, dr. Rostański, dr. Teichmann, dr. Cybulski, G. Ossowski, dr. Łazarski, J. Boehm, dr. Rosner, dr. Stopczański, dr. Zarewicz, dr. Wierzejski, F. Bieniasz, dr. Ponikło, dr. Jaworowski, Fr. Tomaszewski, K. Bobek, J. Kranz, dr. Gluziński, dr. Piekosiński, dr. Grabowski, dr. Fiszer, K. Jelski, dr. Zieleniewski, dr. Browicz, W. Jabłoński; dr. Adamkiewicz, dr. Szajnocha, dr. Krzyżanowski, dr. Domański, M. Raciborski, W. Kulczyński, Włodz. hr. Dzieduszycki. Następnie odbyło się posiedzenie naukowe komisji fizyograficznej. Prof. dr. Wierzejski mówił o znaczeniu podwójnych statoblastów u krajowych mszywiółów (bryozoa). Nie zgadzając się na zapatrywanie p. Kafki, jakoby tworzenie statoblastów z pierścieniem pławnym lub bez niego, zależne było od lepszego lub gorszego odżywienia osobników, wykazał dr. Wierzejski, że prawdopodobnie różne formy statoblastów różne mają zadanie: bez pierścienia pławnego służą gatunkowi do utrzymania w posiadaniu raz zajętego stanowiska za pomocą statoblastów, z pierścieniem zaś zdobywać sobie może gatunek stanowiska nowe. W dyskusji nad tym przedmiotem zabierali głos dr. Jaworowski i dr. Rostański. Następnie mówił dr. Jaworowski o faunie studzien krakowskich, którą porównywał z rezultatami, otrzymanymi przez prof. Vejdowskiego w Pradze. Z badań dytychczasowych wynika, że nawet w częściach miasta, za stosunkowo zdrowe uchodzących, woda zawiera organizmy, świadczące częścią o wielkim zanieczyszczeniu studni, częścią o ich bezpośredniej komunikacji z kloakami. Dr. Jaworowski znalazł w badanych dotąd studniach około 100 gatunków, z których oznaczył już 55. W dyskusji zabierali głos: p. K. Jelski, dr. Rostański, p. Raciborski, dr. Cybulski, p. Boehm i dr. Szajnocha. W końcu podał prof. dr. Wierzejski wiadomość, odnoszącą się do zarazy raków, która przed kilku laty dała się dotkliwie uczuć także w Galicyi. W jednym z raków żywych, przystających z Tarnopola, znalazł dr. Wierzejski robaka „*Distomum cirriferum*,” uważanego przez dr. Harza za powód zarazy. Robak ten był w mięśniach raka otorbiony, a mimo to zupełnie dojrzały; jestto fakt dla historii rozwoju tego działu robaków nowy. Zrobione obecnie spostrzeżenia doprowadziły dr. Wierzejskiego do przekonania, że wspomniany robak, wbrew zapatrywaniu dr. Harza nie może być powodem zarazy. P. M. Raciborski przypomniał, że w rakach z okolic Krakowa, które przed kilku laty uległy zarazie, badanych przez niego i przez dr. Wierzejskiego, nie znalazły się żadne pasożyty roślinne ani zwierzęce, z czego wynika, że zarazę wywoływać muszą inne przyczyny.

Dnia 30 czerwca b. r. w Akademii umiejętności odbyło się posiedzenie wydziału matematyczno-przyrodniczego pod przewodnictwem dyrektora dra Teichmanna. Sekretarz, prof. dr. Kuczyński, przedsta-

wił: *a*) korespondencyą, przeprowadzoną z p. Rewkowskim z powodu nadesłanej przez tegoż rozprawy p. t.: „Początki ekonomii analitycznej;” *b*) rozprawę dra Br. Lachowicza p. t.: „O objętości drobinowej związków chemicznych w stanie płynnym” z oceną tej pracy przez prof. dra Radziszewskiego; *c*) dwie rozprawy prof. dra Ernesta Bandrowskiego: pierwszą p. t.: „O dwufenylo-para-azofenylenie,” drugą p. t.: „O dwunitrobenzodynach;” *d*) rozprawę dra Ignacego Szyszyłowicza p. t.: „Polypetalae Thalamiflorae Rheimanianaee” wraz z oceną prof. dra Rostańskiego; *e*) rozprawę prof. Franciszka Tomaszewskiego p. t.: „Przyczynek do znajomości statėj dielektrycznej płynów” wraz z oceną prof. dra Wróblewskiego. Nakoniec zatwierdzono nowoprzybranych przez komisję fizyograficzną członków: p. Zygmunta Fischera, asystenta przy katedrze zoologii w uniwersytecie Jagiellońskim i pana Dominika Zbrożka, prof. geologii w szkole politechnicznej lwowskiój.

Dnia 7 lipca b. r. odbyło się w Akademii umiejętności posiedzenie komisji historii sztuki, na którém po zdaniu sprawy komisji wydelegowanėj do obmyślenia programu inwentaryzacji zabytków miasta Krakowa do celów naukowych, takiój, jak ją posiada wiele już miast na Zachodzie i w Niemczech, obecni wysłuchali szczegółowo motywowanego budżetu komisji na rok przyszły, odczytanego przez sekretarza komisji p. Stanisława Tomkowicza i uchwaili przedłożyć go za pośrednictwem Wydziału I-go Zarządowi Akademii. Następnie kilku członków komisji udzieliło komunikatów w sprawach, tyjących się historii sztuki, a między nimi Konst. hr. Przezdziecki zwracał uwagę na piękną majolikową figurę polichromowaną, wmurowaną na podwórzu domu kapitulnego (ul. Poselska l. 7), z XVII w. zapewne pochodzącą. Poczém przewodniczący, prof. Łuszczkiewicz, przedstawił fotografią, umyślnie zamówioną w Poznaniu z obrazu św. Hieronima na puszczy, tamże znajdującego się w zakrystyi kanonicznój w katedrze, objaśniał znaczenie monogramisty, używającego liter M. L., pojawiającego się w Polsce na początku XVI w., a którym będzie może Michał Lencz z Kitringen. Podczas gdy obraz jego krakowski 1522 (w kaplicy Nawrócenia św. Pawła na niższej wieży Maryackiej), pod względem artystycznym mniejszą ma wartość, obraz poznański z r. 1507 okazuje wybitnie wpływ szkoły Dürera i odznacza się wysokimi zaletami. Oczywiście więc malarz, siedząc w Polsce, zaniedbał się z czasem i zapomniał tego, co przywiózł ze sobą z Norymbergii. Jest jeszcze trzeci znany u nas jego obraz w Kielcach (św. Wojciech); Lencz był malarzem nadwornym biskupa Konarskiego, którego téż herb na obrazie poznańskim pomieścił: a byłby to jeden z nader rzadkich wypadków odnalezienia dzieł malarza, którego nazwisko wpisaném jest w aktach miejskich krakowskich, w sposób okazujący, że go za coś lepszego od innych cechowych współcześni uważali.

P. Tomkowicz przedłożył kilkanaście tablic planów i zdjęć archi-

tektonicznych, dokonanych przez p. Jana Zubrzyckiego z budynków szpitalnych św. Ducha, które jako mające prawdziwą naukową wartość i jako rzeczy piękne, zasługują na uwagę.

Komisya fizyograficzna Akademii umiejętności w Krakowie postanowiła zająć się badaniem dzikich źródeł, znajdujących się w Galicyi. Badania takie mogą doprowadzić do wykrycia nieznanych dotąd wód mineralnych, które z czasem stałyby się ważnym źródłem bogactwa krajowego. Nie rozporządzając takimi środkami, któreby wystarczały na przeprowadzenie tych badań bez zewnętrznej pomocy, zwraca się komisya do właścicieli dóbr, księży, nauczycieli ludowych, leśniczych i w ogóle do ludzi dobrej woli z prośbą o poparcie jęj usiłowań przez nadsyłanie wód ze znanych im i przystępnych źródeł w ilości jednego litra wraz z dokładnym opisem położenia źródła i jego własności. W opisie źródła należy uwzględnić następujące pytania: 1) Na czym gruncie wytryska źródło, czy i jaką ma nazwę? 2) Czy było chemicznie badane i przez kogo? Należy następnie uwzględnić: 3) obfitość źródła, 4) temperaturę wody w źródle (jeśli można). 5) Przejrzystość wody. 6) Woń wody (woda siarczana). 7) Smak wody (kwaśny, słony, żelazisty i t. d.). 8) Obfitość gazu, kwasu węglowego.

Próbki wody należy nadsyłać w butelkach, starannie piaskiem wymytych i następnie wypłukanych wodą z tego samego źródła. Zaraz po napełnieniu butelek wodą, należy je szczelnie zatkać dobrymi korkami i opieczętować.

Ponieważ zbadanie wszystkich źródeł w kraju, z powodu znacznej ich obfitości, musi być rozłożone na dłuższy przeciąg czasu, przeto komisya zamierza rozpocząć je od źródeł, położonych na podgórzu karpaciem, upraszając o nadsyłanie z nich szczaw i solanek; a o przysyłanie tylko wiadomości (bez butelek wody) o wszystkich źródłach mineralnych (siarczane).

Przesyłki należy wysyłać pod adresem: Komisya fizyograficzna Akademii umiejętności w Krakowie.

Kraków, dnia 9 lipca 1887.

Wł. Kulczyński.
sekr. koin. fiz.

Dr. Rostański.
przew. kom. fizyograficznój.

W „Towarzystwie przyjaciół nauk w Poznaniu” odbył wydział historyczno-literacki w ostatnim czasie kilka posiedzeń, na których pojedynczy członkowie czytali swoje studia. Przedewszystkiem trzeba wymienić rozprawę ks. oficyała Korytkowskiego „O arcybiskupie Gamracie, będącą częścią wielkiego dzieła, mającego objąć żywoty wszystkich arcybiskupów gnieźnieńskich, obfitującą w cenny wyzerpujący wszystko, co dotychczas o tym prymasie napisano, a to w celu rehabilitacyi arcybiskupa Gamrata.—P. K. Jarochowski mówiąc, o „Pamiętnikach ks. Adama Czartoryskiego, przypomniał, że już w r. 1865

wyszedt, jakoby ustęp pamiętnika (Corresp. z ces. Al. I.) podobny do świeżo wydanej publikacji i że z Pamiętnika tego korzystał już Br. Zaleski w „Życiu ks. Adama.“ Pamiętniki ks. Czartoryskiego były prawdopodobnie spisane za panowania Ludwika Filipa (1845—1848). Ref. objawił przypuszczenie, że wydanie nie jest jeszcze zupełne, bo spotykamy znaczne przerwy (od 1787—1795-go) i to z epoki drażliwej dla Czartoryskich. P. Jarochoński przedstawił na podstawie tych pamiętników, (opisujących czas od 1776—1805), jako téż korespondencji księcia z ces. Aleksandrem I-szym (przerwanéj na r. 1823), wychowanie ks. Czartoryskiego, jego pobyt w Petersburgu i we Włoszech, a mianowicie stosunek jego do cesarza Aleksandra z odpowiedniemi uwagami krytycznemi. Dr. Władysław Żebniński czytał sprawozdanie o niezmiernie zajmującym odkryciu w wykopalisku, dokonany przez siebie w Kujawach, nad Gopłem, na gruntach wsi Rzeszynka i Kołudy. Znaleziony w jednym z odkopanych grobowców, obok urny, dość dobrze zachowany kościotrup, stanowi, według zdania archeologów, ważny dla nauki nabytek.

W dniu 30 czerwca odbyło Towarzystwo, stosownie do swoich statutów, posiedzenie publiczne wśród udziału dość licznój publiczności. Generalny sekretarz Towarzystwa, hr. Engeström, odczytał ogólne sprawozdanie z czynności i rozwoju Towarzystwa za rok ubiegły. Następnie prezes Towarzystwa, August hr. Cieszkowski, przedstawił uczoną rozprawę z dziedziny historyzofii pod tytułem: „Z epoki odrodzenia nauk historycznych.“ W rozprawie téj, mającej stanowić wstęp do dokumentów, wydobytych z archiwum weneckiego, a służących do historyi polskiej za Władysława Jagiełły, starał się autor wykazać postęp, jaki nauka historyczna uczyniła od czasu, odkąd archiwa stały się otworem, odkąd skarby w nich odkryte pozwalają poddać sumiennéj i ścisłej kontroli to, w co jednostronna często historyografia o przeszłości wierzyć nam dotąd kazała. Po ukończeniu zebrania publicznego, odbyło się tegoż samego dnia administracyjne walne zebranie członków Towarzystwa. Odczytane na niem sprawozdania redaktora Roczników, d-ra Żebnińskiego, i konserwatora zbiorów Towarzystwa, d-ra Erzepkiego, wykazują rozwój Towarzystwa pod każdym względem. Mianowicie nie zbywa mu na dobrodziejach, którzy zasiłają je nie tylko darami, mającemi wartość naukową i artystyczną, lecz i znaczniejszemi legatami pieniężnemi. Ostatniemi mianowicie czasy nie zbywało na nich i to hojniejszych. Z darów wartości artystycznej zasługuje na szczególną wzmiankę olbrzymia, gipsowa wypukłorzeźba roboty rzeźbiarza Rygera z Florencyi, wystawiająca bitwę pod Wiedniem. Co się tyczy zbiorów Towarzystwa, te zostały zabezpieczone w jednéj z instytucyj assekuracyjnych niemieckich blisko na 600,000 marek.

Dnia 13 kwietnia r. b. odbyło się w Budziszynie doroczne zgro-

madzenie członków „Macierzy serbsko-łużyckiej,” pod przewodnictwem prezesa Michała Hórnik. Założona przed 40-u laty „Macierz” rozwija się dość pomyślnie względnie do okoliczności nieprzyjaznych, z którymi jej walczyć przychodzi. W ciągu swego istnienia wydała już 44 dzieła większe, 75 zeszytów „Czasopisma Macierzy,” 33 roczniki Kalendarza i oprócz tego kilka podręczników szkolnych i utworów muzycznych. Jeśli będziemy mieli na względzie zbyt szczupłe środki pieniężne, jakimi ta instytucja rozporządza i częste niemiłe kolizye z wrogim rządem pruskim, nie będziemy się wcale dziwili, że w ciągu 40 lat tylko tyle dzieł wydała „Matica.” W roku zeszłym dochód jej stanowiło 2,775 marek, wydatki zaś uczyniły 2,751 marek. Obecnie Łużycanie zamierzają wydać wszystkie dzieła przedniejszego poety swego, Andrzeja Zejlera, i w tym celu w całej Słowiańszczyźnie zbierane są składki. Nadmieniamy tu, że na liście ofiarodawców ledwie kilku Polaków się znajduje.

Togi uniwersyteckie we Lwowie. Senat uniwersytetu we Lwowie na wniosek rektora, dr. Tadeusza Pilata, powziął na posiedzeniu z dnia 30-go marca 1887 uchwałę, wznawiającą użycie strojów akademickich, t. j. tog i biretów przy uroczystościach uniwersyteckich. Uchwałę zatwierdził cesarz postanowieniem z dnia 28 maja. Z obszernego wywodu, jakim Senat akademicki we Lwowie poprzedził swe przedstawienie do ministerstwa, powołujemy kilka odnoszących się do strojów akademickich we Lwowie. Uniwersytet lwowski, powstały w r. 1784 ze złączenia wykładów teologicznych, jurydycznych i filozoficznych, używał strojów akademickich, jakich podówczas inne uniwersytety i Akademie używały. W Akademii Jezuickiej we Lwowie, założonej w r. 1759, a więc poprzedniczej dzisiejszego uniwersytetu, znane i używane były stroje akademickie takie, jakie były w użyciu w innych Akademjach Jezuickich. Świadczy o tém wzmianka w pamiętnikach Fr. Karpińskiego, naocznego świadka, który przy otwarciu Akademii był ubrany w stroju doktorskim. (Pamiętnik Fr. Karpińskiego wyd. Moraczewskiego. Lwów, 1849, str. 40). Przy otwarciu uniwersytetu we Lwowie w r. 1784, pierwszy jego Rector Magnificus, biskup przemyski, Betański, darował uniwersytetowi cztery srebrne berła fakultetów, strój rektorski, stroje dziekańskie i 100 dukatów. Rozporządzenie gubernialne z dnia 2 października 1801, na podstawie dekretu nadwornego z dn. 21 listopada 1784 („Politische Gesetzsammlung” r. 1784 str. 401) zarządziło sprzedaż tych ubrań, stanowiąc, aby kwoty, uzyskané ze sprzedaży tog i biretów, użyto na zakupno portretu Cesarskiego i sprzętów do sali posiedzeń. Według protokołu licytacji, odbytej dnia 7 stycznia 1802 r. przez prof. Vrechę i syndyka uniwersytetu Brugak'a, uzyskano ze sprzedaży tog i biretów sumę 182 zł. monetą konw. Od téj chwili aż po rok obecny, uniwersytet lwowski obywatł się bez strojów akademickich. Uroczyste akty immatrykulacyi, promocyi, habilitacyi wymagają, iżby, dla powagi miejsca i aktu, biorący w nich

udział dygnitarze akademicy nosili poważne stroje akademickie. Przy promocyi, akcie bardzo uroczystym promowania kandydata na stopień doktorski, bywało, że Rektor Magnificus, dwaj dziekani i promotor występowali w codziennych swych ubraniach. Do podniesienia uroczystości tych przyczuyi się niezawodnie strój akademicki, poważny. Działa tu ten sam motyw, który w innych krajach każe sędziom, występującym w trybunale nosić długie talary, lub togi i birety.—Jakie to były te dawne stroje akademickie w uniwersytecie Lwowskim? Każ. Wł. Wójcicki w ustępie o Akademii lwowskiej w I. tomie Encyklopedyi powszechnej Orgelbranda, powiada: „Rektor i profesorowie, doktorowie prawa, filozofii i świętej teologii występowali w ponsowych aksamitnych płaszczach ze złotemi frendzlami. Uczeń zaszczycony dostojnością doktora przybrany był w płaszczyk czarny po pas, z błękitną grodyturową podszewką i bordurą takiejże barwy z pętlcami srebrnemi na przodzie. Na głowie miał biret, w ręku niósł berło wyzłocone.” Taki strój opisuje też poeta Fr. Karpiński. Ubranie rektorskie w Krakowie składa się z togi purpurowej aksamitnej, bramowanej gronostajami i pelerynką gronostajową ozdobioną. Togi dziekanów i profesorów mają barwy według fakultetów, a mianowicie teologia: fiolet, prawo: czarną; filozofia: niebieską. Po raz pierwszy wystąpili dostojnicy akademicki: Rektor Magnificus i trzej dziekani w nowych strojach akademickich w Krakowie przy sposobności uroczystego otwarcia *Collegii novi* uniwersytetu Jagiellońskiego; we Lwowie zaś ukazali się dnia 30 czerwca r. b. przy sposobności odbycia aktu promocyi doktorskiej w auli uniwersytetu lwowskiego.

W dniach 18 i 19-go lipca r. b. odbyło się w Stanisławowie do-roczne walne Zgromadzenie „Towarzystwa pedagogicznego” w Galicyi, które jednoczy w sobie nauczycieli szkół elementarnych z całego kraju i położyło już nie małe zasługi dla oświaty narodowej w Galicyi. Z pomiędzy zwykłych czynności natury przeważnie ceremonialnej lub administracyjnej, nie budzących trwałego szerszego interesu, zwrócimy obok słów, któremi prezes Tow. p. Zygm. Sawczyński zagaił posiedzenia Zjazdu, głównie uwagę na uchwały, jakie zebrani postanowili. Szanowny prezes zagajając posiedzenia zjazdu, zwrócił uwagę obecnych na fakt, o którym zwykle zapominają wrogowie racjonalnego rozwoju stosunków społecznych w Galicyi, która przecie razem z innymi dzielnicami nie była panią swoich losów, nie była panią swojej woli od r. 1794-go; musiała stosować się do rozporządzeń każdorazowego gabinetu. „Uszlachetniać umysły i serca milionów ludzi, to zadanie nauczycieli ludowych. Przez długi czas byliśmy usunięci od tej roli, a nawet nie było nam wolno pracować nad odrodzeniem materyalnym. Dopiero w nowszych czasach krajowi naszemu pozwolono dobijać się — i to nie bez trudności — o takie równouprawnienie w warunkach bardzo nierównych. Gdyśmy już coś zdobyli, bądźmy wytrwali, bo tylko wytrwałość świadczy o dobrém spełnieniu obowiązków.” W m.

lutym r. b. zarząd główny Towarzystwa rozesał instrukcją co do zbierania fundusów i organizowania *burs* czyli konwiktów dla dzieci nauczycieli elementarnych. Równocześnie odniesiono się w tym celu o zapomogę do sejmu krajowego. Gdy jednak składki bardzo skąpo wpływały, wystąpiono obecnie z wnioskiem, aby stan nauczycielski własnymi siłami starał się ustalić opiekę nad swojemi dziećmi. Zgromadzenie przyjęło ten wniosek, zobowiązując członków do płacenia 1 ztr. rocznie na bursy; spodziewany z tego źródła dochód uczyni rocznie około 2,000 ztr. Do burs nauczycielskich mają być przyjmowane przedewszystkiem sieroty po nauczycielach, następnie dzieci najbiedniejszych nauczycieli, a w końcu dopiero dzieci zasłużonych. Za ważną także pod względem pedagogicznym i etycznym uważamy kwestyą użycia kar pieniężnych, ściąganych od rodziców nieposyłających dzieci do szkoły. Pieniądze te wnoszono do funduszu szkolnego w celu ułatwienia gminie opłacania nauczyciela. Postępowanie takie kryje w sobie wiele niedogodności, bo ściąga podwójną nienawiść na nauczyciela, jako na sporządzającego listę rodziców niedbałych i jako na pobierającego pieniądze od tych, których na kary zapisał. Ref. Kerekjarto przedstawił przedmiot w sposób wyczerpujący, wskutek czego Zgromadzenie postanowiło starać się wszelkimi siłami o to, aby nadal fundusze te obracane były na kupno pomocy naukowych dla szkoły i na zapomogi biednych dzieci, płaca zaś nauczycieli płynąć powinna ze źródeł stałych. Uchwałę tę należało rozszerzyć w ten sposób, żeby wszelkie grzywny płynęły do głównej kasy szkolnej, która nie tylko płace nauczycieli, ale i pomoce naukowe wedle potrzeby zaspakajać powinna. Pomoce naukowe nie mogą zostawać na łasce funduszu, mogącego z grzywnien się złożyć lub też zupełnie zawieść. P. Józef Opalek zdawał sprawę z wniosku, przekazanego Zarządowi głównemu na poprzednim XX-ym zjeździe w sprawie zmiany „Elementarza.“ Obszerna ta praca ma być drukowaną w czasop. „Szkoła,” dla przeprowadzenia jak najszerszej w tej zasadniczej sprawie dyskusji. Ref. Ludwik Dziedzicki zdawał relacyą o poruczonym zarządowi przez Zjazd poprzedni wniosek założenia *Pedagogium*. Po ożywionej dosyć dyskusji zgromadzenie projekt ten odrzuciło, a zaleciło natomiast zarządowi staranie u Rady szkolnej o otworenie kursów pedagogicznych w miejscowościach, które uzna za stosowne, niemniej poleciło zarządowi starać się o to, aby mogły być jak najprędzej założone muzea pedagogiczne w Krakowie i we Lwowie. Zjazd następny XXII-gi w r. przyszłym ma się odbyć w Rzeszowie, dokąd Towarzystwo zaproszone zostało.

Dnia 9 lipca odbyło się w Krakowie posiedzenie Komitetu budowy pomnika Adama Mickiewicza pod przewodnictwem prezesa m. Krakowa dr. Szlachtowskiego. Prezydujący, po oddaniu hołdu ś. p. Zyblikiewiczowi, któremu komitet przeprowadzenie wzniesienia pomnika poety naszego był poruczył, odczytał najprzód odezwę młodzieży uniwersy-

teckiej, dopominającej się zwołania komitetu, dalej wnioski warszawskich członków komitetu oraz list Augusta hr. Cieszkowskiego. Wnioski warszawskich członków komitetu zawierały projekt następujący: 1) Poruczenie dane ś. p. marszałkowi Zybliekiewiczowi złożyć w ręce jednej z trzech władz lub instytucji autonomicznych krajowych, a mianowicie: albo Wydziału krajowego, albo Akademii Umiejętności lub Magistratu miasta Krakowa, albo też na delegatów, po jednym z każdej tych instytucji.

2) Następnie, co do rozwinięcia tego zadania przedstawić władzy, instytucji, lub ewentualnie delegatom wymienionych władz i instytucji do uwzględnienia następujące wnioski:

a) Aby rozszalenie konkursu nastąpiło przy udziale członków sądu, wybranych w przeważnej liczbie przez konkurujących, w sposób powszechnie praktykowany obecnie, jaki komitetowi dawniej już przez członka Jenikego był w szczegółowym komunikacie wyłuszczonej;

b) Aby z powodu przestanku w działaniu, spowodowanego chorobą i śmiercią ś. p. marszałka Zybliekiewicza, przedłużyć termin do końca grudnia roku bieżącego;

c) Aby do ostatecznego konkursu, jaki wzmiankowane władze, instytucje lub trzej wydelegowani z ich łona przedstawiciele rozstrzygnięciu poddadzą, przypuszczone zostały wszystkie modele pierwszego konkursu rzeźbiarskiego, gdyż przewidywać można, że udział w ostatecznym konkursie będzie mniej liczny, a w najlepszym nawet wypadku zdarzyć się może, że pomysły ostatnie nie będą lepsze od pierwszych, w takim zaś razie wybór musiałby być dokonany w niekorzystnych dla sprawy pomnika warunkach."

Pismo Augusta hr. Cieszkowskiego oświadcza się pośrednio za zwołaniem komitetu pełnego na miesiąc wrzesień r. b., bo ten termin ułatwiłby wszystkim członkom zamiejscowym przybycie i uczestnictwo w pełnym komitecie. Na teraz oświadcza hr. Cieszkowski, iż „przystępuje we wszystkiém do wotum kolegów warszawskich w sprawie pomnikowej."

Następnie zabrał głos dr. Jakubowski, wnosząc, ażeby z powodu zbyt małego kompletu komitetu, odroczyć wybór zastępcy dra Zybliekiewicza do posiedzenia wrześniowego, a dziś przedłużyć tylko termin nadsyłania projektów pomnika do końca grudnia r. b. Na wniosek dra Majera, wywiązała się dyskusja nad uchwałą warszawskich członków komitetu. Popierali ją pp.: Friedlein, Sokołowski, Jordan i Jakubowski. Przeciwno przedłużeniu konkursu mówili prof. Łuszczkiewicz i p. Jaworski. W toku rozpraw dr. Sokołowski proponował, ażeby sprawę budowy pomnika oddano pod ostateczne rozstrzygnięcie wydziału krajowego, czemu się dr. Jakubowski sprzeciwiał, twierdząc, iż komitet ma dość sił do podjęcia sprawy. Na propozycyą dra Weigla i hr. Potockiego postanowiono wystosować do członków komitetu w Warszawie, Poznaniu i Paryżu odezwę z wyłuszczeniem przyczyn, które nie pozwoliły w tej chwili powziąć ostatecznej decyzji, oraz z za-

proszaniem na wrześnieowe posiedzenie. Przyjęto téż bez rozpraw wniosek p. Jankowskiego, ażeby posiedzenia komitetu odbywały się nadal publicznie. Następnie wybrano pp. Przedzieckiego, Jakubowskiego, Łuszczkiewicza i Jaworskiego do przygotowania wniosków o wyborze sędziów konkursowych, oraz do zbadania papierów po ś. p. Zyblikiewiczu, co on dla budowy pomnika już zrobił; téj saméj komisyi przekazano interpelacją p. Jankowskiego w sprawie przewiezienia do Krakowa zwłok Mickiewicza. Nakoniec, zgodnie z postanowieniem, powziętém za kierownictwa Zyblikiewicza, upoważniono dra Szlachetowskiego do zapłacenia p. Władysławowi Mickiewiczowi 4,000 złr. za nierozprzedany nakład dzieł po autorze *Pana Tadeusza*. Pieniądze te będą wzięte z procentów od funduszu zebranego na pomnik.

Komitet Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem ogłasza niniejszem dla pp. artystów rzeźbiarzy konkurs bezimienny na model w glinie popiersia naturalnej wielkości ś. p. Feliksa Gebethnera, członka komitetu i kasyera towarzystwa. Najlepszy z modeli przeznaczony zostanie do wykonania w marmurze za wynagrodzeniem rub. 300; następne zaś dwa, odpowiadające wymaganiom konkursu, otrzymają nagrodę po rub. 40 każdy. Konkurs rozstrzygnięty będzie przez komitet towarzystwa. Konkurujący winni modele swoje dostarczyć do lokalu wystawy towarzystwa przed 1-ym listopada r. b. z załączeniem imienia i nazwiska w zapieczętowanej kopercie i z oznaczeniem na kopercie i na modelu swojego godła.

Kolumna króla Zygmunta w Warszawie już zupełnie w tych dniach rozebraną została. Były na niej dwa napisy, które dla pamięci wieków potomnych przytaczamy. Jeden z napisów jest na tablicy, zdaje się złoconej w ogniu, która umieszczona była powyżej piedestału kolumny. Napis ten, dość jeszcze czytelny tak brzmi:

„Opus
Amoris et honoris
a Vladislao IV
Patri suo Sigismundo III
Anno domini MDCXLIII
Erectum
Prosperere Regnate Augusto III
Anno domini MDCCXLIII
Renovatum.”

Drugi napis, cienkimi wypukłemi literami, na małej wielkości rozłożonego arkusza blaszce, która umieszczona była u szczytu kolumny, pod stopami figury królewskiej, tak brzmi:

„Jan Franciszek Dąbrowski, mając dyspozycyę nad reperacyą zamku warszawskiego od J. W. J. P. Podskarbiego koronnego Nadwor-

nego Macieja Grabowskiego, reperowałem tę kolumnę i statwę N. K. Zygmunta złotem, żelazem, ołowiem, kamieniem, kytem, hradusami i kratą, mając kaminiajsza Jana Stachowskiego z Krakowa, majstra w sztuce kamieniarskiej wielce biegłego, w roku pańskim 1742."

U samego dołu, prawie u samego skraju blaszki, jest jeszcze jeden wiersz, jakby wyskrobany z metalu, ale tu litery są już najzupełniej nie do odczytania.

Nowe towarzystwo. Niedawno powstało w Paryżu nowe stowarzyszenie litewskie pod nazwą „Żelmo” na wzór Towarzystwa literackiego. Zadaniem tego Towarzystwa jest rozbudzenie świadomości narodowej, rozwijanie języka i literatury litewskiej. Na przewodniczącego stowarzyszenia obrano p. M. Akielewicza, honorowym zaś prezesem został wychowaniec wszechnicy Jagiellońskiej, młody lingwista dr. Jan Hanusz.

Szkoła historyczna watykańska, utworzona przed trzema laty przy archiwum tajnem Stolicy św., a oddana pod kierunek msgr. Cariniego, należy do tych kreacyj Leona XIII, które w historii współczesnej nauki bardzo zaszczytne zajmują miejsce. W szkole tej ukończył się obecnie kompletny trzyletni kurs, uwieńczony egzaminami, które odbyły się 10 i 11 czerwca b. r. wobec komisji egzaminacyjnej, złożonej z kardynałów i archiwistów archiwum watykańskiego. Komisya powyższa przyznała dyplomy paleografów-archiwistów: ks. Janowi Kirschowi z dyecezyi luksemburskiej; p. Alfredowi Monaci, rzymianinowi; ks. Maryanowi Toussaint z dyecezyi St. Brienne, ks. Franciszkowi Gasparolo, z dyecezyi Aleksandryjskiej w Piemoucie; hr. Karolowi Pagani, Planca Incoronati, rzymianinowi, p. Stanisławowi Krzyżanowskiemu, z dyecezyi krakowskiej, czł. Instytutu austriackiego di studii storici w Rzymie i ks. kanonikowi Antoniemu Melata, rzymianinowi. P. Stanisław Krzyżanowski, wychowaniec uniwersytetu Jagiellońskiego, który biorąc udział w wyprawie naukowej prof. Smolki, przez ten ostatni rok tylko uczęszczał do szkoły watykańskiej, prywatną nauką dopełnił przedmiotów, wykładanych w ciągu dwóch lat poprzednich, „Osservatore Romano” wyraża wysokie uznanie dla pierwszych wychowawców szkoły watykańskiej, „którzy odbyli te egzamina tak pomyślnie, iż prześcignęli colla loro valentia non commune nadzieje samej komisji egzaminacyjnej.” Dziennik kończy obszernie sprawozdanie o szkole watykańskiej następującymi słowy: „Wynik tych egzaminów będzie niewątpliwie pociechą dla Ojca św., który w swęj światłej wspaniałomyślności pragnie z archiwów papieskich utworzyć jasne ognisko naukowe i popierać według możności mierzalną uprawę i rozwój doniosłych badań historycznych.“ P.

Obfitość materiału bieżącego nie pozwoliła nam zamieścić sprawozdań z obrad, jakie z niezwykłym ożywieniem toczyły się w ubie-

głym miesiącu czerwcu podczas jarmarku Święto-Jańskiego, w kołach pracy ekonomicznej w Warszawie. Rozumna oględność, a często i troska zajęły miejsce dawniej zbytniej niekiedy ochoty i zbytku. Sala muzeum przemysłu, dawno nie widziała takiego natłoku gości, jak podczas odbytych w owym czasie posiedzeń Sekcji II-jej Towarzystwa popierania przemysłu i handlu i delegacyi przemysłowo-rolniczej.

Narady Sekcji II-jej, koncentrującej w sobie sprawy, dotyczące w ogóle rolnictwa, ciągnęły się przez dni trzy i oprócz wyczerpania kwestyi bieżących, załatwiono się jeszcze z wyborem zarządu Sekcji. A na porządku dziennym stały kwestye, mogące zainteresować szerokie koła naszego społeczeństwa. Przedewszystkiem zastanawiano się nad wnioskiem p. Juliusza Kułakowskiego, dotyczącym otwarcia w kraju fabryki przetworów chemicznych a głównie owocowych. Mimo obfitości owoców w ogrodach naszych wiejskich i podmiejskich, przetwory owocowe sprowadzamy w znacznej części ze stron dalekich. Zdaniem wnioskodawcy, przy należytem urzędzeniu przedsiębiorstwa, można mieć nadzieję zwalczenia konkurencyi zagranicznej. Lecz jest i wróg domowy, z którym walka wymagać będzie solidarności, nie tylko pomiędzy tymi, którzyby przystąpili do przedsiębiorstwa, ale i pomiędzy właścicielami ogrodów w ogóle. Wrogiem tym są żydzi, dzierżawiący sady owocowe, należące zarówno do większych właścicieli ziemskich jak i do włościan, a zbierający te zyski i dochody, jakie przy należytem uregulowaniu i rozwinięciu interesu, mogłyby w znacznej części dostać się właścicielom sadów. Wobec jednak trudnych warunków ekonomicznych, w jakich kraj znajduje się obecnie, zgromadzeni, przyznając całą pożyteczność projektu pana Kułakowskiego, uznali za właściwe nie rozpoczynać interesu na wielką skalę, zaniechać tymczasowo budowania fabryki a natomiast wypróbować grunt należycie przez założenie przedsiębiorstwa małych rozmiarów. Fundusz na próbę ma być zebrany drogą składek dobrowolnej, ku czemu Sekcja ofiarowała p. Kułakowskiemu swe usługi i pośrednictwo.

Drugie i trzecie posiedzenie Sekcji II-jej poświęcone było wyłącznie sprawom cukrownictwa. O poprawieniu się stanu rzeczy tej gałęzi przemysłu mieliśmy już sposobność wzmiankować w Kronice, na miesiąc lipiec (str. 143). Przewodniczący obradom, pan Wortman, wykazywał starania podejmowane w tym względzie przez nowo-utworzony Syndykat kijowski, którego biuro zajmuje się nadto doniosłą sprawą uorganizowania statystyki cukrownictwa i uprawy buraków odpowiednio do potrzeb tej gałęzi przemysłu. Dane cyfry co do kampanii ubiegłej przedstawiła zgromadzeniu redakcja „Przeglądu technicznego.

Ograniczając się na pobieżnej wzmiance o tych kwestyach czysto specjalnych, jako to z powodu odczytu p. Koziatulskiego „O stratach nieoznaczonych przy wyrobie cukru,“ pana Broniewskiego „O wy-

dajności mas cukrowych“ p. Łubieńskiego „O stanie badań krajowych w sprawie nasion buraczanych,“ p. Orłowskiego „O metodach pławienia i polaryzacji i wreszcie przy rozpatrywaniu dwóch wynalazków z dziedziny przemysłu cukrowego, zatrzymamy dłuższą uwagę czytelnika na trzech kwestjach, mogących obchodzić ogół. Pierwszą jest poruszona w „Przeglądzie technicznym“ przez pana G. Wizbeka sprawa ustanowienia terminologii polskiej w dziedzinie cukrownictwa. Dążność do spolszczenia nazw i wyrażeń technicznych w rozmaitych czy to działach nauki, czy gałęziach przemysłu, jest obecnie kwestyą na czasie. W chemii istnieje cały systemat nazw, zastępujących używane poprzednio terminy cudzoziemskie; podobnież w medycynie specjaliści polacy posługują się już teraz prawie wyłącznie nazwami, uformowanymi z pierwiastków polskich, a ucho publiczności powoli oswaja się z temi dziwnie z początku brzmiącemi wyrażeniami. Obecnie do takiej samej przeróbki terminologii cudzoziemskiej przystąpiono w dziedzinie cukrownictwa. Podstawy główne w tej sprawie, rzucone były już poprzednio, przy wydawnictwie i tłómaczeniu niektórych dzieł specjalnych, zwłaszcza pod kierownictwem p. St. Kossutha. Obecnie idzie głównie o zebranie, uzupełnienie i co najtrudniejsza, o przeprowadzenie ustanowionych terminów w praktyce życiowej. „Przegląd techniczny“ otworzył gościnnie łamy swoje dla wszelkich uwag w tym względzie, pochodzących bądź od cukrowników, bądź od językoznawców; Sekcja zaś II towarzystwa pop. przemysłu i handlu, wyznaczyła z grona delegacyą tak zwaną „słownikową,“ której wnioski sformułowane najpóźniej w ciągu roku, uważane być mają za ostateczne i obowiązujące wszystkich. W obec dobrych chęci, jakimi widocznie było ożywione zgromadzenie specjalistów, spodziewać się możemy, że myśl, podjęta i przedyskutowana w gronie obradujących, przyoblecze się w ciało; celem wszakże zapewnienia przyszłej terminologii cukrowniczej polskiej odpowiedniej czystości językowej, oraz nadania jej powagi i rozpowszechnienia między ogółem polaków uważalibyśmy za potrzebne, ażeby uchwały delegacyi poddane były dyskusji naukowej.

Drugą sprawą ogólniejszego interesu były narady dotyczące wydawnictwa „Pamiętnika fizyograficznego.“ Redakcja tego pisma krząta się nader gorliwie, około zebrania materiału. Urządzono między innymi wycieczki, w celu bliższego poznania roślinności krajowej i uzupełnienia danych, jakie w tym kierunku zebrał pan Łapczyński; artykuły, dotyczące rozmaitych działów krajoznawstwa, napływają do redakcyi obficie. Oprócz tego poruszono na nowo sprawę Wystawy górniczej, która w następstwie mogłaby się przenieść do muzeum górnicze, wreszcie hr. Branicki zakłada w uroczem Frascati muzeum zoologiczne. Materiału więc jest pod dostatkiem, lecz natomiast uczuć się daje dotkliwy brak funduszu. Z 250 prenumeratorów Pamiętnika pozostało obecnie zaledwie 100. Zasiłek kasy Mianowskiego,

nie może pokryć coraz groźniej rosnącego niedoboru. W tém położeniu rzeczy p. Dziewulski, który reprezentował Redakcyę na posiedzeniu, proponował, ażeby utworzyć komisją, złożoną z członków Sekcyi II-jej Tow. popierania przem. i handlu, z muzeum przemysłowego, z muzeum hr. Branickiego, z kasy Mianowskiego, z redakcyi „Pamiętnika,“ która by wzięła na siebie obowiązek zabiegania około wynalezienia funduszu, potrzebnego na dalsze prowadzenie badań fizyograficznych. Sądzymy jednak, że starania te nie przyniosą owocu, jeżeli ogół będzie nadal spoglądał na tę sprawę okiem obojętném, jeżeli nie zainteresuje się ważną kwestyą poznania kraju rodzinnego. Prawda, że bieda ogólna skłania każdego do zajmowania się prawie wyłącznie sprawami swemi osobistemi a zamykania kalety, gdy idzie o cel ogólniejszy; lecz pamiętać należy, że poznanie kraju własnego, znajomość bogactw jego przyrodzonych, może właśnie dopomóc do otrząśnięcia się z biedy, do znalezienia źródeł dochodu u siebie, zamiast szukać ich w stronach dalekich, gdzie zyskując materyalnie, traci się powoli poczucie łączności ze społeczeństwem kraju rodzinnego. Niewątpliwie przedsięwzięcie takie, jak naukowe zbadanie kraju, wymaga funduszków ogromnych, które gdzieindziej łożą instytucye publiczne, zasilane przez Państwo, lecz przy ofiarności prywatnej, rozumie skierowanej, cel ten sądzimy—można, acz powoli, równie osiągnąć i prywatnemi środkami. Z pociechą zaznaczyć możemy, obudzenie się w nas ochoty do zaznajomiania się z krajem; świadczą o tém choćby coraz częściej przedsiębrane wycieczki w różne okolice kraju przez turystów, przekładających poznanie tego, co swoje, nad włóczenie się po zagranicy. Można mieć nadzieję, że nie jeden taki turysta, poznawszy kraj powierzchownie i chcąc bliżej się z nim zaznajomić, zakończy do Redakcyi pamiętnika, o egzemplarz dla siebie, a w ten sposób koło prenumeratorów powiększy się i da choć w części możność prowadzenia dalej badań naukowych ¹⁾.

Wreszcie trzecią sprawą, jaką zajmowali się zebrani członkowie Sekcyi II-jej, był rozbiór pytania, czy centralna stacya meteorologiczna, utworzona przy Muzeum przemysłowém, ma dalej istnieć, czy też być zamkniętą. I tu bowiem ujawnił się wrodzony nam brak wytrwałości w przedsięwzięciu, gdyż z 50 cukrowni, jakie oświadczyły gotowość wnoszenia 40 rublowej składki na utrzymanie stacyi, wniosło przypadającą opłatę zaledwie 21. W tym stanie rzeczy, stacya dalej egzystować nie może. Zgromadzenie wszakże, nie zgadzając się na zniesienie stacyi centralnej, uchwaliło pobudzić fabryki do wywiązania się z przyjętego na siebie obowiązku. Czy półśrodek ten przyda się na co? przyszłość nam pokaże.

¹⁾ Zwracamy uwagę czytelników co do obudzania interesu publiczności dla „Pamiętnika fizyogr.“ na te postrzeżenia i rady, które ref. Bibl. Warsz. objawił przy rozbiórze t. VI-go co do pewnych zmian w układzie treści „Pam. fizyogr.“ Zob. zesz. za lipiec r. b. str. 99 i 100. Red.

Nakoniec do zarządu sekcji powołano przez głosowanie: na przewodniczącego hr. Czackiego; na zastępców zaś: do spraw rolniczych dr. Tadeusza Kowalskiego, do gorzelnicznych pana Przyłubskiego i do cukrowniczych p. Łepkowskiego.

W tymże czasie odbywały się narady delegacji przemysłowo-rolniczej, odbyte pod przewodnictwem p. Ludwika Górskiego. Prace delegacji, utworzonej jak wiadomo na skutek pytania: „jak ratować przemysł rolny,“ wystosowanego przez komitet centralny Towarzystwa pop. przemysłu i handlu w Petersburgu, do oddziałów tegoż Towarzystwa w różnych miejscowościach państwa, dobiegają już do końca, tak, iż prawdopodobnie przyszłe jej zebranie, mające się odbyć w grudniu, będzie już ostatniem. Posiedzenie czerwcowe zajmowało się głównie trzema kwestyami, mianowicie sprawą dróg bitych, kredytu rolnego i dyskusją nad znaczeniem portu Libawskiego. W pierwszej z tych kwestyi odczytał referat pan Majewski, który wykazywał niedostateczność dzisiejszych środków komunikacji i jako desideratum wnosił powiększenie drogowego. W przedmiocie kredytu, czytał elaborat swój p. Oraczewski.

Żywsze rozprawy wywołała sprawa portu Libawskiego. Port ten, będący już obecnie punktem głównym dla handlu zbożem, wywozonym z Cesarstwa za granicę, w niedalekiej przyszłości, w obec prawdopodobnego oclenia w Niemczech transportów tranzytowych i—co za tém idzie — w obec upadku znaczenia portu Gdańskiego dla zboża eksportowanego z królestwa za granicę, może stać się punktem centralnymi dla handlu wywozowego naszego zboża. Wreszcie osobna komisya zdała sprawę z oględzin mechanicznej uprawy roli, zaprowadzonej przez p. Korzybskiego.

W tej samej epoce zjazdu rolników hodowcy owiec i kupcy wełny, naradzali się pod przewodnictwem również p. Ludwika Górskiego, nad kwestyą zmiany terminu jarmarku Święto-Jańskiego. Idzie o to, że w naszych warunkach klimatycznych, strzyża owiec odbywa się zbyt wcześnie, oraz że przy obecnym terminie jarmarku, wielu hodowców nie może podążyć z przygotowaniem produktu na czas wymagany. Po ożywionych rozprawach, zgromadzenie doszło do wniosku, że jarmarku nie możnaby opóźnić więcej jak na dni kilka zaledwie, co nie przyniosłoby istotnej zmiany, pożądanej ze względów klimatycznych, a mogłoby narazić wytworców na straty, spowodowane przez ewentualny brak nabywców. Decydowano się przeto w rezultacie pozostawić rzeczy po dawnemu.

Podwyżki cła wchodowego na produkty i wyroby zagraniczne, jakieśmy to już kilkakrotnie mieli sposobność zaznaczyć, stoją obec-

nie na porządku dziennym w wszystkich państwach europejskich. Do rzędu faktów tego rodzaju przybývá obecnie zatwierdzone przed niedawnym czasem podniesienie cła od chmielu i ekstraktu chmielowego, wprowadzanych z za granicy do państwa Rosyjskiego. Taryfa cłowa na chmiel w ciągu ostatnich lat trzydziestu kilku nieznaczny jedynie podlegała zmianom, wahała się mianowicie między opłatą 1 rs. kredyt. a 1 rs. 45 kop. metal. za pud, przyczem kilkakrotnie to obniżano ją, to znów podwyższano. Tęj ostatniej wysokości cło od chmielu dosięgło w r. 1885-ym. Opłata jednak nie wywierała żadnego wpływu na rozwój chmielnictwa krajowego, a to wskutek uprzedzeń przeciwko produktowi miejscowemu, panujących w odnośnych sferach przemysłowych. Rzeczywiście mimo zaprowadzenia ulepszonych chmielników w różnych miejscowościach gubernii Kaliskiej w Królestwie, na Litwie i wreszcie na Wołyniu, mimo że chmiel z tych okolic prawie nie ustępował najlepszym gatunkom renomowanego chmielu czeskiego i bawarskiego,—piwowarzy krajowi sprowadzali wciąż na potrzeby swoje, prawie wyłącznie chmiel zagraniczny, płacąc za niego bez porównania drożej, aniżeli by ich kosztował chmiel, nabyty na miejscu. Wskutek tego ten ostatni musiał sobie szukać dróg zbytu poza granicami kraju. I oto przez długi szereg lat trwał tak anormalny stan rzeczy, że równoległe egzystowały bez żadnego oddziaływania na siebie zarówno przywóz chmielu z zagranicy, jak i wywóz jego z kraju. Dane urzędowe co do handlu zewnętrznego stwierdzają, że np. w latach pomiędzy 1880 a 1886-ym piwowarzy w Cesarstwie i Królestwie sprowadzali rok rocznie ilość około 80,000 pudów chmielu z zagranicy, podczas gdy również z całego państwa wysłano na sprzedaż za granicę w 1882-im przeszło 43½ tysięcy, w r. 1883-im przeszło 30 tysięcy a w r. 1884-ym prawie 42½ tysiące pudów chmielu krajowego. Ze powodem tego wysoce anormalnego stanu rzeczy jest głównie uprzedzenie, dowodzi najlepiej ta okoliczność, że chmiel krajowy znajduje nabywców za granicą, a nadto że, jak stwierdzono w drodze urzędowej, chmiel krajowy, wysłany i sprzedany za granicą, po przywiezieniu go z powrotem do kraju w wańtuchach zagranicznych i z zagranicznymi sygnami, znajdował zawsze chętnych nabywców między tymi samymi przemysłowcami, którzy gardzili nim wówczas, gdy był im przedstawiony do nabycia jako produkt krajowy i po cenach daleko niższych. Fakt ten zresztą konstatowany w Królestwie bynajmniej nie należy do wyjątkowych, upodobanie w tém, co nie swoje, jest istotnie naszą chorobą i dopiero w ostatnich czasach przebijając się zaczyna prąd przeciwny. Powracając do kwestyi przywozu chmielu, widzimy, że podobnie w W. Księstwie Poznańskim i w Galicyi przemysłowcy miejscowi posługują się prawie wyłącznie produktem zagranicznym, mimo iż mają wyborne chmielniki około Tomysła w Poznańskim, oraz koło Krakowa i w różnych powiatach Galicyi.

Nowo wprowadzone cło wyrównywa 10 rs. metal. od puda chmie-

lu i 30 rs. metal. od puda ekstraktu chmielowego. Opłata tak wysoka położy bezwarunkowo kres dalszemu przywozowi produktów tych z za granicy i tém samém wpłynie korzystnie na rozwój chmielnictwa krajowego, co w obec trudnych, a z wprowadzeniem wysokich ceł od zboża we Francji i w Niemczech, coraz trudniejszych warunków, w jakich rolnictwo nasze się obraca, nader jest pożądaném. Korzyść, jaką z nowego ukształtowania się stosunków przemysłowo-handlowych może osiągnąć rolnictwo, zrozumiano już w guberniach nadbałtyckich i wzięto się do wyzyskania położenia z tą gruntownością, jaka cechuje plemię germańskie. Podług wiadomości „Kraju,” w powiatach: dorpackim i weizenszteńskim założone być mają trzy praktyczne szkoły uprawy chmielu, do których przyjmowani być mają młodzi ludzie w wieku od lat 15-stu do 18-stu na przeciąg trzyletni; uczniowie ci nie będą wnosili za naukę żadnej opłaty, a koszta utrzymania zwracać mają przedsiębiorcom w pracy około plantacji. Szkoły te oprócz nauki mają mieć na celu i handel chmielem. W ten sposób kraj zyszcze w krótkim stosunkowo czasie ludzi, obeznanych gruntownie ze swoją specjalnością. Czy w kraju naszym nie możnaby urządzić czegoś podobnego?

Pięćdziesięcioletnia rocznica wstąpienia na tron królowej Wiktorji dała sposobność uczonym publicystom angielskim do rzucenia okiem w przeszłość, do spojrzenia na drogę, przebytą przez społeczeństwo w ciągu pół wieku trwającego panowania monarchini i wreszcie do ocenienia osiągniętych na tej drodze rezultatów. Między innemi ekonomista angielski Mulhall, w broszurze p. t. „Fifty Years of national progress“ podał bardzo ciekawe dane cyfrowe, malujące postęp, osiągnięty przez społeczeństwo brytańskie na polu działalności ekonomicznej, wykształcenia i dobrobytu przez owe lat pięćdziesiąt. Jakkolwiek cyfry, podane w broszurze rzeczonój, odnoszą się wyłącznie do Anglii, to jednak sądzimy, że mutatis mutandis dadzą się one zastosować i do innych ucywilizowanych krajów Europy, i dla tego powinny także zająć ogół czytającej publiczności. Bez wątpienia, gdybyśmy chcieli wchodzić w szczegóły, to cyfry podane przez uczonego ekonomistę, musiałyby z pewnością uleść w wielu razach dla tego lub owego państwa zmianom gruntownym, na ogół jednak dają one obraz przybliżony postępu, dokonanego przez społeczeństwa ucywilizowane Europy w ciągu znacznej części bieżącego stulecia. Mulhall bierze za punkt wyjścia rok 1837-y i następnie wykazuje, w jakiej ilości da się wyrazić rezultat, osiągnięty w pewnym dziale przez społeczeństwo brytańskie w połowie pięćdziesięcioletniego okresu t. j. w r. 1860-y i obecnie. I tak między inuemi:

	r. 1837/40	r. 1860	r. 1886
Zaludnienie	100	110	142
dobrobyt	100	134	224

	r. 1837/40	r. 1860	r. 1886
handel	100	265	572
przemysł wełniany	100	203	306
przemysł żelazny	100	230	517
górnictwo	100	215	376
Siła maszyn parowych	100	365	1,140
rolnictwo	100	115	94
banki i kredyt	100	344	672
dochód	100	134	173
wykształcenie	100	170	440

Oprócz tego Mulhall wykazuje, iż średnia długość życia ludzkiego zwiększyła się w tym okresie czasu o lat trzy, oraz że ilość artykułów żywności, konsumowanych przez zwiększoną ludność Anglii, powiększyła się o 60%.

Widzimy zatem wzrost największy w dziale maszyn parowych, operacyj kredytowych, handlu, przemysłu żelaznego i wykształcenia ludności. W tym ostatnim jednak względzie różnice, jakie przy badaniu szczegółowszem ujawniłyby się niewątpliwie między rozmaitemi społeczeństwami Europy, byłyby zdaje się największe. Upadło natomiast rolnictwo, pokonywane powoli przez konkurencją niewyjąłowych jeszcze obszarów Świata Nowego. Najwolniej postępuje to, co daje miarę względnego szczęścia, osiągniętego przez ludzkość przy tak gorączkowej działalności, to jest: dochód i dobrobyt. Jeżeli wszakże z drugiej strony weźmiemy pod uwagę to rozdrażnienie nerwowe i ten chorobliwy stan umysłowy, którym ludzkość zarówno w Anglii, jak i na lądzie stałym Europy okupiła ten świetny zaiste rozwój przemysłu i handlu, jeżeli nadto rozważymy, ile w tym stanie rzeczy u było jej ze zdolności używania dobrobytu, zdobytego tak ciężkimi ofiarami, to bodaj czy owo szczęście względne nie okaże się w ostatecznym rezultacie wprost ułudą.

R.

Dnia 14-go lipca r. b. zmarł w Paryżu Elme Maryan Caro, słynny filozof francuzki, urodz. 4-go marca r. 1826 w Poitiers. Po ukończeniu paryżkiej szkoły normalnej, był czynnym dłuższy czas jako nauczyciel przy różnych liceach, a później jako profesor filozofii na fakultecie w Douai. Od r. 1861 spełniał obowiązki generalnego inspektora Akademii, a od r. 1864 był profesorem w Sorbonie w Paryżu, w r. 1869 został członkiem Akademii nauk moralnych i politycznych a w r. 1874 członkiem Akademii umiejętności w miejsce opróżnione po słynnym Piteŕŕie. Caro był uczniem Wiktora Cousin, głowy eklektyków francuzkich, był zawziętym przeciwnikiem materializmu i polemizował z wyznawcami jego do końca życia. Styl pism jego odznacza się lekką i powabną formą i nadaje wielu ściśle filozoficznym rozprawom pozór beletrystycznej gawędy. Z tego powodu był też Caro ulubieńcem kobiet, i nazywano go „le philosophe des dames.“ Prace

swe umieszczał przeważnie w „Reveu des deux mondes.“ Znaczniejsze są: „Saint Dominique et les Dominicains,“ „La vie de Pie IX.,“ „Problèmes de morale sociale,“ „Etudes morales sur le temps présent,“ „L'idée de Dieu et ses nouveaux critiques,“ „Le matérialisme et la science,“ „Le pessimisme au XIX siècle,“ „La philosophie de Goethe,“ „Les Jours d'épreuve 1870—1871 i t. d.

Ś. p. Michał Pavlinović. Dnia 18-go maja roku bieżącego umarł znany patriota chorwacki i literat Michał Pavlinović. Niestrudzony ten działacz na polu prac publicznych urodził się w roku 1831 w Podgórzu, w Dalmacyi. Na uniwersytet uczęszczał w Zadarze, gdzie studyował teologią. Po ukończeniu nauk otrzymał probostwo w rodzinném mieście, Podgórzu, i tam zaczął rozwijać swoją działalność obywatelską, co mu zjednało rozgłos i miłość między ziomkami. Jemu to przeważnie winna Dalmacya swoje odrodzenie umysłowe i wskrzeszenie nauk w języku ojczystym. Do roku 1860 słyszano tylko pomiędzy ludem wiejskim mowę chorwacką; pierwszy Pavlinović, jako poseł na sejmach krajowych, zaczął przemawiać językiem chorwackim i domagać się dla niego prawa obywatelstwa w Dalmacyi. Ostatnią Pavlinovića pracą był obszerny życiorys poety chorwackiego Botića, zamieszczony przy wydaniu poezyi tegoż poety, dokonaniem przez „Macierz chorwacką” w roku zeszłym.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

Podaliśmy wyżej w „Kronice miesięcznej” wiadomość, że komitet, zamujący się budową pomnika dla Adama Mickiewicza, uchwalił na ostatniem posiedzeniu wyasygnować 4,000 zfr. z procentów od funduszu pomnikowego na zakupno od p. Wł. Mickiewicza pozostałego nakładu dzieł nieśmiertelnego wieszczka naszego, na które rodzina znaczne sumy wydała, nie mogło zaś być mowy o pamiątkach po Adamie, które rodzina złożyła dawno własnowolnie w Muzeum Narodowem krakowskiem. Teraz odbył się w prezydyum magistratu odbiór nakładu dzieł, wystanych z Paryża przez p. W. Mickiewicza. Jako oddawca przesyłki imieniem rodziny, obecnym był p. Ludwik Górecki, jako odbiorca zaś ze strony komisyi, delegowanej do tój czynności, p. Leon Ławkowicz, w zastępwie Konstantego hr. Przezdzieckiego. Oddano: wydanie kompletne dzieł Adama Mickiewicza w 6 tomach egz. 100 (600 tomów); korespondencyi Adama Mickiewicza w 4 tomach 40 egz.; z 11 tomowego wydania dzieł, tomu I egz. 160, tomu II egz. 40, tomu III egz. 160, tomu IV egz. 160, tomu V egz. 39 i tomu VI egz. 159. Ogółem odebrano pojedynczych tomów 1,478.

P. Stan. Ptaszycki wydał w Petersburgu w języku rosyjskim dzieło pod tyt.: „Opis ksiąg i Akt Metryki litewskiej.” Petersburg 1887. Dzieło to jest bardzo pożądane, bo może choć w części ułatwi uczonym poszukiwania historyczne, gdyż przewieziona z Warszawy i Nieświeża do Petersburga „Metryka litewska, czyli zbiór aktów rządowych W. Ks. Lit.,” umieszczona w bibliotece senatu była dla nauki niemal straconą. Ponieważ wstęp dozwolony tylko za każdorazowem pozwoleniem, a przytém nie było dokładnego rejestru tego zbioru, przeto o badaniu naukowem tych skarbow mowy być nie mogło. Potrzebie tój zaradzić może choć w części sumiennua praca p. Ptaszyckiego, pełniącego obowiązki kustosa przy bibliotece senackiej w Petersburgu. W ostatniej chwili czytamy w organie rządowym rozporządzenie, wedle którego biblioteka senacka ma być przeniesioną z Petersburga do Moskwy.

Znaczna część archiwum kapituły katolickiej w Wilnie, obejmująca księgi najstarszych akt i przywilejów królewskich, została przewieziona z katedry do archiwum głównego Muzeum Starożytności w Wilnie.

Biblioteka klasztoru Dominikanów w Lublinie, została przewieziona do Petersburga, do departamentu obcych wyznań.

Na pamiątkę otwarcia nowego gmachu uniwersyteckiego (Collegium novum) w Krakowie w mies. czerwcu ogłosili studenci uniwersytetu „Księgę pamiątkową“, zawierającą 19 rozpraw, napisanych przez uczniów uniwersytetu. Oprócz rozpraw z dziedziny nauk przyrodniczych i prawnych znajdujemy w tej księdze między studjami historycznymi rozbiór tematów takich, jak: „Stanowisko episkopatu polskiego w obec hołdu pruskiego r. 1526-go;” „Rady Kalimachowe;“ „O woźnych sądowych w Wielkopolsce w XIV-ym wieku;” „Stosunki Mickiewicza z Krasieńskim;“ „O Adamie Naruszewiczu.“

Nakładem kasy pomocy naukowej imien. Mianowskiego wyszło w ozdobjej edycji tłumaczenie polskie „Iliady“ Homera, dokonane przez Augustyna Szmurłę, b. inspektora szkół rządowych. W słowie wstępnym poświęca p. Szmurła kilka uwag sprawie progenitury pieśni homerowych, stając po stronie tych uczonych filologów niemieckich, którzy bronią egzystancyi Homera; lecz dopuszczają krążące między Grekami wybrzeży Azyi mniejszej rapsodye, wiążące się z wyprawą trojańską. Byłoby pożądanem, żeby szan. tłumacz był przedstawił terazniejsze stanowisko naukowe tej kwestyi wraz z ostatnimi rezultatami badań na tém polu, które u nas leży odłogiem. O wartości naukowej i literackiej tego przekładu pomówimy w osobnym rozbiorku.

Staraniem Tow. Prz. Nauk w Poznaniu wyszło dzieło p. tyt. „Słownik rytowników polskich tudzież obcych w Polsce osiadłych lub czasowo w niej pracujących“ przez Edw. br. Rastawieckiego. Poznań 1886. Str. 316. Z portretem autora. Rękopis tego dzieła kupił był przed wielu laty ś. p. Sew. Mielżyński z zamiarem wydrukowania go jak najprędzej, gdyż po ofiarowaniu Towarzystwu przez ś. p. Mielżyńskiego cennego zbioru rycin muzeum Poznańskiemu, był ten „Słownik“ niejako ich katalogiem. Śmierć przedwczesna Mielżyńskiego przeszkodziła zamiarowi, który dopiero teraz urzeczywistniono. Z przykrością musimy zrobić zarzut wydaniu, że nie uwzględniwszy postępu nauki przez tyle lat od śmierci Rastawieckiego, nie starano się pracy tej, jakkolwiek bardzo cennej, uzupełnić, sprostować w niektórych szczegółach i udokładnić.

Rozpoczęte już w r. 1882-im, zostało ukończone w roku bieżącym dzieło Stanisława Koźmiana p. tyt. „Dzieła dramatyczne Szek-

spira w skróceniu opowiedziane. Z przytoczeniem najcelniejszych ustępów. Nakładem i drukiem Jar. Leitgebera. Poznań, 1887. Autor przedstawił w tém dziele wszystkie dramata Szekspira w formie potocznego opowiadania, poprzątkowanego bardzo gęsto udatnemi nader przekładami ustępów najważniejszych. Rzecz cała, opracowana ze znaną starannością autora, jest cennym nabytkiem dla literatury naszej. Tom I-szy zawiera dramata, osnute na tle historii angielskiej; T. II-gi komedye; T. III-ci tragedye, razem dokładny obraz 37-iu utworów mistrza angielskiego.

Nakładem K. Kozłowskiego w Poznaniu wyszło 2-ie wydanie dzieła pod tyt. „*Album wojska polskiego*“ z r. 1831, zawierające 12 tablic odręcznie kolorowanych rysunku Jul. Kossaka, W. Eliasza, W. Mottego i i. artystów. Poznań 1887, fol. We wstępie (str. 32) czytamy rozprawę historyczną K. Jarochońskiego o wypadkach owéj epoki. Niejako uzupełnienie tego albumu jest drugie dzieło, wydane tymże nakładem p. t. „*Bitwy i potyczki, stoczone przez wojsko polskie w r. 1831*“ (Poznań, 1887, str. 418, 8-o major.), opracowane p. p. E. Calliera, zawierające opisy 328 bitew i potyczek, wykaz miejscowości i nazwisk osób w dziele tém wymienionych i mapkę podręczną teatru wojny.

Księgarnia Zupańskiego w Poznaniu zapowiada wydanie w najbliższym czasie dwóch dzieł, mianowicie: 1) „*Historia 9-o pułku piechoty*“ (1807—1814) przez kapitana Kozłowskiego; 2) „*Repiniana*“ przez Gustawa Meinerta, w 3-ch tomach, zawierających wypisy z archiwum francuzkiego w Paryżu, odnoszące się do historii Stanisława Augusta, od wstąpienia jego na tron aż do wybuchnięcia konfederacyi barskiej.

W Krakowie wyszło dzieło p. dr. Abrahama Władysława pod tyt. „*Proces inkwizycyjny w ustawach Innocentego III i we współczesnej nauce.*“ Kraków, druk. uniw. Jag., 1887, w 8-ce str. 154. O pracy téj czyniliśmy już wzmiankę w „*Kronice miesięcznej*“ w zeszytcie za mies. wrzesień 1886, str. 466, podając przegląd ruchu naukowego z posiedzeń Akad. umiej., gdzie i treść podana. Dla udokładnienia téj relacyi, nadmieniamy, że jest to w lichéj polszczyźnie parafrazowana monografia Fryd. Aug. Bienera „*Beiträge zur Geschichte des Inquisitionsprozesses* (Lipsk, 1827).“ Praca mogłaby być dla polskich prawników pod pewnym względem przydatną, gdyby autor zadowolnił się był prostą reprodukcją tego, co uczeni niemieccy w przedmiocie tym napisali, gdyby nie był zamieszczał bałamutnego i z wynikami nauki wprost sprzecznego twierdzenia o źródle procesu inkwiz., którego zdaniem autora, należy szukać nie—jak powszechnie wiadomo, w dawnem karnem postępowaniu informacyjném, lecz — w procesie cywilnym... mianowicie w formie postępowania w sprawach o beneficya, dziesięciny i t. d.

Dr. Alfr. Schlichting.

G. Ardant, członek Towarzystwa ekonomicznego w Paryżu, („Société d'économie sociale“) czytał na jedném z jego posiedzeń rozprawę, odnoszącą się do historii stosunków rolnych w Polsce, którą w następstwie wydrukował w organie pomienionego Towarzystwa, w „Reforme sociale“ (Zeszyt 5-ty z r. 1887-go str. 276—292) pod tyt. „La question agraire et la Pologne.“ Jest to praca nie wytrzymująca pod względem naukowym i historycznym najwyrozumialszej i najłagodniejszej krytyki, pełna fałszów historycznych, nieświadoma zupełnie ani stosunków faktycznych, ani spraw historycznych samej kwestyi, lekkomyślna do najwyższego stopnia w doktrynach i sądach, tak, iż dziwić się trzeba, że taki poważny ekonomista, jak R. Meyer, pozwolił panu G. Ardantowi zeszpecić swoje dzieło, które wydał z druku pod tyt. R. Meyer et G. Ardant „La question agraire, étude sur l'histoire politique de la petite propriété,“ (Paris, 1887), gdyż rozdział VI-ty tego dzieła pod napisem „La Pologne“ (str. 155 — 198) stanowi właśnie w rozszerzonej nieco redakcyi ów elaborat lichego ekonomisty, będący jaskrawym dokumentem nieuctwa pana G. Ardant. Pamflet p. Ardant'a, nie rachujący się ani z źródłami ani z ostatnimi badaniami historycznemi danej kwestyi, wypłynął z mętnych kanałów publicystyki dorywczej, okolicznościowej, propagowanej przez najhańsliwszych obcych, a z ich pomocą i naszych — opiekunów ludu, w celu zbezszczerzenia nietylko „szlachty,“ ale całej przeszłości i cywilizacyi naszej, zgodnej zupełnie w kwestyach agrarnych z rozwojem tychże stosunków w Europie zachodniej. Stosunki te uporządkowane zostały ostatecznie w reszcie Europy w epoce, w której losy naszej własności równie większej, średniej jak i drobnej, były pod opieką praw i pod zazdrośną strażą administracyi tych rządów, które zapanowały w granicach dawnej Rzpltej Polskiej, tak, że i na tém polu działo się tylko to, co dopuszczono a nie to, co dzisiejsi publicyści robiłby nam kazali. Nasze stosunki agrarne w wieku XIX-ym regulowały się podług prawodawstw potężnych rządów, a nie podług swywoli małych tyranów ziemskich lub doktrynerów socjalistyczno-demagogicznych. Gdyby wolno było porównać pamflet pana Ardant'a z którymkolwiek z wybryków lekkomyślności i nieuctwa w literaturze francuzkiej, to moglibyśmy tylko powołać pamflet o Koperniku, napisany przez akademika Villersa, któremu bawiący wówczas w Paryżu Jan Śniadecki, broniąc honoru i godności narodu, od ręki zaraz dał przyzwoitą odprawę, wskutek czego i akademia potępiła niefortunny „występ“ swojego członka. W téj chwili brakło nam Śniadeckiego, któryby wypowiedział naukę panu Ardant'owi, oszczercy przeszłości naszej; ale przeciwnie znaleźli się rozochoceni apostołowie doktrynerskiej frazeologii lekkomyślnego francuza, apostołowie, gotowi policzkować naukę za pomocą szumno-brzmiających frazesów wrzekomo liberalistycznych, byle tylko zaspokoić żarliwość swój nienawiści katolicyzmu i szlachty. Wszystko to się robi pod sztandarem zmonopolizowanego patriotyzmu i najpiękniejszego postępu! Dla charakterystyki stanowiska naukowego pana Ardant nadmieniamy, że

ten „uczony ekonomista“ (!?) widzi główną przyczynę smutnej doli własności chłopskiej w Polsce w tej pożałowania godnej okoliczności, że ustroj społeczeństwa polskiego nie korzystał z dobrodziejstw feudalizmu, ale skrzywiony został przez wpływ prawa rzymskiego i przez Kościół! Prostowanie nagromadzonych przez pana Ardant'a bezładnie fałszów historycznych, popieranych w oczach nieświadomych legionem cyfr fantastycznych i przeróżnymi dziwołagami jeograficzno-etuograficznymi, przekracza granice tej wzmianki bibliograficznej, lecz dla informacji czytelnika polskiego wystarczy to, cośmy powyżej o tym potwornym pamflocie powiedzieli.

We Lwowie wyszedł 3-ci Zeszyt „Kwartalnika historycznego“, którego obfita treść krytyczno-sprawozdawcza dostarczyć może pożądaną informację każdemu, kogo postęp nauk historycznych nie tylko w literaturze polskiej, ale i w zagranicznej obchodzi. Ośmiela mi się atoli zrobić uwagę co do jednego szczegółu, nie harmonizującego z ogółem relacji sprawodawczych o najnowszych pracach historycznych. Wartości naukowej studyów strategiczno-historycznych pułkownika Konstantego Górskiego, które drukujemy w „Bibliotece“ nie szukalibyśmy w tém, czy autor z całym pedantyzmem bibliografarchiwisty przejrzał drukowane o danej bitwie zapiski (często zupełnie nie kompetentne); lecz czy z wiarogodnym materiałem w ręku przedstawił krytycznie obrazy tych bitew zgodnie ze stanem rzeczy; słowem: czy wnioski, do których doszedł, dokładnie uzasadnił i historyków, niekompetentnych nieraz sędziów w rzeczach strategicznych (co im wcale ubliżać nie może), pod pewnemi względami oświecił. Bitwa Cecorska np. p. Górskiego nie podobna do opisu, sporządzonego bez rozbioru krytycznego źródeł przez Balińskiego, na podstawie przeróżnych relacji, bo według p. Górskiego Żółkiewski, ściśle rzecz biorąc, nie poległ na polach cecorskich; ale już w odwrocie na drodze ku Humanowi. Pola bitwy cecorskiej trzeba szukać na lewém, a nie na prawém brzegu Prutu, jak to mylnie przedstawił Baliński i t. d. Czy ogłoszona w r. 1869-ym w „Dzienniku liter.“ lwowskim rozprawa p. tyt. „St. Żółkiewskiego klęska i zgon na polach cecorskich“ potrafi obalić te twierdzenia, toby było pytanie, którebyśmy p. Górskiemu postawić się ośmielili, rozgrzeszając go jak najchętniej z tego, gdyby oddalony od bogatszych bibliotek, jaką osobliwość bibliograficzną, nie mającą wartości naukowej pominął. — W pierwszej części „Kwartalnika“ znajdujemy dwie nader cenne rozprawy, zbogacające naszą wiedzę historyczną. Ant. Małecki rozbiera pytanie: Kiedy powstał memoriał Ostroroga? Po szczegółowych studyach, jakie w ostatnim czasie poświęcili Ostrorogowi i jego pracy Wegner, Bobrzyński, Caro, Pawiński i i. pozostało bez odpowiedzi pytanie co do czasu, w którym Ostroróg memoriał swój napisał, co nie jest bez znaczenia przy ocenianiu wartości polityczno-historycznej tego traktatu. Odnoszono tę pracę do r. 1455-o, 1456-o, 1459-o, 1477-o. Prof. Liske nadmienił okolicznościowo („Hi-

storische Zeitschr.“ Sybla T. XX), że memoriał napisany był między 1463 a 1467-ym rokiem. Prof. Małecki, zestawivszy jak najskrupulatniej wszystkie dane faktyczne z życia Ostroroga, przychodzi do niewątpliwego, zdaje się, wniosku, że Ostroróg napisał swój memoriał w r. 1464-ym, i że oceniać go należy zgodnie z prądem tych idei, które w danej chwili przenikały społeczeństwa europejskie. Ferd. Bostel odkrył w archiwum lwowskim tekst nieznaną zupełnie konstytucji sejmowej z r. 1501-o, którą podaje w dosłowném brzmieniu wraz z współczesném tłumaczeniem polskiem z bibl. dzikowskiej. W obszernych i gruntownych uwagach wstępnych rozbiiera autor znaczenie pojedynczych artykułów tekstu, który oprócz kwestyi ekonomicznych, zawiera przepis, zabraniający przyjmować nieszlachtę do godności duchownych w kościołach katedralnych,—dalej rozporządzenia przeciwko swobodom stanu mieszczańskiego,—upoważnienie króla do zwoływania pospolitego ruszenia bez zezwolenia sejmu—oddanie chłopów we wszystkich sprawach pod jurysdykcją patrymonialną panów. Ważnym jest postanowienie, że dla kształcenia się w naukach, sztukach i rzemiosłach wolno chłopu żądać od dziedzica dozwoleń mu opuszczenia swęj posiadłości, oraz konstytucya ograniczająca jurysdykcją duchowną na korzyść sądownictwa ziemskiego.—Polemika pomiędzy p. C. Biernackim a prof. O. Balzerem o nazwę: wozy skarbane i wozy wojenne—przechylająca widocznie szalę na stronę prof. Balzera, zamyka ten troskliwie i umiejętnie ułożony Zeszyt specjalnego organu naszych badań historycznych.

N e k r o l o g i a .

† W ostatnich dniach czerwca zmarł w Paryżu znany orientalista **Albin Kazimirski**. Urodził się w r. 1808-ym w lubelskiem. W r. 1826-ym wstąpił na wydział filozoficzny do uniwersytetu warszawskiego i współcześnie pisywał w „Dzienniku warsz.” w r. 1830-ym zaciągnął się pod sztandary, po czem zamieszkał we Francyi, gdzie studyował języki wschodnie. Wykształcony specjalnie w tym zakresie, wstąpił do służby w ministryum spraw zagranicznych, gdzie zjednał sobie takie uznanie, że mianowano go dragomanem poselstwa. W tym charakterze bawił długo w Persyi i tam wydoskonił się w swój specjalności, po czem ofiarowano mu posadę naczelnika wydziału przy ministryum. Z licznych prac jego wymieniamy: „Dictionnaire françois-polonais” w trzech wydaniach, „Dictionnaire arab-français” w 29-ciu zeszytach, edycya pomnikowa, (1846), przekład „Koranu” i fragmentów z „Tysiąca nocy.” Literatura nasza szczyli się wyborynym przekładem „Gulistanu” (1876), dokonany przez niego z oryginału perskiego. W przedmowie, objawił K. swój pogląd na piśmiennictwo wschodnie, oraz znaczenie w niem „Gulistanu” wreszcie podał wyczerpujący życiorys Sadego, autora utworu. Tłumaczenie swoje ofiarował cniom Tytusa hr. Działyńskiego, któremu zawdzięczał pomoc materialną w studyach. Cześć pamięci zacnego obywatela!

† Dnia 18-go lipca r. b. zmarł w Stanisławowie **Agaton Giller**, znany autor i publicysta urodzony 1831 roku w Opatówku pod Kaliszem. Działalność publiczna zmarłego wywierała wpływ nie mały na życie i rozwój społeczeństwa polskiego w ostatnich trzech dziesięcioleciach. Ś. p. Giller pędził życie tułaczce i jeszcze w r. 1878 zmuszony był przez rząd austriacki do opuszczenia Lwowa; kilka lat potem przebywał jako bibliotekarz w Rapperswyllu, a ostatnio mieszkał w Stanisławowie na Pokuciu. Oprócz nieznanych w królestwie prac z dziedziny nowszej historii krajowej, ś. p. Giller wydał jeszcze „Opis krajny Zabajkalskiej” (1867) i „Podróż po Syberyi” (1866).

† Dnia 23-go lipca umarł w Warszawie ś. p. **Józef Mikołaj Wiślicki**, urzędnik górnictwa i b. Banku Polskiego zasłużony

pracownik na polu dziennikarstwa i literatury. Ś. p. Mikołaj urodził się w r. 1805 we wsi Parcze Górne w pow. olkuskim. Pracował w „Gazecie Warszawskiej“ a potem w „Gazecie Codziennéj“, a nadto napisał kilka powieści historycznych i kilka prac statystyczno-geograficznych, mających niezaprzeczoną wartość wśród opisów kraju naszego: 1) Trzy powieści (Karol i Marya, czyli moje sąsiedztwo 1-go piętra; Eufema czyli tak na świecie; Obłąkana). Warsz. 1836; 2) Starosta Rabsztyński, obraz z domowego życia Polaków w 2-ój połowie XVIII-go wieku Warsz. 1841, t. 2; 3) Zborowscy, obraz z domowego życia polaków z 2-ój połowy XVI-go wieku. Warsz. 1843, t. 2; 4) Józef Krogulski, jako kompozytor religijny. (Wspomnienie pośmiertne), Warsz. 1843; 5) Pani Orzelska, obraz życia dom. pol. w 1-ój połowie XVIII-go wieku, Warsz., 1847, t. 2; 6) Opis Królestwa Polskiego pod względem historycznym, statystycznym, rolniczym, fabrycznym, handlowym, zwyczajowym i obyczajowym 4-y części w 2-ch tomach. Warsz. (Gazeta Codz.) 1850—1854. (18 rycin); 7) Zarzysy ziemi Opatońskiej i Sandomierskiej pod względem historycznym, statystycznym, rolniczym, fabrycznym i handlowym, Warsz. 1862. (Jest to 3-ci tom „Opisu Królestwa Polskiego“). Ś. p. Wiślicki był obywatelem nieposzlakowanej czystości charakteru i dla tego cieszył szacunkiem powszechnym. Cześć jego pamięci!

OGŁOSZENIA.

OD REDAKCYI „BIBLIOTEKI WARSZAWSKIÉJ.“

Przy rozpoczętém półroczu II-ém, przypominamy Szanownym Prenumeratorom „Biblioteki” potrzebę odnowienia prenumeraty.

ENCYKLOPEDIA WYCHOWAWCZA.

Pod redakcją J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego, S. Przysiańskiego i J. K. Plebańskiego, wychodzi w zeszytach 5-arkuszowych. Prenumerata wynosi kop. 40, z przesyłką kop. 50 za zeszyt. Można także wnosić przedpłatę po rs. 3 kop. 20 za tom, złożony z ośmiu zeszytów z przesyłką rs. 4.

Skład główny i ekspedycya „Encyklopedyi Wychowawczej” znajduje się w Warszawie w księgarni Gebethnera i Wolffa, Krakowskie-Przedmieście, Nr. 415.

„KRAJ.“

Nr. 28-y z dn. 10 (22) lipca r. b. zawiera treść następującą: *Artykuł wstępny*: Przyczyny niepowodzenia świeżo zamkniętj wystawy wileńskieł. — *Korespondencye Kraju*: z Gniezna, p. Wiarusa. — *Sprawy bieżące*: Przeciwno cudzoziemcom. — *Dział polityczny*: Z politycznego świata. — Tydzień polityczny. — Ostatnie telegramy. — *Z tygodnia*: Słowo wstępne. — Ziemie i kolonie słowiańskie. — Przegląd prasy. — Wiadomości bieżące. — Kronika petersburska. — Z Warszawy. — Z prowincyi. — Kronika powszechna. — Doniesienia. — *Dział ekonomiczny*: Przegląd. — List ekonomiczny „Kraju.“ — Wody mineralne w Petersburgu. — Sprawozdanie giełdowe i rynki towarowe. — Tydzień ekonomiczny (rolnictwo, cukrownictwo, gorzelnictwo i piwowarstwo, przemysł i handel, komunikacye, finansowość). — *Ogłoszenia*.

Przeqląd literacki: „Polska z czasów przedhistorycznych

pod względem fizyograficznym i gospodarskim,“ p. d-ra Józefa Rostańskiego. — „Zapomniany poeta.“ (Pisma Teodozyusza Krzywickiego), p. Bronisława Bieńkowskiego. — „H. Taine'a Napoleon Bonaparte,“ przez E. P. (dok). — „Odrodzenie Czech.“ (Studyum historyczno-polityczne), p. I. Nitowskiego (d. c.). — „Dzieje sztuki bizantyńskiej.“ (Histoire de l'art Byzantin), p. P. — Kronika naukowa, literacka i artystyczna. — Nowe książki, otrzymane w redakcyi „Kraju.“ — Treść pism. — Bibliografia. — **Odcinek:** „W becze Dyogenesa.“ Komedia jednoaktowa Jarosława Vrehlickiego. (Przetłómaczył Włodzimierz Stebelski).

„PRZEGLĄD KATOLICKI.“

Nr. 29-ty z dnia 21-go lipca zawiera treść następującą: Błądny rycerz monarchii i katolicyzmu w XIX wieku, Crétineau-Joly (dok.). — Indryca w Inflantach, wchodzących obecnie w skład gub. Witebskiej. — **Kronika kościelna krajowa:** Zmiany zasze w archidiecezyi Warszawskiej. — Wizyta arcypasterza w dekanacie Łęczyskim. — Wizyta kanoniczna kościołów dekanatu Ostrołęckiego, odbyta przez J. Eksk. ks. Biskupa Kossowskiego, Adm. dyecezyi Płockiej w miesiącu maju i czerwcu r. b. — Z dekanatu Olkuskiego. — Z Libawy. — Z Wielkich Łuk. — Z Mohylewa. — **Kronika kościelna zagraniczna:** Afryka. Kafrowie. — Prusy. 1. Zakłady ks. Franza. — 2. Jubileusz Ojca św. — Rzym. Nowa fundacya Ojca św. — **Bibliografia:** Cursus Scripturae Sacrae, przez p. Cornely. — Nowości księgarskie.

Nr. 30 z dnia 28 lipca: Giordano Bruno i jego mniemane spalenie. Źródła do jego żywota. Młodość Brunona i jego życie klasztorne. — Indryca w Inflantach, wchodzących obecnie w skład gub. Witebskiej (c. d.). — **Kronika kościelna krajowa:** Zmiany zasze w dyecezyi Kieleckiej. — Budowa kościoła św. Aleksandra. — Wizyta kanoniczna kościołów dekanatu Ostrołęckiego, odbyta przez J. Eksk. ks. Biskupa Kossowskiego, adm. dyecezyi Płockiej w miesiącu maju i czerwcu r. b. — **Kronika kościelna zagraniczna:** Ameryka. Stowarzyszenie rycerzy pracy. — Austria 1. Wizyta kanoniczna na Bukowinie. — 2. Wizyta w dyecezyi Stanisławowskiej. — Belgia. 1. Zbawienna praktyka. — 2. Liga antymasońska. — Prusy. Zjazd walny katolików szlązkich. — Rzym. 1. Ojciec św. — 2. Egzamina na Watykanie. — **Bibliografia:** Cursus Scripturae Sacrae, przez P. Cornely. — La sainte Bible, przez ks. Tronchon.

UZUPEŁNIENIE OPISU SZPITALA ZAPASOWEGO.

Na str. 221 w 3-im wierszu od końca przed wyrazami: „*Czy temu celowi szpital odpowiedział*“ opuszczono w odsyłaczu następujące uzupełnienie:

Tymczasem o przepełnieniu szpitali w Warszawie od roku 1870 nie mogło być mowy, ani na jedną chwilę, świadczą o tém najwymowniej liczby tu poniżej przywiedzione, a wzięte ze sprawozdań Rady miej. i Rady głównej. I tak, gdy Warszawa w r. 1854 miała ludności 157,436 głów, miała w tymże roku szpitali ogólnych pięć stałych, mianowicie:

1) D-ka Jezus	na 411 łózek	10,489	chorych
2) Św. Ducha	„ 100 „	2,577	„
3) Św. Rocha	„ 80 „	1,896	„
4) Ewangelicki	„ 75 „	1,625	„
5) Żydowski	„ 350 „	6,352	„

A razem w pięciu szpitalach ogólnych stałych było łózek etatowych 1,016, chorych zaś 22,939.

Oprócz tych w b. Domu przytułku i pracy był chwilowy szpital na 200 łózek i 1,140 chorych. Szpitali wyłącznych było dwa:

1) Św. Jana Bożego dla obłąkanych	na 70 łózek i 196 chorych
2) Św. Łazarza dla wenerycznych	„ 400 „ i 3,676 „
co łącznie czyni 470 łóz. i 3,872 chorych	

Niezależnie od nich były jeszcze oddziały wyłączne:

1) przy szp. D-ka Jezus obłąkanych kobiet	na 80 łóz. 154 chor.
2) „ Żydowskim obłąk. obojój płci	„ 20 „ 136 „
3) „ D-ka Jezus położniczy	„ 8 „ 435 „
4) „ Żydowskim	„ 8 „ 119 „
co łącznie czyni 116 łóz. 844 chor.	

Ogółem miało 8 szpitali i 4 oddziały chorób wyłącznych 1,802 łózek i 28,795 chorych, co znowu w stosunku do ogółu ludności miasta czyni 1 łóżko na 82 mieszkańców i 18 leczonych na 100 mieszk.

Ogół zaś chorych w okresie 16-letnim Rady głównej był taki:

1) Szpital D-ka Jezus w oddziale ogólnym	131,388	chorych
2) „ „ „ obłąk. kobiet	3,366	„
3) „ „ „ położniczym	5,720	„
4) „ Żydowski „ ogólnym	83,327	„
5) „ „ „ obłąkanych	2,606	„
6) „ „ „ położniczym	2,663	„
7) „ św. Ducha	29,596	„
8) „ św. Rocha	28,900	„
9) „ Ewangelicki	17,686	„
10) „ św. Jana Bożego	4,412	„
11) „ św. Łazarza	52,156	„
12) „ na Pradze razem z Wolskim czasowe	1,973	„

razem wszystkie szpitale w latach 1854/69 leczyły 363,793 chorych;

—od roku zaś 1854 do 1869 włącznie ludność Warszawy wzrosła do 260,000; w r. 1869 było w szpitalach 2,107 łóżek i 25,941 chorych, co znaczy, że w porównaniu z rokiem 1854 było łóżek etatowych więcej o 305, chorych jednak mniej o 2,854. I gdy w r. 1854 przypadało 1 łóżko szpitalne na 82 mieszk., to w roku 1869 już na 123,4 mieszk.; gdy w roku 1854 na 100 mieszk. zdrowych wypadło leczonych 18, to w r. 1869 już tylko 9,9, czyli bez mała 10 osób.

Widzimy z tego, że z wzrostem ludności zarząd szpitalny powiększał etatowo liczbę łóżek, ale jednocześnie zmniejszał liczbę chorych, którym miejsca odmawiał. A jeśli tak było za Rady głównej, to o ileż gorzej rzecz się przedstawia za Rady miejskiej, która żadnych skrupułów nie zna. I tak, gdy ludność w Warszawie z chwilą objęcia zarządów szpitali przez Radę miejską w dniu 1/X dochodziła 265,000 głów, a w okresie 16-letnim, mianowicie na dniu 31/XII 85, czyniła 431,864 głów (Gazeta Warsz. nr. 216 z r. 1886), to działalność szpitali tak się przedstawia:

1) D-ka Jezus w latach 1854/69	140,474	w l. 1870/85	119 550
2) Św. Ducha „ „	29,596	„ „	33,234
3) Św. Rocha „ „	28,900	„ „	27,463
4) Św. Jana Boż. „ „	4,412	„ „	5,725
5) Św. Łazarza „ „	52,156	„ „	59,153
6) Ewangielicki ; „	17,686	„ „	13,623
7) Żydowski „ „	88,596	„ „	67,619
8) Wolski i Pragski „ „	1,973	„ „	21,266

a razem w latach 1854/69 363,793 w l. 1870/85 350,633 ch.,

to jest mniej o 13,160 osób, choć przybyły dwa szpitale stałe na Woli i jeden na Pradze, — a ludność z 260,000 (w r. 1869) wzrosła (w roku 1885) do 431,864 głów, t. j. zwiększyła się w stosunku do r. 1869 zgórą o 171,864 dusz.

W roku 1885 w szpitalach tu wymienionych było 2,090 łóżek i 22,154 chorych, a widzieliśmy, że w r. 1854 przy mniejszej liczbie szpitali i tylko 1,802 łóżkach leczono chorych 28,795,—i gdy wówczas 1 łóżko przypadało na 82 mieszkańców, a 18 leczonych na 100 mieszkańców, to w r. 1885 przypada 1 łóżko na 207 mieszk., a tylko 5 leczonych na 100 mieszk. A przecież jeżeli w r. 1854 jedno łóżko obsługiwało 16 chorych, toć chyba i w r. 1885 mogłoby tę samą usługę przynieść, naturalnie przy dobrej woli Rady miejskiej, a wtedy nie 22,154 byłoby chorych, lecz 33,440 osób znalazłoby pomoc. Wszak to bardzo wymowne i niezwykle zrozumiałe.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca **J. K. Plebański.**